

L A U R A

Adori

*„Czy łatwiej zrobić karierę
za granicą, czy znaleźć
mężczyznę swojego życia?”*

Przebudzenie
Lukrecji

L I R A
WYDAWNICTWO

L A U R A
Adori

Przebudzenie
Lukrecji

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2017

ISBN wydania elektronicznego EPUB: 978-83-65838-15-5
ISBN wydania elektronicznego MOBI: 978-83-65838-16-2



Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1. O czym myślisz w pociągu, skoro nie o tym samym, co ja?

Rozdział 2. Zawsze na początku musi być jakiś koniec

Rozdział 3. Przepowiednie budzą instynkty

Rozdział 4. Problemy rozwiązują się same albo gubią się w natłoku innych spraw

Rozdział 5. Pobudzenie, którego skutków jeszcze nie możesz zobaczyć

Rozdział 6. Walcz o to, w co wierzysz, i pozwól fali płynąć

Rozdział 7. Fatamorgany nie przytrafiają się na oblodzonych ziemiach

Rozdział 8. Albo ktoś łamie ci serce, albo to ty jesteś pochłaniaczem serc

Rozdział 9. Szczęście wisi w powietrzu, więc nie wahaj się go użyć

Rozdział 10. Myśl, co chcesz, przestaniesz, kiedy przyjdzie pora

Rozdział 11. Nowe miejsca otwierają nowe ścieżki

Rozdział 12. To, czego się boisz, przychodzi, kiedy się nie spodziewasz

Rozdział 13. Wszystko się zaczyna między niebem a ziemią

Polecamy

Rozdział 1

O czym myślisz w pociągu, skoro nie o tym samym, co ja?

Rozkładasz nogi, zamykasz oczy i próbujesz odpłynąć. Widzisz ocean pokryty taflą lodu. Jesteś zupełnie sama. Jeśli po przebudzeniu wątpisz, czy w ogóle spałaś, a patrząc w lustro, zastanawiasz się, czy ta wyblakła twarz należy do ciebie, zostaje ci na pocieszenie motto ciotki Aurelii: *Możesz być szczęśliwa z każdym mężczyzną, pod warunkiem że go nie kochasz...*

Siedząc w pociągu, powtarzam je jak mantrę. Próbuję sobie nawet wizualizować wielkie łożo pachnące wanilią przełamana nutą syczuńskiego pieprzu. Jednak zamiast jedwabnej pościeli i ciemnozielonych lancetowatych liści pieprznego krzewu mam przed oczami oblodzony szczyt Mont Blanc, a w tle białe plamy. Przypominają nieszczęśników rzucających się w przepaść. Tych, którzy uwierzyli, że miłość utrzymuje świat przy życiu, i czekali niczym zamrznięta ziemia na wiosnę — by obrodzić. Przeoczyli moment, kiedy zamienili się w gliniastą glebę. Zbyt skostniała, by coś z niej wyrosło.

Facet w takim stanie ducha idzie wykupić ubezpieczenie od samotnej starości lub zalewa się w trupa. A co robi kobieta — ze swoim atutem nieprzewidywalności? Zapisuje się na kurs odzyskiwania życia. Wydaje fortunę, katuje się w weekend dwiema z rzędu pobudkami o szóstej rano i przez szesnaście godzin pompuje przeponą w towarzystwie innych desperatek. Oto cena *Wyzwolenia przez oddech*. Właśnie wracam z warsztatów. Galopada myśli i drętwienie łokci nie ustąpiły, ale podobno wystarczy czterdzieści dni praktyki oddechowej i chłonięcia dobra, aby mózg

nauczył się odczuwać szczęście. To głos nadziei, nie frustracji. Na razie siedzę odprężona, na tyle, na ile się da z moimi — w trybie przypuszczającym — pięcioma, a w trybie orzekającym — ośmioma kilogramami nadwagi, i wiem, że jest niedzielny wieczór, a ja od jutra kończę z porannymi muffinami, popołudniową bezą, a zwłaszcza z Tinderem. Ostatni supermen poznany w cyberświecie, po którym dostałam odrętwienia łokci już po pierwszej randce, napisał: *Poznasz mnie po tym, że mój wielki cień zawsze pada na ścianę tak, by mnie przyćmić.* Ta przewrotna skromność pozbawiła mnie wahań. Rzeczywiście okazał się czarujący, taktowny i taki, jaki dawno nie był dla mnie nikt, a duży rozmiar miał nie tylko jego cień. Aż trudno uwierzyć, że zamilkł jak wszyscy inni po czterech spotkaniach. Moja przyjaciółka Wera ma rację. Jeśli facet na portalu randkowym pisze, że ma trzy pasje, spław go od razu. Jedno, czego możesz być pewna, to to, że nie zrobi z ciebie tej czwartej. Półtorej pasji to maksimum, z jakim wyrabia się zrównoważony emocjonalnie mężczyzna, który wie, czego nie chce.

Za oknem pociągu samotność Niziny Padańskiej, w oddali góry. To, co majaczy na horyzoncie, to pewnie wcale nie Mont Blanc, tylko masyw Bernina, a ja jak zwykle próbuję dopatrzeć się czegoś wielkiego w czymś całkiem średnim. Zawsze, gdy widzę Alpy, myślę o ciotce Aurelii. Ona jedna w naszej rodzinie umiała zdobywać szczyty i śmiać się wtedy, gdy przyszło z nich spadać. Znała się na życiu i wiedziała, że najlepszym sposobem pokonania pokus jest uleganie im. Żartowała, że uczenie się na błędach to hobby tych, którzy na wszelki wypadek nie podnoszą tyłka z kanapy, by ich nie popełniać.

W Aurelii więcej było czaru niż urody. Więcej polotu niż życiowych możliwości. Miała czterech mężów — dwóch obłudnie przystojnych, trzeci prawie przystojny, a czwarty na tyle elegancki, że braki w aparycji nikomu nie rzucały się w oczy. Do tego rzesze tych, którzy aspirowali do jej poślubienia. Wielu porzuciło dla niej żony, narzeczone i swoje ideały. Jeden mecenas podobno poświęcił nawet życie — gdy się dowiedział, że nie ma szans go z nią dzielić, skoczył do Wisły. Aurelia popadała w karciane długi, nefarty i ludzką niełaskę. Ale nigdy nie popadła w udrękę miłosną. Podobno nie zakochiwała się, póki nie zakochano się w niej, i odkochiwała się, zanim ktoś ją w tym ubiegł. Umarła z takim samym rozmachem, z jakim żyła. Na parkiecie. W wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Na chwilę przed ostatnim podrygiem w takt *Strangers in the night* wyszeptała podobno do tańczącego

z nią siedemdziesięciolatka: „Chciałabym robić z panem to, co letnie słońce z poziomkami”.

Oddam estrogen za testosteron albo wymienię ambicję na śmiałość Aurelii. Choćby na ten jeden wieczór, kiedy podniecasz się myślą, że jutro nie poczujesz tego, co zawsze. Zdobędziesz się na to, na co tydzień temu zabrakło ci odwagi. Wyrwiesz się z monotonii i hibernacji, w którą zapadasz, jadąc codziennie tymi samymi ulicami, siadając na tym samym fotelu, przy tym samym oknie, w którym czasem mignie ci odbicie kogoś, kogo sama nigdy byś nie wymyśliła. Obudź się! Od dawna jesteś tą osobą z lustrzanego odbicia. Raz po raz coś cię wyrywa z codziennych odruchów. Słodka nuta agrestowego musu przenosi cię nagle w koronki leśnych paproci, w puch dzikiego mchu, gdzie łaskotana liśćmi skóra czyni rzeczywistość nierealną. Jeśli dotąd drwiłaś z nostalgii, teraz oddajesz jej hołd. Kiedy indziej niewinne ziarnko gorczycy, zabłąkane w zupie między limonką a krztyną chili, jak przedsmak euforii, podrywa cię z krzesła. Wiele obiecuje, niczego nie zapewnia. Ale przypomina o istnieniu małych rozkoszy. Możesz wachać, dotykać, zajmować zmysłami przestrzeń. Być bliżej życia.

Uwielbiam pociągi. Lubię patrzeć na ciała ludzi. Sprawdzać, w jakim stopniu potrafią otworzyć się na przyjemność. Kobiety wiedzą, czego chcą, a robią to, do czego je przyzwyczajono. Jesteśmy bardziej sensualne od mężczyzn, ale tuż po zajęciu miejsca od razu się kurczymy. Owijamy jedną nogę wokół drugiej. Blokujemy miednicę. Napinamy ramiona. Jakbyśmy nikomu nie chciały zawadzać i tylko w tych przykurczach czuły się na swoim miejscu. Mężczyźni się w to nie bawią. Wchodzą, siadają i zaraz rozsuwają kolana na boki. Popadają w małe drzemki lub wielkie zamyślenia, bezwiednie wykraczając poza linie swoich foteli. Dopiero gdy zderzą się z nogami kogoś siedzącego obok, ustępują z zawłaszczzonego terytorium. Do czasu, nim znów odruchowo na nie nie wkroczą.

W życiu jest tak samo jak w pociągu. Albo się podkurczysz, albo rozprężysz i zagarniesz przestrzeń. Niby wyzwolone kobiety to potrafią. Jednak co innego zagarniać małą część świata, a co innego wziąć w całości jednego mężczyznę. Ledwie zaczniesz, już coś się kończy — albo ten facet, który jest jeszcze w tobie, ale przy tobie już go nie ma, albo zainteresowanie nim. Dziki tygrys okazuje się kotem kanapowcem. Pech kobiet, które potrafią zagarniać, polega na tym, że wołałyby być zagarniane. Mój pech nawet nie jest wybredny. Nieważne, co bym wołała, on zawsze prowadzi mnie w tym samym kierunku.

Gdybym miała wybrać jednego spośród wszystkich pasażerów tego pociągu, wyłowiłabym mężczyznę, który właśnie jedzie do psychiatry albo powinien tam jechać, tylko o tym nie wie. Ostatecznie — kogoś, kto czuje się całkowicie wolny, a w rzeczywistości jest trochę żonaty. Kogoś, kto wyznaje, że chwilę wcześniej odszedł od żony, ale nie wspomina, że zaraz do niej wraca, bo zawsze tak robi. Krętacza lub rozbitka wyłowię na każdym oceanie, nigdy nie wierząc, że to znowu on. Doczepię mu łatkę nadwrażliwości, czegoś ekscentrycznego albo trudną przeszłość. A tego właściwego przeoczę, znudzę się patrzyeniem, zanim się zorientuję, że to mógł być właśnie TEN.

Brunet pod oknem. Gdybym zagrała w grę „spójrz tam, gdzie zwykle nie patrzysz”, to mógłby być on. Mężczyzna z żelem na włosach, ale bez żony. Bez wielkich natręctw i katastrofalnej wizji świata. Niewiele by to dało, skoro już wyłapuję, że ciągle spuszcza głowę, nie patrzy w dal. Jego koszula nie ma żadnych zagnieceń, a jego jutro zapewne wygląda tak jak wczoraj. Można by z nim praktykować czynności egzystencjalne od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej przez pięć dni w tygodniu, a w weekendy nawet dłużej. Można by mu robić lombardzkie pizzoccheri bianchi, a lepiąc gnocchi, o jakich marzy, fantazjować, jak zlizuje z ciebie sos. Potem, nie wiadomo kiedy, jesteś już tylko ty i brudne talerze. Pospiesznie je zbierasz, wiedząc, że jedyną rzeczą, która ożywi twój wieczór, będzie szum zmywarki.

A pan po przekątnej, z zarostem? Ambicja wojownika w ciele wiecznego chłopca. Kolor oczu porusza. Zakola mniej. Najtrudniej zaufać ustom. Zaciśnięte, wąskie, pewnie rzadko ustępują. Raczej nie lubią tego, co soczyste i krwiste. Może nawet jadają flaczki po florencku zaduszone na wiór w pomidorach. Plamka na koszuli jest zapewne po nich. Uniesione ramiona i zaciśnięta żuchwa zdają się krzyczyć: nie lubię ryzyka, boję się tego, czego nie znam. Czy dlatego tak się napręża? Ani razu na mnie nie spojrział. Nie czuje mojego wzroku? Może w ogóle nie lubi czuć. A co, jeśli nie patrzy, bo widzi, że się zbliżam?

Tak jak ten pociąg dobija do Mediolanu, tak i ja, nieszczęsna, dobijam do owej strasznej daty. Gdybym była pociągiem, mogłabym przynajmniej czuć się jak spóźniony ekspres. A jestem samotną kobietą w przededniu okrągłych urodzin i prędzej się wykoleję na cenach kremów, niż cokolwiek opóźnię. Zaraz się zacznie. Luzowanie policzków, ciężenie grawitacyjne w okolicach podbródka, zwisy w dolinie łez, wąwozy w okolicach ust. Tak, wiem. Każda kobieta po kilku kursach samorozwoju wie o tym, że tajemnica młodości

polega na tym, by nie dać się zawładnąć uczuciom, z którymi nie jest nam do twarzy. Ale jak wznieść się ponad to, gdy jedyne, co czujesz, to lęk przed opadaniem? Zaraz stanę się kobietą po czterdziestce. Przypudrowaną swoim słodkobrzmiącym imieniem — Lukrecja. To dzieło mojej ambitnej matki. Jakby hołd, który złożyła swojemu gorzkiemu życiu, skazując moją młodość na epitety w stylu: „czarny cukiereczku o anyżkowym smaku” czy „moja ty esencjo likieru Sambuca”. Wspomnienie tego, co kiedyś wydawało się goryczą, dziś brzmi jak nieosiągalna słodycz lukru. Czy to, co teraz wygląda na kompletne załamanie, za chwilę jakiś coach nazwie przebudzeniem duchowym?

Milano. *Buongiorno, capitale!* Jak dla mnie — *mortale*. Pan przystojny z zakolami wytaszczył walizę z przedziału i ani *be*, ani *arrivederci*. Włosi i ta ich kultura. Skończyli się w okolicach Dantego, a udają, że jest jak dawniej. Nawet na mnie nie spojrzął. *Addio, pomodoro!* Żegnajcie nietknięte gołe kostki w mokasynach. Za drzwiami przedziału czeka przyjemne ciepło wieczoru. Chociaż ono nie wystawi cię do wiatru. W lutym daje się już wyczuć w powietrzu wiosnę. Gorzej z godziną, o której Włosi zaczynają wieczorny posiłek. Mój Potrójny Ogrzewacz szaleje i żąda, by już teraz dostarczyć mu pokarm, który przetransportuje za dwie godziny komórkom całego ciała. Ale konia z rzędem temu, kto żyjąc we Włoszech, odważy się przyznać do wstydliwych praw swojego biologicznego zegara. Albo kochasz życie, albo szanujesz kwestie trawienne. Kolacja z Claudią jest dopiero za półtorej godziny. Mogę się przez ten czas włóczyć, chłonąc dobro tego świata, wyłączając z niego bezy i inne obiekty cellulitotwórcze. Claudia to jedna z tych szczęściar, które potrafią wyzwolić się od zagrożeń kalorycznych za pomocą zwykłego krokomierza, który przypomina ci, że za mało dziś się nachodziłaś, by utrzymać twój właściwy poziom szczupłości. Claudia nie zasypia, jeśli nie wyrobi swojej chodzarskiej normy. Jest nieugięta. Woli dążenia od marzeń i potrafi przekuć każdy swój kryzys w kreatywny projekt, a potem go spieniężyć. Sprawia wrażenie, jakby urodziła się z poczuciem możliwości wpływania na losy świata. Gdy się z nią spotykasz, jeśli tylko przeżyjesz pierwsze trzydzieści minut monologu o jej ostatnich sukcesach, masz szansę dostać celną wskazówkę na życie. W odróżnieniu od kursu *Wyzwolenia przez oddech* pomoże ci ona wprowadzić zmiany szybciej niż po czterdziestu dniach. Grunt to nie zamykać się w sobie, nawet gdy Claudia zacznie, jak ostatnim razem, od słów:

— Lukrecjo, musisz odzyskać czas, który poświęcasz na zbędne rzeczy. Wtedy godzina marszu lub pół godziny joggingu dziennie nie będzie dla ciebie żadnym kłopotem, a twoje ciało wróci do rozmiaru trzydzieści sześć.

Jak po takim wstępie przejść do powiedzenia o tym, co zawsze, czyli o kolejnych niefartach losu? Zasada ciotki Aurelii numer nie pamiętam który: *Nie patrz na to, co odeszło, bo nie zauważysz tego, co ma nadejść*. Zwierzęta mają oczy po bokach, żeby się chronić, człowiek ma je z przodu, jakby był nastawiony na atak. Mniejsza o to, co kto atakuje. Jedno jest pewne: nie masz oczu z tyłu! Natura nie życzyła sobie, byś patrzyła na to, co minęło. Lukrecjo, do boju! Żadnych tkliwych zwierzeń o tinderowych niewypałach, tylko poważne rozmowy o przyszłości. Wariant niewinny: Claudynko, gdyby obcięli ci o jedną szóstą pensję, tak zniecka, co byś zrobiła? A może odważniej: Wiesz, czuję gotowość do zmiany i szukam nowych wyzwań. Czy widzisz mnie w roli... No właśnie, jakiej? *Uno, due, tre...* Co mnie uratuje?

Znieczulić się kieliszkiem Franciacorta Rose na Piazza Stefano czy od razu poddać się torturom wystaw na Via Montenapoleone? Popatrzeć na doskonale geometryczne formy deptaka. Wstrzymać oddech i zatopić się w ciągnących się po obydwu stronach kompozycjach z butów, torebek i sukienek. Stworzonych po to, by pocieszyć śmiertelniczkę faktem, że istnieją na świecie problemy, którymi nie muszą zaprzętać sobie głowy. Na przykład dylemat, czy torebka Hermès Matte Birkin ze skóry krokodyla powinna być w tej samej marnej cenie stu dwudziestu tysięcy euro, co Satchel Louis Vuitton zrobiona ze śmieci. Po tylu latach życia w Mediolanie wiem, że obyta Włoszka lepiej odróżnia skórę kajmana szerokopyskiego od amerykańskiego aligatora niż Indianin z dorzecza Amazonki. Czy kobiety żyjące w świecie burzy i naporu, zastanawiając się, na którą torebkę wydać kolejne kilkadziesiąt tysięcy, to te, które w porę zaplanowały, jak ustrzec się przed stagnacją? Czy raczej te, które zajęły się budowaniem swoich imperiów, by wyeliminować prawdopodobieństwo upadku w emocjonalne doliny, jakim kończy się wspinaczka na uczuciowe szczyty?

Zapach prażonych migdałów zdolny zatrzymać potok myśli. Zawsze czuć go w okolicach trattorii przy Piazza Republica. Wciąż przypomina mi pierwszy mediolański niefart. Miał na imię Lorenzo i usta mięsiste jak dwie części grejpfruta. Gdy muskał nimi moją szyję, moje ciało otwierało się jak orchidea, gotowe zamknąć go w swoich płatkach i już zawsze muskać jego delikatną skórę. Nosił marynarki na dwa i pół guzika. Bardzo włoskie. Szyte jak na dwa

zapięcia, z trzecim ozdobnym. Nie bał się różowych koszul i cedrowych nut wyczuwalnych na swojej szyi. Nie bał się też zniknąć. Już ten pierwszy raz w małej knajpce przy Via Ansperto był jak anons o naszym pogrzebie. Wolałam go nie czytać. Poszliśmy tam po spacerze wokół Muzeum Archeologicznego. Jedliśmy łososa w migdałach, może nawet mówiliśmy sobie czułe słowa. Wtem zaszczekał pies — w jego telefonie. Lorenzo wyszedł odebrać. Zniknął na dwie godziny. Po miesiącu zniknął na trzy dni, a po czterech miesiącach ulotnił się na zawsze, odbierając mi na długie miesiące rozkosz z prażenia migdałów.

— *Signorina, signorina!*

Odwróciłam się. Demoniczna sprzedawczyni złudzeń nawoływała w moją stronę. Już chyba tylko wróżki widzą we mnie *signorinę*, a nie *signorę*. Tylko tego brakowało, by wyczytała mi z kart wygraną w kasynie, na którą muszę wyłożyć trzy razy więcej niż na kurs wyzwolenia oddechowego. Albo bruneta, który zabierze mnie tam, gdzie nigdy nie byłam. Żadnego tarota, żadnych iluzji. Żegnaj, głodzie nieznanymi smaków i łatwo wzbudzanych nadziei na niezwykle życie. Dziś wyjątkowo chciałabym poczuć przyjemność na widok czegoś oswojonego. Czegoś, co zwykle, dotykalne i chociaż po części trwałe.

Mediolańskie ulice, gdy tu zamieszkałam, onieśmiały mnie swoją elegancją. Majestat katedry, uroda fasad i szyldy małych sklepików o dźwięcznie brzmiących nazwach wydawały się jedynie scenografią dla spektaklu, w którym występowali przechodnie, świadomi krojów swoich garniturów i sukienek. Mijali się na chodnikach, raz po raz przysiadając w restauracjach czy kawiarniach. Odprężali się i czekali, jak się czeka na cud. Proporcjonalnie do zainwestowanych nadziei celebrowali potem każdy kęs dania, choćby była to pizza, a nie jagnię po rzymsku, celebrowali nawet łyk zwykłego espresso, jakby to był Dom Pérignon. Marzyłam, by stać się częścią tego świata. Nawet jeśli z czasem odkryłam, że mniej jest w tym rozkoszy celebracji, a więcej kulinarnej rutyny, wciąż czułam, że to moje. Bardzo mi bliskie. Może to właśnie pozwalało mi przetrwać tyle lat w tym mieście, które okazało się mniej romantyczne, niż się zapowiadało. Spędzać całe dni w korporacji na wymyślaniu, jak sprzedać ludziom produkty, których zupełnie nie potrzebują. W międzyczasie mogłam się oddawać małym rozkoszom z osobami gotowymi na to samo. Przy okazji lepiej zrozumiałam własną matkę, która w jednej chwili porzuciła przaśny komunistyczny świat dla zupełnie nierokującego Włocha. Zostawił ją, gdy tylko dowiedział się o załączku

nowego życia. Została sama w ciąży, w obcym kraju. Po powrocie do Polski najpierw przez kilka lat szamotała się ze światem i kolejnymi mężczyznami, potem zaczęła doznawać hiperwentylacji prowadzących do omdleń. Z czasem uległa pospolitym migrenom i malkontenctwu. Kto wie, czy nie dlatego przyjechałam tu przed laty na staż. Niosłam w genach nawyki ojca i marzenia matki. Przede wszystkim uwierzyłam, że ja, w odróżnieniu od niej, spełnię marzenia o włoskim *dolce vita*.

— *Signorina, signorina*, powróżę! — Tarocistka nie odpuszczała.

Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma szczęście w kartach, a potem słono za to płaci. Wiem, jak słodko to się zaczyna. Zawsze dostajesz światło nadziei. Oddajesz się we władanie pięknie brzmiącej idei i nic już nie jest takie, jak było. Droga do pracy zamienia się w kolekcję symbolicznych znaków, w zbiegach okoliczności słyszysz podszept przeznaczenia, a w każdym mężczyźnie — wystarczy, że na chwilę zawiesi na tobie wzrok — widzisz tego jedyne, z którym spodziewasz się spędzić całe życie. *Grazie*. Już lepiej poczekam na Claudię, zamawiając w którejś z knajpek małą porcję *gamberoni* z *salsa alla salvia* i, wpatrując się w ogonki krewetek unurzone w bladzielonych listkach szaławii, będę chłonać dobro, by część mojego mózgu odpowiedzialna za rozkosz życiową wytworzyła chociaż jedną nową synapsę.

Rozdział 2

Zawsze na początku musi być jakiś koniec

— Pani nie jest z tej ziemi... — zaczęła tarocistka, wpatrując się w damę pik i karty ułożone dookoła niej. — Tutaj pani sobie życia nie ułoży. Zwłaszcza że przyciąga pani popaprańców. Jak się ma uspięte serce, to się ściąga tych, co nagłym wybuchem mogą je przebudzić. Ale taki miłosny wybuch trwa krótko. Potem człowiek prowokuje nieświadomie nowe wybuchy, tylko już nie z głodu szczęścia, ale żeby coś się działo. A od tego ognia wątroba może się przepalić. Szkoda by było, bo zdrowa, młoda. Pani w ogóle do spraw trawiennych ma duży dryg i widać pieniądze, dużo pieniędzy od tego idzie. Tylko musi pani skończyć z fantazjowaniem i zacząć działać. Koło przynosi pani szczęście, popycha do działania. Musi się pani inspirować okręgiem. A mężczyznę to widzę przy pani takiego nie stąd, tylko z ziemi przodkiń, taki trochę blondynowaty. I jest, i go nie ma. Znika i wraca odmieniony. Pani dusza chce teraz wielkiej zmiany. Działa plutoniczna siła. Jak czołg zburzy, a później wzniesie. Widzę czerwień, pomarańcz, złoto, wielkie namiętności i obfitość. Tam, na tej ziemi przodkiń! Tam czeka szczęście. To będzie rewolucja, ale trzeba się odważyć. Pójść za głosem serca. Rozsmakować się w życiu...

Uno, due, tre, nie brać wszystkiego do siebie, zwolnić oddech i przyspieszyć kroku. Zanim wpadnę jak śliwka w nową wizję siebie. Zwłaszcza że już czuję pulsację w żołądku. Jakbym chciała pchnąć życie naprzód. Siło kosmicznego Plutona, rozpędź moje nogi, bym nie połamala obcasów. Zawsze perfekcyjnie zorganizowana Claudynka na pewno już czeka. Nie odważę się jej przyznać, że zasiedziałam się z tarocistką. Chyba właśnie dzwoni z ponagleniem.

— Sapiesz? Przeziębilaś się? — gruchnęło ze słuchawki.

— A, to ty, mam, cześć. Nie, skąd, pędzę na spotkanie.

— Nawet w weekend nie umiesz porządnie wypocząć. Wydzwaniam do twojego domu od piątku, ciągle cię nie ma i muszę dzwonić przez tę rakotwórczą komórkę. Znowu siedzisz w pracy? — Mama zaczęła od tego, co zawsze.

— Przeciwnie, wypoczywam, czuję się wspaniale, delectuję się życiem i tego się będę trzymać — powiedziała z największą dozą spokoju, na jaki mogłam się zdobyć na chwilę przed burzą.

— O Boże, mam nadzieję, że nie wyrzucili cię z pracy!

— Marzę o tym — westchnęłam.

— Lukrecjo, ja cię uczulam! Nie wykonuj żadnych pochopnych ruchów. Nawet jeśli miałaś awanturę z szefem, musisz odpuścić. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że kobiety w przededniu menopauzy nikt nie zatrudni?

— Mamo, zlituj się!

Byłam na straconej pozycji i nie miałam pomysłu na to, jak się wymknąć. Jeśli ktoś w naszej rodzinie był konsekwentny, to właśnie moja matka. Jedyne problemy polegały na tym, że konsekwencję tę objawiała w dręczeniu mnie swoimi paranojami.

— Oczywiście! Każdy będzie się bał zmienności nastrojów, braku koncentracji, mniejszej wydajności — wyrecytowała matka z tym swoim nagłym przebłysem konkretności, którego nigdy nie dawało się przewidzieć.

— Jaka menopauza? Ja jeszcze nie mam nawet czterdziestki! — zaoponowałam.

— Córuniu, to już prawie tak, jakbyś miała. A czterdziestka dla zabieganej kobiety to jak pięćdziesiątka dla normalnej. No a poza tym ty o wiele dojrzalej wyglądasz, bo urodę masz niestety po ojcu. Uroda południowa bardzo postarza i pogrubia. Nadwaga zawsze u kobiety...

— Mamo, przecież ja nie mam nadwagi!

— No ale w każdej chwili możesz mieć. Nie wiesz, co potrafią działać hormony!

— Mamo, czy nie mogłabyś zająć się swoimi?

— Jesteś pozbawiona uczuć, właśnie dlatego skończysz jako samotna i bezdzietna kobieta z nadwagą. Zobacz, wspomnisz moje słowa.

— Dzięki, mam. Pa, muszę kończyć! — uciełam.

Znowu. Jak małe dziecko przyłapanie na gorącym uczynku przymknęłam

oczy, by udawać, że nie ma mnie tu, gdzie jestem. Że nawet jeśli cokolwiek słyszę, to tego nie wchłaniam. Zamiast od razu zatrzymać ten potok słów. Stawić opór. Czy właśnie takie atrakcje ma dla mnie ziemia przodków, na której czeka wielkie szczęście i pieniądze zarobione na wątrobie? Oby nie na jej marskości. A jeśli moje babki i prababki tak samo torturowały poradami swoje córki? Może to wszystko płynie w genach. A jeśli to gen zbiorowy? Może całe pokolenie dzisiejszych trzydziestolatek czeka samotność. Zakładając, że tylko co dziesiąta kobieta na świecie karmi córkę jedną czwartą tej demotywującej papki, jaką moja matka serwuje mnie, to trudno się dziwić, że kobiety dobiegające czterdziestki, i te młodsze, wieczory spędzają głównie na kozetkach psychoanalityków lub kursach reperacji duszy. Tymczasem mężczyźni w ich wieku opuszczają popołudniami swoje fotele prezesów i idą na tenisa lub uprawiać sponsoring tych dziewczyn, które nie mają jeszcze kasy na psychoanalityka. A przecież statystyki mogą wyglądać o wiele gorzej.

Uno, due, tre, jesteś tym, o czym myślisz, więc już lepiej nie myśl! Oddychaj... albo wdychaj uroki mediolańskiego wieczoru. Tę miłą zawiesinę truflowej oliwy z pomidorami roznieconymi wonią podgrzanego czosnku. Zapach pomidorów jest jak podróż w stronę letnich dni. Ich dojrziała czerwień porywa do wielobarwnych ogrodów. Hodowcy, którzy eksperymentują z ich kolorem, to szaleńcy. Niebieskawe nowoczesne miksy pomidorowo-borówkowe zalatują arogancją, choć przyznają, że zielonkawe odmiany, ze swoim pikantnym, trawiastym posmakiem potrafią zaskoczyć podniebienie, pomarańczowe uwieść słodyczą, ale to czerwień jest królową. I niech tak zostanie, przynajmniej w pomidorowym królestwie. Czerwień krwista jak poraniony palec lub lekko malinowa jak nabrziałe usta. Czerwień rozpalona słońcem kończącego się sezonu i ta delikatna, dopiero wynurzająca się z żółci. Kiedy wbijasz zęby w skórkę, czujesz moment oporu, a zaraz potem to przyjemne tryśnięcie mięszu.

— Lukrecjo, nareszcie! — krzyknęła entuzjastycznie Claudynka. — Jak zwykle oszałamiasz zapachem! Cóż to?

Siedziała wyprostowana jak bogini, która z pewnością nie przechodzi seansów demotywuujących ze sfrustrowaną matką i nie sublimuje seksualnego deficytu fantazjami kulinarnymi. Emanuje takim blaskiem, odcinającym ją wyraźnym konturem od szarogranatowego nieba, że nikt by się nie ośmielił raczyć jej kłamliwą wymówką na temat swojego spóźnienia.

— To nowość! — uchwyciłam się bezpiecznego tematu perfum. — Na

wejściu mandarynka i narkotyczna tuberoza, w tle irys i woń mimozy, a potem odważny agar, tajemnice żywicy i dyskretny dotyk wetiweru — dodałam z rozkoszą.

— Jesteś boginią! Nosa, podniebienia i zmysłowego życia. Założę się, że za tym spóźnieniem stoi lub leży ktoś obezwładniony twoim zapachem. — Uśmiechnęła się prowokacyjnie.

— Owszem, tak, to znaczy nie. Wyobraź sobie, że kilka dni temu miałam straszny sen...

— Znowu pędzący rogacz? — wytrzeszczyła oczy, pocałowałwszy mnie w policzek.

— Gorzej. Śniły mi się wypadające zęby. Chyba przez to mam teraz jakąś obsesję. Po pięć razy wracam w to samo miejsce, wolniej chodzę... Jakbym miała coś zgubić. Claudynko, ale ty wyglądasz olśniewająco!

— Olśnienie wieczoru zapewnił nowy mat *numero* trzy, podkład, który zmienia duszę — zaintonowała swoim seksownym głosem Claudia i odruchowo wyprężyła pierś. Zaraz potem wykonała swój ulubiony gest, coś w rodzaju pstryczka, który znaczył coś pomiędzy „mamy to” a „naprzód”, i zanurkowała po iPhone’a.

Zdejmując płaszcz, kątem oka kontemplowałam jej niewidoczne bruzdy nosowe. Zachwyty mieszały się z przecuciem, że pod tym olśniewającym podkładem kryły się ślady nakłuć po igłach, które wtłoczyły w twarz Claudynki trochę deficytowej młodości. Stosownej do kondycji nowoczesnej kobiety, a mnie ciągle jeszcze napawającej straszliwym lękiem. A jeśli moje dziesięć minut codziennej męki przed snem przeznaczone na masaż Kobido, który ma mnie ocalić przed zwisem chomika i worami pod oczyma, to za mało, by olśniewać jak Claudynka?

— Zęby, zęby, zęby... No więc, jeśli się chwiały, to czekają cię straty finansowe. — Claudia przeszukiwała sennik internetowy. — Jeśli wypadły wszystkie, to wypadek lub choroba. Rany boskie, Lukrecjo!

— Nie, tylko jeden!

— To oznacza utratę władzy, zaufania lub poczucia własnej wartości. Och... *bella*, aż się boję pytać, czy znowu wpakowałaś się w aferę z jakimś seksualnym partaczem albo niedocenianym przez świat neurotykiem, który wymaga pilnej ekstrakcji — zaśmiała się tak donośnie, jak tylko ona potrafi, od przepony przez gardło, wybrzmiewając echem na drugi koniec restauracji.

— Wprost przeciwnie, jestem wypakowana, wracam z kursu *Wyzwolenia*

przez oddech — odpowiedziałam, przyjmując pozycję wyprostowaną jak superjoginka.

Moje życie na pogłębionym oddechu robi, co może, by na dobre się zacząć. Ale dlaczego ciało wchodzi mu w paradę nerwowym zaciskiem? Wystarczy, że się wyprostowałam, a już poczułam, jak nienaturalnie to robię. Wyciągnęłam tarczę, mimo że nikt we mnie nie celuje. A już na pewno nie Claudynka. Owszem, bywa dosadna, ale nie złośliwa. *Uno... due... tre...* Nie bądź narwana — powtarzam sobie. Przyszłość należy do tych, którzy potrafią używać emocji dla własnego dobra. W końcu rzeczywistość jest tylko taka jak nasza jej interpretacja. Czas zacząć się śmiać ze swoich tinderowych klęsk. Tylko jak, skoro Claudia wpadła w swój ulubiony ton?

— Wadą kursów oddechowych jest oddalony w czasie dostęp do satysfakcji, Lukrecjo, i to złudne poczucie, że jesteś spokojniejsza niż zwykle, a nie jesteś.

— Jak nie jestem, kiedy jestem? — powiedziałam na prawie pełnym wydechu.

— Ależ skąd! Nawet w trakcie powtarzania oddechów fantazjujemy o seksie albo przeżywamy to, co chciałyśmy komuś powiedzieć, ale nie powiedziałyśmy, albo co miałyśmy z kimś zrobić, ale nie zrobiłyśmy.

— Sfiksowałaś, Claudynko. Za dużo czytasz psychologicznych poradników albo za często się kołczujesz. Posłuchaj, po to właśnie robisz wdech — zademonstrowałam: *uno... due... tre...* — i wydech, by nie fantazjować, nie czekać na spełnienie jakichś przepowiedni, tylko po prostu być.

Trudno powiedzieć, czy mówiłam do Claudynki, czy może bardziej do siebie samej, by ostudzić emocje, które od godziny wywoływały bulgot w moim żołądku.

— Brzmisz jak zmotywowany do zakupu klient biznesu mindfulnessowego, a wyglądasz jak ktoś, no *sorry*, kto właśnie jedzie w sprawie reklamacji.

— Ale to nie był mindfulness — szepnęłam, zastanawiając się, czy to możliwe, że w życiu Claudynki w ostatnich dwóch tygodniach nie pojawił się żaden sukces wart omówienia.

— Wszystko jedno. Lukrecjo, nie bierz tego do siebie, nie mam nic przeciwko fulnessom i innym biznesom oddechowym. — Tu, jak przystało na Claudynkę, wzmocniła swoje słowa właściwą pozycją głębokiego odprężenia. — Chodzi o ciało kobiety, które jest potężniejsze niż jej ambicje.

— O, moje na pewno! O pięć kilogramów minimum, ale od jutra ruszam

z brzuskami — wzdrygnęłam się.

— Jesteś przewrażliwiona. Chodzi o pamięć ciała. Zrozum, kobiece ciało miarowy oddech kojarzy z...

— Z zadyszka przy czterdziestym brzuszku.

— Z orgazmem! Bo orgazm... — zawiesiła głos. — Dla nas dwa razy, poproszę! — zwróciła się do młodziutkiego kelnera, który wyrósł jej za plecami.

— Dwa razy... — zaczął kelner, a jego piękne zielonkawe oczy zdecydowanie się powiększyły.

Po chwili pełnego napięcia milczenia, nie spuszczać wzroku ze zmieszanego kelnera i z trudem tamując śmiech, obydwie równocześnie krzyknęłyśmy:

— Prosecco!

To w Claudynce lubiłam najbardziej. Jej zamiłowanie do konkretności, które w żaden sposób nie zakłócało działania intuicji. Potrafiła w sposób analityczny, tonem naukowca rozłożyć na części pierwsze ziarenko pieprzu albo przeanalizować naturę długiego pocałunku, jakby mówiła o budowie skomplikowanej maszyny. A jednocześnie ulegała czasem ezoterycznym teoriom albo odkryciom, które traktowała z całą powagą. Ta jej szalona wprost dyscyplina nie kolidowała, o dziwo, w żaden sposób z umiłowaniem rozkoszy.

— Claudynko, właśnie po to robisz te oddechy, żeby chwilowo nie myśleć o orgazmie — wróciłam do wątku.

— Marzenie ściętej głowy! To działa odruchowo. A już zwłaszcza ten oddech pompujący przeponą, miałaś go na kursie?

— Tak, ale...

— On jest totalnie orgazmiczny skojarzeniowo.

— Ale pozostałe są powolne, odprężające.

— Ano właśnie, zupełnie jak po orgazmie! — krzyknęła triumfalnie Claudynka. — W najgorszym przypadku przywiedzie ci na myśl uczucie rozczarowania, że orgazmu nie było. Nie, zdecydowanie techniki tego typu nie podkreca cię do życia.

— Za nasze orgazmy! — zaproponowałam, korzystając z okazji, że kelner wniósł kieliszki i z wielką starannością ustawił je na naszym stoliku.

Wieczór był tak przyjemny, że wydawało się, jakby zaraz miały zakwitnąć magnolie, a tuż po nich akacje, tymczasem luty trwał w najlepsze. A może nie

była to kwestia powietrza, tylko nagłe rozprężenie w mięśniach? Miałam nadzieję, że to weekendowe oddychanie, a nie kilka łyków prosecco, wreszcie daje o sobie znać.

— A może ty powinnaś poddać się *Technice emocjonalnej wolności*? — powiedziała z nagłym olśnieniem w głosie Claudynka.

— *Bella*, co cię napadło? Jakiej znowu technice? Nie jestem wcale zniewolona.

— Czy panie już zdecydowały? — Kelner przypomniał o swoim istnieniu.

— Tak, poproszę noisettes z listkami laurowymi i cytryną — powiedziałam, przypatrując się jego pięknym oczom.

— Dla mnie saltimbocca z indyka — rzuciła Claudyna. Nie dawała za wygraną. — Lukrecjo, ja też tak uważałam, ale do czasu.

Coś się musiało stać. Nawet jak na moją przyjaciółkę, zaprawioną w głoszeniu samorozwojowych tyrad, ten wywód wydawał się już zbyt natarczywy. Czyżby jej ciągle podnoszona świadomość partnerska w związku z ognistym Giovannim osiągnęła niebezpieczne apogeum, za którym czai się już zupełnie niewinna przeszkoda? Na przykład jakieś chwilowe uzależnienie, o którym każda z nas woli powiedzieć, że jest lepsze od kompletnej bierności. W końcu uzależnienie zazwyczaj przychodzi po jakimś wyrzucie adrenaliny. Powinnam zapytać ją wprost, domniemania są najgorsze. Zaletą kursów oddechowych jest to, że zanim postawi się niełatwe pytanie, można nabrać powietrza.

— *Bella*, *Technika emocjonalnej wolności* pozwoli ci szybko i skutecznie rozwiązać konflikt — zapewniła żarliwie Claudyna, a ja czułam, że ten dziwny dialog zaraz doprowadzi którąś z nas do emocjonalnego rozbicia.

— Nie mam z nikim konfliktu, Claudynko, co się z tobą dzieje?

— Masz, wewnętrzny. Właśnie dlatego jesteś singielką. Uciekasz przed poważnym związkiem, bo boisz się, że albo cię ktoś stłamsi, albo porzuci — westchnęła ze zrozumieniem. — Ja właśnie dzięki tej technice uwolniłam przyczynę emocji, które czułam, gdy Giovanni opowiadał mi o swojej asystentce. Może tobie też by to pomogło?

— Jak to? Mówiłaś, że skończył ten romans i że ona już u niego nie pracuje — powiedziałam z poczuciem ulgi, jakiej doznaje ktoś, kto wreszcie schodzi z własnej kozetki i może pobabrać się w cudzym życiu.

— Zatrudnił nową — rzuciła ostro Claudyna, rozszerzając oczy. — Wygląda *identico*, a nawet gorzej, to znaczy lepiej. Jest pięć centymetrów

wyższa, jeszcze smuklejsza, chyba że to te jej obcasy, już sama nie wiem, no i jeszcze bardziej przebojowa.

— Ale czy coś między nimi...? — Aż bałam się pytać.

— Jeszcze nie mam dowodów. Mam za to złe przeczucia. Wiesz już, dlaczego chciałam zmienić swój wzorzec mentalny.

Właśnie takie jest życie. Zmienne, podstępne i potrafi w najmniej spodziewanym momencie wymierzyć cios nawet komuś takiemu jak świadoma siebie Claudia, do której nie pasują klęski. Ale swoją drogą, czy jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach odważyłaby się wejść w związek z najprzystojniejszym mężczyzną, jaki mijają codziennie Porta Garibaldi? Z mężczyzną, który zanim wysiadzie ze swojego czerwonego alfa romeo, żeluje włosy, a zanim przejdzie na drugą stronę ulicy, rzuca *ciao* minimum trzem nieznanym kobietom w dowolnym wieku? Trudno powiedzieć, czy łatwiej pozbyć się z życia wiecznie pobudzonego Giovanniego, czy wzorca zapisanego w umyśle na skutek pobudzenia emocjonalnego. Jedno jest pewne, Giovanni się nie zmieni, choćby nie wiem jak intensywnie pracowała nad nim lub nad sobą Claudynka. Nowe obiekty seksualne w jego życiu są tym, co my wszystkie nazywamy nałogiem, a Claudia — dla własnego ocalenia — złym przeczuciem.

— A może niczego nie musimy zmieniać? Tylko uwierzyć, że życie rozwija się samo, ma swoje cykle, przynosi miłość, a potem ją odbiera, coś uśmierca, a potem odradza, a my po prostu musimy za tym podążać? — zapytałam, wodząc na pocieszenie wzrokiem za musem z mascarpone obłożonym pestkami granatu, który kelner postawił przy sąsiednim stoliku.

— Zwariowałaś? Nigdy w życiu! Wznoszę toast za wojnę wypowiedzianą uległości! Zamówmy jeszcze jedno prosecco i pływamy z życiem, ale na naszych zasadach — krzyknęła Claudia.

— Wiwat my! — podniosłam kieliszek.

Ani my same, ani nikt z gości siedzących nieopodal nie miał już chyba wątpliwości, że sytuacja jest na tyle poważna, że ten wieczór tak szybko się nie skończy. Bąbelki prosecco mieniły się w blasku świec, a gesty Claudynki traciły swoją naturalną grację. Stawały się kanciaste i coraz bardziej raptowne. Przerywnik z serowego musu z dodatkiem granatu wydawał się jak najbardziej uzasadniony. Zamówiłam jedną porcję do podziału. Obydwe czułyśmy w tej chwili, że przetrwanie naszego gatunku nie zależy jedynie, jak dotąd sądzono, od zdolności kobiet do współodczuwania, budowania więzi

i kultywowania odruchów wspólnotowych. Wymaga jeszcze rozpoznania siły, która popycha falę życia do przodu, i nadania jej najkorzystniejszego kierunku. Rozpoznawanie tej siły szło nam coraz lepiej z każdym kolejnym kieliszkiem.

— Lukrecjo, każda z nas ma na koncie dziesiątki katastrof, z których większość wydarzyła się tylko w naszej głowie. Kobięcy lęk przed zmianą wynika z ciągłego wyobrażania sobie klęsk — ciągnęła ożywiona Claudynka.
— My nigdy nie jesteśmy zanurzone na maksa w jednej chwili, w jednej rzeczy. Ciągłe coś przewidujemy, przypuszczamy. To kobiece przekleństwo.

— O, mów za siebie, ja w tej chwili jestem całą sobą w tym jedwabistym, lekko cytrynowym musie.

— Ale przyznaj, że ciągle wypierasz swój lęk przed rzuceniem swojego korpo.

— Co takiego? — Rozparłam się pewniej na krześle, na wszelki wypadek, gdybym zaraz miała się obsunąć.

— Te twoje bolące łokcie na przykład... To on.

— Kto?

— Lęk. Chce być zauważony, więc ciągle masz objawy psychosomatyczne.

— I tu się mylisz, Claudynko. Ja go nie wypieram, ja na niego napieram! Od jutra! Zaczynam rewolucję! *Addio*, wszystkie lęki świata! Rzucam korporację!
— wrzasnęłam pod wpływem jakiejś wielkiej siły, który zalała mnie od środka.

— *Cincin!* Wiwat my!

— Wiwat nieustraszonosc! — Stuknęłyśmy się kieliszkami.

— Tylko błagam, niech ta rewolucja, która tak dobrze się zaczyna, nie skończy się jutro na kolorze platynowy blond. — Zaśmiała się Claudyna.

— Może nawet nazywać się *Golden Edition*, ale bądź spokojna, włosy wyjdą z niej cało!

Nie każdy skurcz żołądka zwiastuje szaleństwo, ale każde szaleństwo kurczy żołądek i wywołuje w nim bulgot. Tak przynajmniej jest ze mną. Ta długa noc była jak tsunami. Gadałyśmy jak nakręcone, ale rozstałyśmy się jak po turbodoładowaniu. Próby nazwania tego, co czułam, wracając nad ranem uśpionymi ulicami Mediolanu do domu, domagałyby się słów, których nigdy dotąd nie używałam. Pewnie jeszcze nawet ich nie znam. Jedno wypowiedziane w obecności Claudyny zdanie uruchomiło lawinę w całym moim ciele. Jakby wszystkie płyny biegnące od rdzenia aż po czubki palców poruszyły się i zaczęły zmieniać swój rytm. Wypychały zastałe tkanki,

przejmując na nowo drogi swoich przeływów, wprawiały wszystko w ruch. Moje stopy mocno i pewnie stykały się z ziemią, a gdy się odrywały, wzbijałam się w powietrze jak nadmuchany helem balon. Lekka, prawie przezroczysta, szybowałam ponad grą świateł i cieni, poza lękami wynurzającego się z ciemności miasta. Tuż ponad żelazno-szklaną kopułą dziewiętnastowiecznej galerii Vittorio Emanuele II, nad dachem La Scali, wokół fontanny ukrytej w ceglanych murach Zamku Sforzów i jeszcze dalej, nad ścianami Pinacoteca di Brera, gdzie skrywali się Canaletto, Caravaggio, Raffaello i inni. By potem zatoczyć łuk i znów frunąć nad sukniami wystawionymi w witrynach wzdłuż Via Montenapoleone, Via Della Spiga, Via Manzoni, Via Sant'Andrea i dalej, hen nad kanał Naviglio Grande. Nawet tu, w zawsze głośnym skrawku miasta, teraz było cicho. A ja wciąż frunęłam, znów wierząc, że czekają na mnie nowe życie i nowa miłość.

Rozdział 3

Przepowiednie budzą instynkty

Pchana energią dogasającej nocy i dziwną falą, nie zmrużywszy oka, o poranku wyszłam do pracy. Wypiłam ulubione espresso z cynamonem, zostawiając na nim ślad karmazynowej szminki. Jak w transie przekraczałam kolejne progi biura. Rozejrzałam się po twarzach pochylonych nad stołami. Stały się nagle częścią ruchomej dekoracji, która blakła w oczach. Zrobiłam energiczny obrót na swoim skórzanym fotelu. Ułożyłam z fluorescencyjnych flamastrów jaskrawe koło. Wstałam, wzięłam głęboki oddech i weszłam do gabinetu mojego zimnego jak sople lodu szefa. Wręczyłam mu wymówienie. Wszystko dziwnie przyspieszyło. Jakby ktoś włączył przewijanie. Słowa wypadały z ust — moich, jego, może i innych. Rozległy się odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi. Kliknięcia czipów.

Wszystkie te dźwięki rozplývają się teraz w szumie wirującej pralki. Jeszcze nie składają się w całość, jeszcze nachodzą na siebie jak zdarzenia we śnie. Te, o których myślimy, że nie należą do nas, ale wiemy, że gdzieś, w jednym z równoległych światów, już miały miejsce. Wielka seledynowa walizka stoi przede mną jak pomnik. Przerzucam wokół niej stopy rzeczy, z których każda wydaje się chwilowo mniej konieczna od drugiej. Dziesiątki sukienek, spódnic, bluzek, wszystkie miały zapewnić mi wielkie wejście lub niezapomniane wyjście. Wśród nich kilka tych, których nigdy nie włożyłam, kupując je z nadzieją, że znów powrócę do rozmiaru trzydzieści sześć. Torebki na wielkie wyjścia, z których raptem dwie są w ciągłym użyciu. Pozostałe wyczekują swojej godziny, która nigdy nie wybija. Paski i buty w najróżniejszych kolorach, na różnych wysokościach. Oby zdążyć. Zapełnić

tę walizkę i zapiąć ją. Przed niczym już się nie cofać. Zanim wznosząca się krzywa szczęścia zacznie spadać, a ja zaleję się zimnym potem. Zanim ten stan dziwnej niewygody, który towarzyszył mi przez ostatnie tygodnie, a może i lata, zostanie zagłuszony przez rozmiar mojego strachu i pytanie: co dalej? Jeszcze tylko ten jeden ruch. Wypowiedzieć to na głos, bo gdy coś mówisz, wprawiasz to w ruch. Pozwalasz temu zaistnieć.

— *Ciao*, Wera, nie śpisz? — szepnęłam do słuchawki.

— *Bella*, czuję poruszenie w twoim głosie, czyżby jakiś nowy obiekt na horyzoncie? — zawołała entuzjastycznie Wera.

— Tak, to znaczy nie. Żadnych obiektów, żadnych obiekcji, pakuję się i właśnie chciałam...

— Błagam, tylko nie mów, że jedziesz na narty z tym samym psychopata, co ostatnio. Przypominam, że to przez niego przeszłaś na pocieszający system bezowo-muffinowy!

— Wera, ja wracam...

— Każda z nas wraca w marzeniach do rozmiaru trzydzieści cztery, gdy nie może się wcisnąć w sukienkę. Ja już od pięciu lat jestem na drodze powrotnej.

— Zaśmiała się.

— Przyjeżdżam do Warszawy — wydusiłam to wreszcie. — Słyszysz mnie? Czy mogłabym zatrzymać się u ciebie przez kilka dni, dopóki...

— Żartujesz?! Lukrusiu kochana, nie do wiary! Cudownie! Oczywiście, na ile chcesz! Wzięłaś urlop? Będzie odlot! — miauknęła Wera.

— Odlot, a nawet przylot! Pojutrze! Rozumiesz?! Rzu-ci-łam pracę! Wracam do Warszawy! Słyszysz to?! — wrzasnęłam.

Trudno powiedzieć, czy cisza po drugiej stronie była formą niemego zachwyty, czy przerażenia, ale wydawało mi się, że trwa całą wieczność. Po tylu latach mojej włoskiej emigracji rzeczywiście wyglądało to pewnie jak przylot kosmity. Wera. Tylko ona mogła mnie teraz utrzymać w górze, na wysokości moich nadziei, i sprawić, by lądowanie było w miarę łagodne.

— O w mordę jeża. Nie wierzę... — wyszeptła poruszona — Będzie bosko! Odbiorę cię z lotniska. Spędzimy dwa dni w trybie *all inclusive*! — krzyczała rozpromieniona. — Nie mogę się doczekać.

— Sama w to jeszcze nie wierzę!

— Jutro nabędę wszystkie dostępne w Śródmieściu superfoody na nasze multi-eko-wibracyjne koktajle poranne! Kupię te kolendry, bazylie i inne chwasty, bez których nie umiesz żyć. Zrobimy powitalną ucztę! Bruuum!

— Jesteś kochana! Dzięki, Weri. Weri weri *much*.

— No ale potem, uwaga, uwaga... zadekuję cię tu samą, bo ja wyjeżdżam na ekscytujące walentynki z ekscytującym Kacprem brodaczem.

— Wow...

— Jutro poznasz go osobiście. Ale nie płacz, mała, wracam po dwóch dniach i znowu zacznie się nasze *all inclusive*.

— A więc jednak Kacper brodacz... Czyżby przeszedł do rzeczy?

— Och, to największe zaskoczenie pięciolecia!

— A tak panikowałaś, że jest niewysoki i że na pewno...

— Radykalna zmiana strategii, moja droga.

— Rozmiar nie gra roli?

— Gra! Zawsze gra, *bella*! — Zaśmiała się. — Ale czas zrehabilitować członka. Musimy całkiem inaczej spojrzeć na jego potencjał, Lukrecjo!

— No, no, czyżby nieduzi mieli duże?

— Zgłębiłam temat. Wyobraź sobie, że wielkość członka nie ma nic wspólnego ze wzrostem mężczyzny. Teraz zgaduj!

— Chodzi o testosteron?

— Testosteron matki.

— Co?

— Szok, prawda? Gabaryt członka zależy od poziomu testosteronu, który miała matka w pierwszym trymestrze ciąży. Także, droga Lukrecjo, przed nami poszerzone pole możliwości. Nieduzi wchodzą do gry.

Wera, cudowna, szalona Wera! Dźwięk jej głosu przywraca kierunek myślom rozbieganym w mojej głowie. Wreszcie do mnie dociera, że to się dzieje naprawdę. Za dwa dni wyląduję w jej przytulnym mieszkaniu z widokiem na sąsiednie dachy. A zaraz potem będziemy się włóczyć aleją Wyzwolenia, Mokotowską, Alejami Ujazdowskimi. Zupełnie jak wtedy, na studiach, gdy szczytem *dolce vita* było dla nas nalanie sobie do kieliszków wermutu i chodzenie z nimi po Łazienkach. W dzikim podnieceniu, czy nie dojrzy nas jakiś strażnik w meleksie. Gdy się zjawiał, plotłyśmy coś do niego w zmyślonym języku. Patrzył na nas jak na ufoludki, machał ręką i odjeżdżał, a my zataczałyśmy się ze śmiechu. Potem zrywałyśmy forsycje, robiłyśmy z nich związtywane sznureczkami pióropusze. Przyczepiałyśmy do szalików i pędziłyśmy na rowerach, udając azteckich bogów słońca. Forsycje! Zaraz wybuchną w gąszczach nad Wisłą. Na niewielkich skwerach Powiśla. A potem tulipany w parku Ujazdowskim. Z sentymentem pomyślałam

o kolorowych rajstopach, które dobierałam do kwitnących aktualnie kwiatów. Kiedy to się stało, że na dobre z nich wyrosłam? A kiedy przestałam całować się na ławkach? Kiedy ostatnio miałam seks pod rozgwieżdżonym niebem w miejscu takim jak Świątynia Westy w ogrodzie Saskim? Z moim pierwszym chłopakiem nazywaliśmy ją wieżą miłosnych ciśnień. Zbiegaliśmy stamtąd tak bardzo upojeni sobą, że dopiero w domu zauważałam w moich pantoflach kilogramy żwiru z parkowych alejek i poobcierane od tego stopy.

A co, jeśli po tygodniu euforii obudzę się oblana strachem, że rzuciłam jak kretynka swoje bezpieczne życie, nie mając pomysłu na żadne inne? Jeśli niczego nowego nie stworzę, na nic się nie odważę i dopadnie mnie depresja? Zaczną się roztopy, na powierzchnię wypłyną wszystkie lęki. Zupełnie odkleiłam się od Warszawy, od tamtego świata i ludzi. Znam to miasto już tylko ze wspomnień i relacji Wery, z narzekań matki. Jak ja w ogóle jej o tym powiem? Matka wpadnie w panikę. Właściwie sama to wykrakała. Zresztą może depresja dopadłaby mnie i tutaj. Za tydzień albo za miesiąc. Przy pracy nad kolejnym konceptem kreatywnym, polegającym na wciskaniu dzieciom nafaszerowanego olejem palmowym substytutu życiowej słodyczy. A jeśli to mój instynkt życia objawił się pod postacią tarocistki i to on kazał mi stąd uciekać? Kto wie, czy poczucie bezsensu nie bierze się z tego, że zamiast otworzyć się na całą lawinę uczuć, na euforię i strach, podniecenie i niepewność, blokujemy wszystko, co nieprzyjemne. Dajemy się zamrozić, żeby przetrwać w mechanice powtarzających się dni. Wypierając lęk, dusimy radość. Obojętniejemy. Będzie, co ma być. Niech wszystko płynie.

Zacząłam segregować rzeczy, oddzielać te do odłożenia do pudeł i te, które idą do walizki. Pudeła pogrupuję tematycznie i przechowam w piwnicy któregoś ze znajomych. Transportem zajmę się wtedy, gdy znajdę sobie stałe miejsce. Na razie muszę się zmieścić w jedną walizkę. Muszę wyruszyć. Muszę przestać mnożyć w głowie trudności. Brawo nieustraszone! Brawo ja!

Wera, a może zapiszemy się razem na aquaerobic? Przypomnę, że pierwsze podejście miałyśmy w trzeciej liceum! A może pole dance? Lofka

Wysłałam jeszcze SMS-a do Wery i w przypiływie entuzjazmu zaczęłam upychać ciuchy w walizce. Powyrzucałam wszystko w kolorze szarym i czarnym. OK. Zostaje jedna obcisła mała czarna, na wypadek ekspresowego zakochania, któremu towarzyszy nagłe schudnięcie. Poza tym zielenie, róże, czerwienie, pomarańcze, fiolety, dużo szafirów, niebieskiego. Tego, co

kojarzy się z oceanem, z falą. Kolory! Wracam do was! Wracam do życia. Adrenalina znów podskoczyła. Dziś już chyba nie zasnę. Po chwili zadźwięczał sygnał.

Aqua tak, rura never! Od kiedy kobiety zaczęły traktować wygibasy na rurze jako fitness, emancypacja idzie na dno. Lofka

PS. You made my day, Lukrusiu! Czekam bardzo.

Rozdział 4

Problemy rozwiązują się same albo gubią się w natłoku innych spraw

Warszawa zmieniła zapach. Poczułam to w momencie, gdy wysiadłyśmy z samochodu u zbiegu ulicy Natolińskiej i alei Wyzwolenia. Lot z Mediolanu minął niepostrzeżenie — nawet nie zauważyłam, kto siedział obok mnie w samolocie. Droga z lotniska, która zawsze tak mi się dłuży, trwała zaledwie chwilę. Zanim jeszcze wytaszczyłyśmy moją seledynową walizę z bagażnika, by wnieść ją na czwarte piętro, poszłyśmy na plac Zbawiciela. Musiałam zacząć od espresso. Wera doskonale to rozumiała. Wiatr osuszał kałuże, a w powietrzu mieszały się wonie wilgotnej ziemi, palonej kawy i migdałowych croissantów. Zapachy kawiarnianego życia zawładnęły placem. Prawie tak, jak we włoskich miastach. Nigdy wcześniej w Warszawie czegoś takiego nie czułam. Może nie miałam szansy. Przez ostatnich dziesięć lat przylatywałam tu dwa razy do roku na kilka świątecznych dni i uciekałam.

Usiadłyśmy w przebrzmiałej, jak to określiła Wera, kawiarni Charlotte, która trzy lata temu była podobno królową Śródmieścia Południowego. Według Wery dziś przyćmiły ją już nowe miejsca i szybko zmieniające się mody. Mimo popołudniowej pory prawie wszystkie stoliki były zajęte. Zostały dla nas wysokie taborety przy oknie, z którego rozciągał się widok na cały plac. Przypomniłam mi się sklep rybny, który był tu w moim dzieciństwie. Przez moment powrócił nawet w wyobraźni miks rybich zapachów. Gdzieś obok

mieścił się punkt łapania oczek w pończochach, do którego chodziłam czasem z babcią. A potem, w przeciwległym rogu placu, siadałyśmy w cukierni. Ja nad kolorową galaretką, a babcia nad kawą.

— Rzeczywiście szal na brody tu nie mija — zauważyłam, rozglądając się po wnętrzu.

— Ma to pewne zalety. Dwudziestopięcioletni mężczyzna przy kobiecie czterdziestoletniej wygląda na starszego — szepnęła Wera, znacząco przenosząc spojrzenie w kierunku stojącego przy ladzie przystojnego młodzieńca w płaszczu z patkami.

— Młodzi — tak! Ale nie do tego stopnia! — Skrzywiłam się.

— Wolisz tego? — Uśmiechnęła się sarkastycznie, wskazując na wchodzącego brodatego sześćdziesięciolatka z ufarbowanymi włosami, ubranego w dzinsy, bejsbolówkę i bluzę z kapturem.

— Nie bądź taką radykałką.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Zapach espresso, który przełamalam jak zwykle odrobiną cynamonu, wprawił mnie w przyjemną błogość. Wera odebrała telefon. Trajkotała do swojego Kacpra, robiąc przeproszające miny. Przyglądałam się jej twarzy. Choć rysy nieco się wyostrzyły, jej łagodny wyraz zupełnie się nie zmienił. W ogóle nie miała zmarszczek na czole ani zagłębień w bruzdach nosowych. Jakby zastygła w czasie. Rozejrzałam się dookoła. Poczułam się tak, jakbym nigdy tego miasta nie opuszczała na dłużej niż weekend. Jego chaotyczny ruch wpasował się w mój wewnętrzny rytm, w pulsowanie krwi, uderzenia serca, oddech, spokojny, miarowy. Wszystko wydawało się harmonijne. Proporcje budynków, ruchy ludzi. Z jednej strony dziwnie bezpieczne, oswojone, a jednocześnie zupełnie zaskakujące.

— Wera! — krzyknęłam w pewnej chwili, olśniona swoim odkryciem. — To miasto wreszcie totalnie otworzyło się na zmysły.

— Chodzi ci o tego faceta w białej koszuli pod ścianą? — zapytała ściszym głosem.

— Nie! Chodzi o reaktywację pomponów — rozpałam się na dobre. — Co trzecia kobieta idąca przez plac lub wchodząca do kawiarni ma czapkę z pomponem. Widzisz to?

— Widzę, ale nie rozumiem.

— Gdy wraca moda na czapki z pomponem, to znak pobudzenia.

— *Bella*, co masz na myśli?

— Pompon u kobiety to dodatkowy narząd zmysłu. Nie uważasz?

Oczywiście w wymiarze symbolicznym. Jak unerwiona czułka na głowie owada. Taki receptor dotyku, węchu, smaku. To sygnał, że kobiety chcą znów więcej czuć. Że znów chcą kochać...

— Ha ha ha! Lukrecjo, jak mi było ciebie brak i tych twoich wysokoczułych rejestrów. Niech żyją pompony i powroty!

— Wiwat my!

Werka ścisnęła mnie z całej siły, a ja zobaczyłam w jej oczach dokładnie ten sam ładunek dziewczęcej radości jak wtedy, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Miałyśmy piętnaście lat i w wystrojonym na galowo tłumie czekałyśmy przed furką liceum. Tylko ona miała zielone buty, tylko ja zieloną kokardę. Wiedziałyśmy, że to nie przypadek. Nie pomyliłyśmy się. To przyjaźń od pierwszego wejrzenia, której nie naruszyły żadne zakręty na drogach naszego życia.

Tak rzadko w ostatnich latach miałam szansę widywać ten ładunek radości w jej zielononiebieskich oczach. Głównie wtedy, gdy Wera raz na trzy albo cztery miesiące zjawiała się na przedłużony weekend w Mediolanie. Albo gdy z rzadka udawało nam się umówić gdzieś razem na wspólny wypad. Żeby obejrzeć coś w Paryżu albo pochodzić przez dwa dni po ulicach Rzymu. Niekończące się rozmowy na Skypie oddzielały nas od siebie powłoką ekranu, która daje co prawda możliwość komentowania ciuchów, fryzur lub słabego wpływu maseczki z awokado na cerę, nie stwarza jednak szansy odczuwania w tej samej chwili wszystkiego tego, co wyłapują owadzie czułki. Dopiero teraz, gdy sączyłyśmy wspólnie espresso, dotarło do mnie, jak bardzo mi tego przez lata brakowało. Mimo że wiedziałyśmy o sobie prawie wszystko, nie mogłyśmy tak po prostu patrzeć na ten sam kadr miasta. Może rzeczywiście wspólne wachanie, odczuwanie w tej samej chwili tego samego smaku przenosi ludzi również w przyjaźni, podobnie jak w miłości, na wyższą częstotliwość wspólnych drgań. Poszerza obszar spajających nas bodźców.

— *Bella*, ruszamy! Musimy cię zadomowić, zanim zjawi się mój brodac, a ja mam jeszcze jedno spotkanie zawodowe — zawyrokowała Wera, patrząc na zegarek. — Wreszcie w moim interesie zaczęło się coś ruszać.

— Interesie serca czy materii?

— Oby w obydwu.

— O, w mordę! — wrzasnęłam niespodziewanie.

Największą słabością snów jest ich realistyczny wymiar. Wyglądało na to, że niskokaloryczne ciastko owsiane, które ugryzłam, by zwieńczyć pierwsze

espresso na ziemi moich przodków, pozbawiło mnie kawałka górnej trójki. Właśnie teraz, gdy poczułam harmonię z tym miastem i ze swoim nieprzemyślanym wyborem. Teraz, kiedy zaczynało być tak pięknie i kiedy uniknęłam, jak mi się zdawało, ryzyka emocjonalnego rozpadu wywołanego melancholią.

— Czy można gorzej zacząć nowe życie, niż tracąc ząb, zanim jeszcze zdecydowałaś, w co tak naprawdę chcesz się wgrzyźć?

— *Bella*, błogosław swój ubytek, nawet nie wiesz, co cię czeka — miauknęła Wera, robiąc swoje kocie oczy. — Dzięki niemu poznasz perwersyjnego Teofila Byczkę.

— Kogo?

— Najbardziej zmysłowego stomatologa w mieście.

Wera od razu przeszła do akcji i sięgnęła po swoją komórkę. — Jesteś wybranką bogów — powtórzyła ze trzy razy i cmoknęła mnie w czoło, gdy okazało się, że jakimś cudem jej rozchwytywany stomatolog ma dziś okienko, bo ktoś odwołał wizytę. Umówiła mnie na siedemnastą, zapewniając, że już na sam widok pana Teofila zaleje mnie fala rozkoszy, a potem będzie jeszcze przyjemniej. Teofil Byczko i dłubanie w zębach! Po takim zestawie spodziewałam się najgorszego, ale Wera nie dała mi szansy posmutnieć. Ledwo weszliśmy do domu i postawiliśmy walizkę pod oknem, już wniosła schłodzoną cavę. Odpaliła na komputerze YouTube'a i przybierając komiczny wyraz twarzy, zaintonowała ochrypłym tonem:

— Dla pani krajowej, co była długo zagraniczna, od wszystkich stęsknionych pań i panów ze Śródmieścia i okolic.

*Być kobietą, być kobietą
— marzę ciągle, będąc dzieckiem,
być kobietą,
bo kobiety są występne i zdradzieckie...
Być kobietą, być kobietą
— oszukiwać, dręczyć, zdradzać,
nawet gdyby komuś miało to przeszkadzać.*

Z głośników rozległ się głos Alicji Majewskiej, której piosenek nie słyszałam od wieków, a my, zupełnie jak w liceum, kiedy puszczałyśmy płyty rodziców, przekrzykiwałyśmy się, śpiewając razem z nią. Od *Być kobietą*

przeszłyśmy miękko do *Odkryjemy miłość nieznaną* i kto wie, czy nie dobiłybyśmy zaraz z jakimś papierowym księżycem do hotelu z obłoków i szkła w Jokohamie, wtórując Halinie Frąckowiak, gdyby nie rozdzwonił się telefon. Wera musiała wracać do rzeczywistości. Pobieгла na spotkanie ze swoją potencjalną klientką, której pokazywała apartament do wynajęcia na Mokotowie. Od dwóch lat, porzuciwszy korporację, jako niezależna agentka nieruchomości dzielnie podbijała serca tych, którzy marzyli o osiadłym życiu w pięknych wnętrzach. Miała oko do wyławiania perełek, zmysł aranżacji, intuicję i dar oczarowywania ludzi. Miała jednak również sporo obsesji, które nieco komplikowały jej życie. Jedną z nich była numerologia, którą Wera brała pod uwagę przy każdej potencjalnej transakcji. Dopasowywała numery mieszkań do numerów ludzi. Kierowała się tymi zasadami także w życiu. Zadręczała mnie swoimi prognozami typu: z nim się teraz nie umawiaj, on jest w roku dziewiątki, ma czas kończenia spraw, a nie zaczynania związków. Nieraz się z niej śmiałam i nieraz po fakcie mamrotałam coś na swoje usprawiedliwienie zakłopotana, gdy triumfalnie krzyczała w słuchawkę: a nie mówiłam! Kto wie, czy w ostatnich dniach z otchłani podświadomości nie dodawały mi odwagi słowa Wery, które wypowiedziała nad moim urodzinowym tortem:

— Lukrecjo, my, boskie jedyńki, w tym roku podbijemy świat. Dla nas to rok otwarcia, rok wielkich zmian!

Zatopiona w nastrojowych bąbelkach uznałam, że lepiej już myśleć o swoim roku jedyńki niż o wyszczerbionej trójce. Słońce wpadało przez przeszkłone drzwi balkonu, wypełniając światłem całe wnętrze. Niebieskie niebo z nisko zawieszonymi obłokami wyglądało jak dobrze dobrane tło scenografii. Mieszkanie Wery, wysublimowane w każdym detalu, roztaczało przyjemną aurę. Dawało oddech. Jej kunszt w łączeniu z pozoru niepasujących do siebie materii i kształtów zawsze mnie zadziwiał. Obrazki na ścianach skomponowane jak wariacja na temat Mondriana. Półki, na których obok francuskich wydań magazynu „*Elle Decoration*” i włoskich „*AD Architectural Digest*” stoją oparte o siebie, tworząc stożki, powieści Eleny Ferrante

i książki kucharskie, z których chyba żadna nie była nigdy w użyciu. Albumy klasyków erotycznej fotografii między dziełami Krishnamurtiego i Dalajlamy. Cała Wera. Kompozycja różnorodnych światów. Ale karty tarota na pudle z niemi to chyba nowość w tym zestawie?

Trudno powiedzieć, co mnie podkusiło. Może to wirus, którym zainfekowała mnie mediolańska wróżka, a może mieszanka podekscytowania i niepokoju, typowa dla tych, którzy najpierw podejmują decyzję, a potem myślą. Przetasowałam karty i wyciągnęłam pierwszą z brzegu, zadając w duchu pytanie: Co teraz? Nie, nie z zębem. Z tym wszystkim, co mnie tutaj czeka. Wypadła dziesiątka. A więc Koło Fortuny. Zmienność losu. Pech lub szczęście. Koło, które obraca się i popycha ludzi tam, gdzie sami nie mieliby odwagi się znaleźć.

Zatęskniłam nagle za matką, ale wciąż nie miałam odwagi do niej zadzwonić. Bałam się tego ścisku w gardle i przeciągającego się milczenia, gdy zapyta mnie, jak sobie wyobrażam dalsze życie jako starzejąca się singielka bez pracy. Nie znosiłam jej niekończących się wywodów i pouczeń, ale gdy tylko dłużej jej nie słyszałam, strasznie było mi jej brak. Poza swoją skłonnością do obsesji i ciągłego strofowania miała w sobie dużo sprzeczności, które czyniły ją czasem zabawną. Miała też, mimo częstego zrządzenia, głodny nowości umysł, ciągle coś odkrywała. Nawet jeśli po pewnym czasie kwestionowała to, czym niedawno się zachwycała, zawsze był w tym żar i kilka nowych spostrzeżeń. Niewykluczone, że zbyt przytłaczała swoją osobowością mężczyzn. Nie była też skłonna do kompromisów. Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego sama wyłądowna nie tam, gdzie chciała. Czy można to zwalić na niefortunne zbiegi okoliczności?

Odłożyłam kartę z Kołem Fortuny i poczułam zupełną pustkę w głowie, brzuchu, w całym ciele. Wszystko, co teraz mogłam zrobić na ziemi moich przodków, to chyba naprawić tę trójkę. A potem skorzystać z niezastąpionych rad ciotki Aurelii, czyli potraktować serio swoje pragnienia, a siebie z przymrużeniem oka.

*Gdzieś wyjeżdżać niespodzianie,
coś porzucać bezpowrotnie,
łamać serca twardym panom,
pewną siebie być okropnie...*

W tramwaju przez całą drogę dźwięczały mi w uszach słowa piosenki. Może nawet wtórowałam pod nosem Alicji Majewskiej, patrząc na przesuwające się za szybą puzzle szklanych budynków. Przyszłość wpisana w kształty nieznanymi mi wieżowców mieszała się z przeszłością wyzierającą spod starszych fasad. Niektóre z nich przynależały do mojego dawnego życia, kiedy spacerowałam tymi ulicami uczipiona jakiegoś chłopaka, przy którym chciałam zostać na zawsze. Jednocześnie czując, że coś gna mnie dalej, w stronę barwniejszego świata, wolnego od nadwiślańskiej melancholii. Czy kiedykolwiek mogłam przypuszczać, że cały ten wysiłek, by stąd uciec, poszybować do cieplejszych krajów, skończy się tym, że rzucę wszystko, by tu wrócić? W nadziei na nową miłość i nową wersję siebie.

Wysiadłam przy Świętokrzyskiej i skręciłam w ulicę Próżną. Stałam oniemiała. Piękne fasady kamienic, szyldy restauracji, wystawione przed drzwiami rośliny. To Paryż, Mediolan czy rzeczywiście miasto mojego dzieciństwa, Warszawa? Nie mogłam wyjść z zachwytu. Plac Grzybowski tętnił życiem. Z każdej strony wzbijał się w niebo jakiś przeszklony olbrzym. Warszawa stała się miastem ze snów, których pewnie nigdy nawet nie śnili moi dziadkowie. Wróciła do mnie we wspomnieniach babcia Zofia i jej opowieść o tym, jak ze swoją siostrą Aurelią przyjechały tuż po wojnie do zburzonej stolicy. Aurelia zakochała się w jakimś wielkopolskim mecenasie i wyjechała z nim do Poznania, a babcia zamieszkała na Muranowie. Ciotka Aurelia szybko się odkochała i znów się gdzieś przeniosła, ale babcia do śmierci pozostała w tym samym miejscu. Wciąż słyszała odgłosy szurania, stukoty albo jęki. *To duchy pomordowanych, Lukrecjo* — mówiła czasem szeptem, gdy przyjeżdżałyśmy z matką ją odwiedzić, a coś akurat zastukało. Mama wpadała wtedy we wściekłość. Nie cierpiała tych babcinych lęków. Któregoś dnia jednak wezwała egzorcystę, który miał zrobić z tym porządek. Nie wiem, czy mu się udało.

Ludzie, których mijałam, eleganccy, zabiegani, tak dobrze komponowali się z tymi budynkami, że przez chwilę wydawało mi się, że żaden inny świat nigdy nie mógł tu istnieć. Odnalazłam adres i weszłam do nowoczesnego wnętrza.

— Zwilżyć pani wargi? — zapytał dr Teofil Byczko, naciągając bardzo powoli rękawiczki w odcieniu lila na swoje smukłe dłonie, kiedy już rozłożyłam się na jego odrzutowym fotelu.

Ułożona w pozycji niemalże horyzontalnej wodziłam za nimi wzrokiem, nie ośmieliwszy się spojrzeć w oczy dentyście. Jego niski głos i ciepły tembr zbyt

mnie speszyły. Wydałam z siebie afirmujący jęk, choć nie miałam pojęcia, co tak naprawdę stoi za tym pytaniem. Zaraz potem poczułam aromatyczny zapach czegoś, co nawiązywało do kwiatu japońskiej wiśni przenikniętego na wskroś gęstym drzewnym akordem, a na koniec przemieniało się w posmak lekkiego piżma. Kiedy moje powonienie wchłaniało obłądny zapach dentysty, on sam palcem powleczonym w liliową gumę nałożył mi delikatnym, lecz pewnym siebie ruchem wazelinę na usta. Potem rozpoczął to, co Wera nazwała tajemniczo rozkoszą rozwartej szczęki. Zaczął od tyłu. Stojąc za moją głową, przysunął do mojej twarzy jakieś urządzenie. Na ekranie czarno na szarym zobaczyłam swoje uzębienie. Dentysta nachylił się lekko nad moimi zwilżonymi wargami.

— Górna trójka, z którą zaraz będę obcował, to niewiniątko w porównaniu z dolną piątką, która pragnie, by się nią zająć — powiedział, wsuwając mi w usta odsysacz śliny.

Chciałam zapytać, czy ma na myśli tę małą białą plamkę na dole zęba, ale odsysacz odebrał mi głos. Wskazałam więc tylko palcem na monitor i spojrzałam pytająco na doktora Teofila. Rozumieliśmy się bez słów. Znów się nachylił, a ja wyczułam tym razem wytrawną cytrusową nutę w jego wyrafinowanej kompozycji zapachowej. Jak ziarenka mikroskopijnego piasku pchniętego nagłym zrywem wiatru aromatyczna aura rozniosła się po mojej twarzy.

— Nieznaczne wysunięcie w części górnej to konsekwencja wyźłobienia dolnego w dziąśle. Bo musi pani wiedzieć — nachylił się jeszcze bardziej i wsunął mi szpikulec w usta — że każda ekstrakcja zęba prowadzi do pochyień zębów sąsiednich. Zęby, pani Lukrecjo, zawsze dążą do wzajemnego kontaktu. Taka jest ich natura.

Byłam u kresu wdechu. Nie z powodu wiertła, które zaczęło szumieć w moich ustach, raczej przez tę cytrusowo-żywiczną woń, która odbierała mi zdolność postrzegania rzeczywistości. Wciąż nie miałam odwagi spojrzeć dentyście w oczy. Wydawało mi się, że wibruje całe moje ciało, ożywione jakimś ciepłym impulsem, który dociera do każdej komórki.

— Czy panią boli? — pytał co jakiś czas pan Teofil swoim zmysłowym głosem.

Ból zamienił się w rozkosz, zanim zdążył wybrzmieć. Wszystkie zagrożenia świata, jego najmniejsze nawet niedoskonałości rozstały się pod siłą drgań, w ciepłe fotela, na którym leżałam. Z każdym kolejnym obrotem wiertła

otwierał się we mnie jakiś fragment kanału, prowadzący do mojego źródła. Był już o krok, by odblokować ciało, pozwolić mu poinformować mnie, czego naprawdę w życiu pragnę. Doktor Teofil wciąż wiercił mi w ustach, a ja czułam, że jestem tu, gdzie powinnam być. Ślad po wątpliwościach co do porzucenia Mediolanu znikał w tym samym tempie, co ślad po rozsądku. On nadal się nachylał. Cytrusy przechodziły w nutę ambry. Coś we mnie rozpędzało się i chciało gnać. Na oślep. Bez hamulców.

Warszawa naprawdę zaczynała mi się podobać. Przez całą drogę powrotną upajałam się szyldami nowych miejsc. Pięknymi witrynami sklepów. Cieszyłam się myślą, że czekają mnie jeszcze co najmniej dwie wizyty u sensualnego Mr Byczki. Wracając do domu, kupiłam w kwaciarni różowawe eustomy, o delikatnym, prawie kremowym zapachu. Wera wyglądała na spiętą. Kręciła się nerwowo po kuchni i chowała umyte naczynia do szafek. Marszczyła czoło. Ekscytowanie się stomatologiem wydawało się w tej sytuacji niezbyt właściwe. Poprzestałam więc na kilku zdaniach zachwyty i zaproponowałam zaparzenie senchy. Miałam wrażenie, że chodzi o coś istotniejszego niż nieudana transakcja. Bo tymi Wera nigdy aż tak się nie spinała. Usiadła na chwilę do komputera. Zaraz potem zaczęła wydzwaniać w służbowych sprawach, chodząc w tę i z powrotem. Dochodziła dziewiętnasta, a ja czułam, że coś wisi w powietrzu.

— *Bella*, o której zjawi się twój brodacz? Może zrobię cannelloni con spinaci? — zapytałam wreszcie. — Czy już coś zaplanowaliście?

— Kochana, z cannelloni jestem na tak. A z brodaczami nigdy nic nie wiadomo — rzuciła Wera i poszła do łazienki.

Za dobrze znałam pokrętne usposobienie mojej przyjaciółki i jej zdolność do nagłego przechodzenia od wylewnej ekstazy do stanu hibernacji nastrojowej, by zadawać więcej pytań. Zająłam się więc oczyszczaniem szpinaku. Uprażyłam delikatne orzeszki pinii. Kiedy zaczęłam ścierać na tarce parmezan, usłyszałam słumione szumem wody krzyki Wery. Czy ona nawet pod prysznicem rozmawia przez telefon? Zdążyłam się już zorientować, że prawdopodobnie na kolację wystarczą tylko dwie porcje cannelloni, ale

elementem nieodzownym może okazać się rozplývająca się w ustach słodka fantazja z regionu Emilia-Romania. Zajrzałam do koszyka przypraw, które przywiozłam. Były tam. I laski wanilii, i sproszkowane algi do zagęszczenia.

Krzyki dolatujące z łazienki ustały, miałam nawet wrażenie, że przeszły w delikatne nucenie. Niebawem pojawiła się Wera. Świeża i pachnąca, z trzema wałkami na głowie i jakimś tłustym serum na twarzy, które nadawało jej komiczny wygląd.

— Mniam, mniam, co za zapachy — zaświergotała. — *Bella*, jesteś boska. W czym mogę ci pomóc, żeby niczego nie zepsuć? — zapytała, wyciągając talerze i sztuce.

— Już kończę. A o której będzie Kacper? — zapytałam zaskoczona, widząc, że nakryła na trzy osoby.

— Kacprowi już dziękujemy, ale niespodziewanie napatoczył się czarujący pan Julian.

— Ten, co pompuje twój rower?

— Nie, ten, którego dom z prześwitującym dachem udało mi się niedawno sprzedać. A teraz szukam mu mieszkania. Dobra wiadomość jest taka, że za sukcesem sprzedaży domu stoi rozwód, gorsza to ta, że o czarującym Julianie niewiele wiem. Poza tym że to numerologiczna jedenastka, a więc jest w roku idealnym do inicjowania związków. No ale z braku innych danych ryzykujemy spotkanie z potencjalnym sadystą albo nudziarzem, który uśpi nas swoją galanterią.

Wera bywała zupełnie nieprzewidywalna. Sama dochodziłabym do siebie po każdym brodaczu przez wiele dni, a ona w ciągu jednej chwili łapała przelatującą w powietrzu iskrę. Umiała się ogrzać po największej nawet ulewie. Sprawiała wrażenie, jakby blizny na jej sercu znikwały jak kwiaty jednej nocy. Na szczęście zrobiłam za dużo cannelloni i panna cotty, byliśmy więc gotowe na wszystko. Nawet na numerologiczną jedenastkę o imieniu Julian. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Przyszedł punktualnie. To lubię. Był piękny, ale w nieoczywisty sposób. Wymagał chwili oswojenia. Uśmiechał się czarująco, choć w jego twarzy było coś demonicznego. Miał żarliwe oczy i ostentacyjnie zmysłowe usta.

— Pachnie lasem, cóż to? — zapytał, zanim jeszcze wjechałam z cannelloni.

— No, no... Co za powonienie! To sosnowy posmak pinioli zagnał twoją wyobraźnię na leśną polanę.

— Mam do czynienia z kulinarną romantyczką? — uniósł swoje ciemne

brwi ku swoim platynowym lokom.

— Nie tylko — wtrąciła Wera tajemniczym głosem. — Lukrecja to romantyczka, pragmatyczka i conceptualistka w jednym. Numerologiczne *uno*.

— A czym mnie wzbogaci ten leśny eksperyment?

— Testosteronem chociażby. Piniolo wpływają pozytywnie na ruchliwość plemników i na gotowość do ich uwolnienia — powiedziała, mrużąc lekko oczy.

Julian pokiwał głową z uznaniem. Wyglądał na kogoś, kto ceni szczerość. Sam zresztą od niej nie stronił. Szybko przeszedł do zwierzeń, że żał mu było sprzedawać dom z przeszklonym dachem, ale jeszcze bardziej żał mu żony, która się tego dachu bała. W ogóle nie lubiła światła i była, jak to ujął, zdecydowanie psychiatryczna. Najpierw ją uwolnił od dachu, a teraz siebie od niej. Naturalnie różnili się nie tylko stosunkiem do zadaszania i światła. W zasadzie różnili się wszystkim. Te kontrasty ich do siebie przyciągnęły. Ale było jeszcze coś. Czynnikiem nie do przecenienia jest waga rodzinnego dziedzictwa i wrodzonych skłonności. To z ich powodu, wyznał nam Julian, ma pociąg do psychopatek.

— Czy to znaczy, że w twojej rodzinie ktoś cierpiał na zaburzenia psychiatryczne? — zapytała niespokojnie Wera, odgarniając swoje wieczne potargane włosy do tyłu.

— Nie, nikt nie cierpiał. Wszyscy się z tym dobrze bawili — wyjaśnił rzeczowo i brzmiał w tym przekonująco.

O ile na początku rozmowy byłam pewna, że ożywienie osobą Juliana zacznie gwałtownie spadać, najpierw u mnie, a potem u Wery, po tym wyznaniu uznałam jednak, że tego wieczoru pożytek z niego zamknie się głównie w sferze rozrywki. Zmieniłam zdanie, gdy nachylił się nade mną, dolewając mi wina, i poczułam, jak pachnie. Były to chyba najbardziej ekscentryczne męskie perfumy, jakie kiedykolwiek wąchałam. Przewrotne jak ich właściciel. Wprowadzały nutę niepokoju. Dzikie i zwierzęce. Piękne i odrażające zarazem.

— Co to jest? To, co czuję? — zapytałam w końcu, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

— Zależy, o którym odczuciu mowa — odparł, patrząc mi prosto w oczy.

— Pytam tylko o twój zapach.

— Tylko albo aż. To Bull's Blood.

Nawet jeśli Julian wybierał perfumy po to, by zwabić potencjalne

psychopatki, trzeba przyznać, że nie tylko dla nich jego zapach mógł okazać się intrygujący. Jeśli istniał w świecie jakiś luksus, przez który byłam w stanie doprowadzić do alarmowego debetu moją kartę kredytową, to oprócz dobrego jedzenia i przypraw były to właśnie perfumy.

— Lubię upodłone piękno i wrzącą krew — powiedział. — Ale umiem też docenić czystą i niewinną słodycz — dodał, zlizując prowokacyjnie panna cottę z łyżeczki.

Obydwie z Werą spojrzałyśmy na siebie, nie wydobywając przy tym żadnego słowa ani dźwięku. Następnie przeniosłyśmy wzrok ponownie na naszego rozmówcę.

— Mężczyźni z reguły nie lubią puszystych form i waniliowej słodyczy — zaryzykowałam.

— Lubią przewrotność. W seksie też chodzi o słodycz skóry, zdyszany oddech, ślinę, spermę, pot i mocz. Z jedzeniem gra toczy się o to samo, o perwersję płynącą z różnorodności. Żeby raz dostać chili, raz migdałowatość wanilii.

— No to za migdałowatość i kulinarny talent Lukrecji! — wniosła niespodziewanie toast Wera.

— Ostre cannelloni z ostentacyjnie słodkim finiszem panna cotty to było coś — westchnął Julian. — Lukrecjo, gotuj dla ludzi, by obudzić w nich uspięne żądze. Jesteś do tego stworzona — zawyrokował, podnosząc do ust kieliszek.

Wera natychmiast poparła Juliana. Trudno jednak powiedzieć, czy wiązało się to tylko z entuzjazmem dla nowej wizji mojej przyszłości, czy raczej z ekscytacją na samą myśl, że żądze Juliana właśnie zostały rozpalone. Byłam niespokojna. Owszem, Julian robił wrażenie. To jego wyrafinowanie i nieprzewidywalność — lubimy takie rzeczy. Ale był też świrem i wcale się z tym nie krył. Dawno już z Werą ustaliłyśmy, że w życiu albo ufamy zasadom, albo hormonom, zawsze mamy prawo wyboru, lecz w przypadku psychopatów, świrów i sadystów hormonów nie bierzemy pod uwagę. Widząc, co dzieje się z ciałem Wery, zaczęłam spodziewać się najgorszego. W odróżnieniu od wszystkich znanych mi kobiet Wera zakochiwała się tak, jakby zapadała w sen. Gdy ktoś poruszył jej serce, nie zaczynała szczebiotać, kokietować i wdzięczyć się, tak jak robi to zdecydowana większość użytkowniczek swojej kobiecości na świecie. Werze najpierw mgłą zachodziły oczy, a ciało wpadało w dziwny rodzaj bezwładu, a później wyłączał jej się mózg i zaczynały się projekcje — rzucane z wnętrza jej pragnień na wybranego osobnika.

Najczęściej zbieżność projekcji z samym wybrankiem była dość przypadkowa.

Najdziwniejsze poranki przychodzą po nocach, w czasie których człowiek nie zdążył zasnąć. Siedem nieodebranych połączeń od matki powinno postawić mnie do pionu, ale zupełnie nie byłam gotowa, by się z tym zmierzyć. A może wprost przeciwnie, wreszcie odważyłam się nie ulegać temu, na co nie mam akurat ochoty? Wzięłam naprzemienny prysznic, zgodnie ze swoim kolejnym rytuałem: zimny, gorący i znów zimny. Włożyłam sukienkę w kolorowe wzory i wyszłam na kawę. Zaspana Wera pognała na prezentację mieszkania. Nawet nie musiałam pytać, wiedziałam, że jej wyjazd z Kacprem był już nieaktualny. Z Julianem za to — jeszcze niemożliwy. Czy to znaczyło, że dziś wieczór mogliśmy liczyć tylko na siebie? Lekko mroźne powietrze przyjemnie mnie orzeźwiło. Skręciłam w Marszałkowską. Przedsmak wiosny zredukował liczbę czapek z pomponem i powiewających szalików. Wypuszczone na wolność włosy unosiły się w powietrzu mierzwiłone podmuchami wiatru. Usiadłam w kawiarni z widokiem na przedwojenne kamienice i plac, po którym przesuwają się jak na ekranie postacie i auta. Pod słupem ogłoszeniowym kwiaciarka sprzedawała kolorowe tulipany i lizaki w kształcie serc. Wewnątrz panował tłok. Nie przypuszczałam, że poranne życie kawiarniane Warszawy osiągnęło taką dynamikę, że trudniej znaleźć tu wolne miejsce niż w Mediolanie. W końcu zdobyłam jakiś taboret przy oknie. Wśród baristów byli Polacy i Ukraińcy. Zwinni i wyraźnie nawykli do codziennych tłumów. Upajając się wonią espresso posypanego cynamonem, przez szyby pooblepiane serduszkami przyglądałam się przechodniom. Romantyzujące ciśnienie wokół wydawało się na przemian komiczne i straszne. Nawet nieuznająca masowych presji Claudynka wysłała mi SMS-em serce namalowane na swojej porannej kawie z podpisem: *Rzucaj tę Warszawę i wracaj, bo nie mam z kim śmiać się z życia. Całusy, C.* Zateśkniłam za nią. Posunęłam się nawet do tego, że z cynamonu usypałam na kawie, no, może nie serce, ale coś jakby koronę i wysłałam jej zdjęcie.

Dziewczyna w wysokich botkach siedząca tuż obok wpatrywała się w swój telefon. Chłopak w kraciastej koszuli dwa stoliki dalej stukał w klawiaturę.

Jakaś para siedziała naprzeciwko siebie, każde z nich patrzyło w swoją komórkę i tylko co jakiś czas podrywali głowy i coś pokazywali sobie na wyświetlaczach. Walentynkowa miłość najwyraźniej rozgrywa się teraz na odległość. Tak jest bezpieczniej. Może tylko na to pozwala nam wir potrzeb, których zaspokajanie pochłania całe dnie. Same czynności konserwująco-rozwojowe: ćwiczenia oddechowe, żeby obniżyć porywczność, japoński masaż zapobiegający obwisom twarzy, pięćdziesiąt brzuszków, wypicie koktajlu młodości, poranne ssanie oleju kokosowego na usunięcie toksyn, a do tego wizualizacja szczęśliwego związku, który ma nadejść — to wszystko zajmuje prawie dwie godziny dziennie. Plus czas niezbędny na omówienie tych kwestii z przyjaciółkami. Jak w to włączyć życie uczuciowe? Może częściej dotykamy obiektów umożliwiających wykonywanie połączeń niż tych, z którymi jesteśmy połączeni? Z urządzeniami łatwiej się zgrać, są zawsze dostępne. A do tego nigdy nas nie porzucą, nie zdradzą i zawsze będą w kieszeni. Możemy je gładzić i naciskać. Wolni od presji romantycznej spontaniczności. Czy tak już będzie zawsze? Poczulałam zimny dreszcz, biegnący od pleców aż po stopy. Jakby ciało chciało odeprzeć napływ tych mrozących krew w żyłach myśli. Wyprostowałam się i zapragnęłam wydać z siebie jakiś niekontrolowany dźwięk. By zagłuszyć i te rozważania, i tę całą walentynkowo-kretyńską parodię.

— Dzień dobry, czy mają państwo suki?

Za plecami usłyszałam piękny tembr głosu. Trwało to chwilę, zanim odważyłam się obejrzeć. Zobaczyłam szaroniebieskie oczy otoczone gęstymi brwiami, zapatrzone gdzieś przed siebie, ponad kawiarniany chaos i festyn porozklejanych serc. W pokrytej dwudniowym zarostem twarzy było coś dziwnie bliskiego, jakbym ją znała od zawsze, choć wiedziałam, że widzę ją po raz pierwszy. Nasze spojrzenia na moment się spotkały. Jak dwa magnesy ciągnęły ku sobie. Przypatrywał mi się dłuższą chwilę. Nie, nic mi się nie wydawało. Patrzył tak, jakby chciał mnie sobie przypomnieć. Może nawzajem próbowaliśmy kogoś w sobie rozpoznać. To on się wymknął. Odbił wzrokiem w dal. Wciąż trzymał słuchawkę. Potakiwał swemu wirtualnemu rozmówcy. Nie uśmiechał się. Nawet nie próbował. Był skupiony.

— A suczka prądkowana? — dodał, przyciskając telefon mocniej do ucha.

Znów zamilkł. Znów potakiwał dyskretnymi ruchami głowy. W końcu powiedział coś, co brzmiało jak „trudno”. Wyczytałam to z ruchu jego warg. Szum ekspresu do kawy zakłócił fonię. Rozmowa widocznie się skończyła.

Schował telefon. Miał piękne dłonie ze starannie obciętymi paznokciami. Długie, mocne palce. Ile musiało być w nich siły! Wyobraziłam sobie, jak mocno nimi chwyta. Proporcjonalne do tych dłoni musi być wszystko inne, pomyślałam. Teoria o testosteronie w łonie matki, rzekomo determinującym wielkość członka, nagle wydała mi się naciągana. Dłonie mówią wszystko. Kolana miał rozstawione jak pewni siebie zdobywcy. Zerknęłam na buty. Potem znów na te dłonie. Zrobiło mi się gorąco. Wyprostowałam się, idąc za jakimś podszeptem, który mówił mi, że do rozkwitu kobiecości potrzebne jest odblokowanie ciała. Uchwycenie jego subtelnych drgań. Ściągnęłam łopatki, wypięłam lekko pierś i wciągnęłam brzuch. Znów na siebie spojrzeliśmy. Teraz chyba na dłużej. Przystojny mężczyzna otwiera kobiecie oczy, inteligentny — umysł, a mężczyzna, który wywołuje w tobie uczucie, jakbyście znali się od zawsze? Po nim można się spodziewać tego wszystkiego, na co od dawna czekasz. Właśnie to poczułam. Nie mogłam powstrzymać tej siły idącej od środka. Moja twarz pokryła się palącym rumieńcem, a pod pachami spłynęły mi strużki potu. Nawet jeśli mój wewnętrzny płomień dawno zgasł, najwidoczniej niespodziewanie wyłapał jakąś iskrę. I uderzył. *Uno... due... tre...* Staralam się głęboko oddychać. Dokładnie tak jak na kursie. W tym samym, powolnym rytmie. Ale ciało chciało czegoś innego. Bałam się, że wrzasnę, że podskoczę. Coś mną szarpnęło. Wstałam. Chwyciłam płaszcz i uciekłam.

Wstąpiłam do kwiaciarni. Chciałam ochłoniąć wśród roślin. W taki dziwny dzień najłatwiej znieść niewinność lilii. Mogłybyśmy z Werą wręczyć je sobie nawzajem, domalowując sobie na zmianę wąsy i brodę. Zaśmiałam się. Wera uwielbia lilie. Ja też. Lubię to wyczekiwanie. Gdy wstawiasz mocno zamknięty kwiat do wody i wieczorem zastanawiasz się, czy jutro, gdy się zbudzisz, poczujesz ten słodkavo-duszący aromat. Czy pąk otworzy się już pierwszej nocy, a może jednak trzeba będzie na niego czekać. Była kolejka. Sami mężczyźni. Niezdecydowani, grymaszący w nieskończoność, by potem i tak skończyć na różach. Przebierałam nogami. Dopaść, ugryźć, przeżuć, wypluć! Nie, naprawdę nie wiem, dlaczego w głowie dudniły mi naprzemiennie tylko te cztery słowa. Coś rozsadzało mnie od wewnątrz. Coś rozpychało się w moim ciele. Zanim przyszła moja kolej, dobiło kolejnych dwóch panów, a potem jeszcze trzech. Czułam się coraz bardziej poirytowana.

— Dwa razy spermum poproszę — powiedziałam ku swojemu zaskoczeniu.

Przez twarz kwiaciarki przemknęło zdziwienie, ale zaraz po nim odmalował

się na niej jakiś rodzaj empatii. A może to ja chciałam go dostrzec. Bez słowa odwróciła się i poszła w głąb pomieszczenia. Wynurzyła się w końcu zza wazonów i przyniosła dwa pomarańczowe kwiaty osteospermum. Były zachwycające. Miały długie, pewne siebie łodygi i liczne, dobrze rozwinięte pręciki. Kwiaciarka przybrała je delikatną trawą i z najwyższą starannością owinęła w papier, dodając, że są dość wrażliwe na wiatr.

W domu wstawiłam je do przezroczystego słoja. Wyglądały jak hołd złożony seksualności, kobiecości i wszystkiemu, co nas czeka. Zajął się parzeniem liści moringi, kolejnej światowej nadziei na wieczną młodość, na którą zdecydowałam się skusić. Włączyłam chilloutową muzykę. Wciąż coś rozsadzało mnie od środka. Usiadłam po turecku i zaczęłam pompować oddechy, żeby się uspokoić. Kolejne godziny mijały mi na zakupach, gotowaniu i gonitwie myśli. Zauważyłam więdnącą gałązkę hiperricum, którą przyniósł wczoraj Julian, a którą Wera wstawiła do pustej szklanki, skazując ją na szybką śmierć. Skonać samotnie w walentynki, trudno o gorszy finał. Przełożyłam ją do słoika, w którym poiła się natka pietruszki. Jak już więdnąc, to w towarzystwie.

Zrobiłam marchewkowy kisiel z kardamonem. Cytrynowo-mandarynkowa woń wypełniła mieszkanie. Wera wróciła umęczona, ale ożywiła się wypełniającym mieszkanie zapachem. W pracy miała serię niepowodzeń, Julian nie przysłał nawet symbolicznego *merci* po wczorajszej kolacji. Kacper milczał jak zaklęty. W taki dzień jak dziś mogłyśmy albo wyzłopać schłodzone prosecco, zapłakując się na śmierć, albo czymś ogrzać się zupełnie dosłownie.

— Naprzód! Za rzekę! Po słońce! — zawołała nagle Wera, patrząc z zachwytem na spermusowe kwiaty w wazonie.

— Zdobywczynie słońca, do boju! — zakrzyknęłam. — Oto nasze spermusy jako inspiratorzy wszelkiej przygody.

— W drogę!

Zapakowałyśmy się do auta i w światłach rozproszonych srebrną poświatą Wisły pomknęłyśmy mostem Świętokrzyskim na drugi koniec Warszawy. Śpiewałyśmy przy tym na całe gardło *You're simply the best*, puszczając tę melodię w najróżniejszych aranżacjach. Po dotarciu do rajku najpierw zrobiliśmy po dziesięć długości basenu żabką, a zaraz potem poszłyśmy do sauny parowej. Otulona ciepłem i gęstą parą poczułam się bezpieczna jak w łonie matki. W głębi siedzieli jacyś ludzie. Nie było widać korpusów i twarzy, tylko nogi prześwitywały przez smugę puszczonego od

podłogi światła. Od stóp do kolan. Były to głównie męskie nogi. Jak rząd wyczekujących możliwości. Nieskażonych żadnym defektem. Brak twarzy, brzuchów i członków dawał pole do popisu wyobraźni. Oddech przyspieszał. Może od gorącej pary, może od tego, co podsuwała imaginacja. Ciało otwierało każdą swoją komórkę. Chłoneło tę błogą wilgoć, ten gorąc, jakby wreszcie budziło się z zimowego snu.

Po saunie zanurzyliśmy się w solach himalajskich. Otulone piękną, krystaliczną strukturą zasysaliśmy energię drgań i osiemdziesięciu pierwiastków, które z każdym uderzeniem wody w jacuzzi odmładzały nasze boskie ciała. Zwracały nam ze zdwojoną siłą energię nadszarpniętą oglądaniem od rana walentynkowej cepeliady. Nie musiałam nawet mówić o tym z Werą, czułam, że była znokautowana nie mniej niż ja.

Następny etap to goldarium. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Wyłożona dwudziestokaratowym złotem komnata, na środku której stało tajemnicze kadzidło. Rozłożyliśmy się na leżakach gotowe na rozszerzenie krwionośnych naczyń i pochłanianie kojącego ciepła emitowanego przez złoto. Wyobrażałam sobie maleńkie niewidzialne złote drobinki, które wpływają do punktów energetycznych mojego ciała i zostawiają w nim świetlistą powłokę. Wędrowałam do odległych krain, ku komnatom w starożytnym Egipcie, wyobrażając sobie, jak piękna Kleopatra okłada swoją twarz złotą mazią, a potem frunęłam do dalekich pałaców Persji, gdzie arabskie księżniczki kąpią się w złożonych baliach, po czym wynurzają się z nich nagie i połyskujące, by osunąć się prosto w barczyste ramiona swoich kochanków czekających na wielkich łożach okrytych zwiewnym baldachimem. Brałam głęboki oddech i już siedziałam między jedwabnymi parawanami w letnich altanach skośnookich władców, a na tacach wjeżdżały malowane miseczki ze sproszkowanym złotem zalany jakimś tajemniczym wywarem do picia. Czułam, jak ten złożony płyn rozlewa się w moim ciele. Wyobrażałam sobie potrawy, do których pasowałaby złota posypka. Czułam się tak lekko. Kojące dźwięki muzyki harmonizowały moje ciało, umysł i duszę. Ta błogość, która mnie wypełniała, to musiał być słynny stan alfa.

Wpatrywałam się w rozmieszczone na ścianach koła mandali, emitujące wiązki ciepłego białawego światła. Nie tylko czułam, jak odzyskuję wewnętrzną moc. Zauważyłam też niezwykłą klarowność myśli. Nie chciałam wspominać Juliana, by nie popsuć Werze nastroju, ale jego słowa wróciły do mnie jak złota strzała i rozpląwały się teraz wraz z ciepłem po moim ciele.

A może rzeczywiście mogłabym gotować dla ludzi, by obudzić w nich uśpione zmysły? To jedyna czynność, której wykonywanie nigdy nie napawało mnie lękiem o skutek i wyzwalało mnie z obsesji perfekcji. Czy istnieje cokolwiek, co bardziej mnie kręci niż zmysłowe zapachy i smaki?

Odprężona jak po multiorgazmie sądziłam, że jedyne, czego nam brakuje, to pokarm kaloryczny, tymczasem Wera była nienasycona. Zaproponowała coś dokładnie odwrotnego. Ze złotej komnaty zabrała mnie jeszcze w egzotyczną podróż do ganbanyoku, gdzie, leżąc przez trzy kwadransy, traci się, jak mnie zapewniła, tysiąc dwieście kalorii. W przyjemnym cieple, rozciągnięta na płytach tuż obok Wery, wdychałam niewyczuwalną krzemionkę. Już po chwili czułam taką błogość, jakbym sunęła po zboczach gór Hiyamy na wyspie Hokkaido, z której przywieziono te minerały. Wyobrażałam sobie szaleństwo rozkwitających kwiatów dzikiej wiśni i szum wodospadów w ogrodach zen. Nagle z kolejną falą powróciła do mnie twarz tego mężczyzny.

— Wera, po co atrakcyjny mężczyzna czterdzieści plus zamawia sobie suczkę w walentynki?

— Suczkę ludzką czy psią?

— Nie no, psią suczkę!

— Klasyczny zaharowany pracoholik, zbombardowany sercami, nagle przypomina sobie, jak bardzo jest samotny.

— Nie wyglądał na pracoholika.

— Może chodzi na siłownię i wypaca swój pracoholiczny stres?

— Chyba już lepiej, jak wypaca i ćwiczy, niż jak nic nie robi?

— Chyba gorzej, bo ciągle jest na adrenalinie. Aż tu nagle w walentynki uświadamia sobie, że ma już dosyć wyłapywanych w necie namiętności, które go niszczą, żądzy, która stygnie o świcie i nie zostawia po sobie nic prócz kaca. — Wera naprawdę weszła w rolę. — Czuje się wypalony, chce mieć kogoś, kogo będzie kochał i kto będzie kochał jego, i naprawdę się do niego przywiąże.

— I przerzuca się na psy?!

— Tylko one nie stawiają wymagań w miłości.

— Ale nie mogą dać ci wszystkiego.

— Powiem szczerze, że sama o tym myślę. Podobno jak masz psa, otwierasz się na prawdziwe uczucia. A jak się otworzysz, to przyciągniesz wreszcie kogoś, kto też jest otwarty.

— Jak to, Wera, to ty nie jesteś otwarta. Bez psa?

— Lukrusiu, coś musi być z nami nie halo, skoro w walentynki, zamiast w jedwabnych pościelach wtulać się w ramiona supermenów, leżymy we dwie w spa, rozmawiając o nieznanym pracoholikach. — Wera zaśmiała się, ale czułam, że wcale nie uważa tego za zabawne.

Najwyraźniej himalajskie sole, azjatyckie krzemionki i złoto oprócz błogości wywołały też w Werce efekt nostalgii. Nie lubiła dosmuczać innych. Mimo że sprawiała wrażenie żywiołowej gaduły i otwartej osoby, gdy nadchodził zły czas, zatrząskiwiała się w sobie i nieźle trzeba było się do niej dobijać.

Byłyśmy wypoczone, nasolone i nagrzane, zaproponowałam więc kontynuację wątków egzotycznych, ale w strefie trawiennej. Przeprowadzanie się przez most miało w sobie coś wyjątkowego. Przypomniałam ze swojego dzieciństwa spacer z babcią w ciepłe letnie dni ze Starego Miasta mostem Śląsko-Dąbrowskim do ogrodu zoologicznego, by oglądać zwierzęta. Wystawałyśmy pod klatkami, nawoływałyśmy je, coś im pokazując. Potem jadłyśmy cukrową watę albo lody na patyku. Z powrotem wracałyśmy na drugą stronę rzeki tramwajem przez most Gdański. Najwspanialsze przeprawy mostem były zimą, kiedy woda w Wiśle zamarzała i kry tworzyły na niej piękne, rozległe wzory. Gdy dzień stawał się krótki, przyjemnością była wycieczka mostem po zmroku. Zapalone światła rzucały świetlne smugi na wodę, a na jej powierzchni tworzyły się tajemnicze cienie.

Tymczasem wróciłyśmy z Werą na nasz plac i wybrałyśmy na zwieńczenie wieczoru kolację w japońskiej restauracji. To był strzał w dziesiątkę. Na początek zamówiłyśmy rozgrzewający rosół black tiger z krewetkami i patatem. Był wyrazisty, lekko pikantny i działał jak wewnętrzna sauna. Po nim czekały nas smaczne przegrzebki, zapieczone w ostrym kremowym sosie z kawiozem i trawą morską. Prawdziwa rozkosz. Odczuwałyśmy ją każdą cząstką naszego podniebienia.

— *Bella*, to nasze pierwsze walentynki razem, a od razu taki rozmach — zażartowała Wera.

— Czeka nas chyba udane długie pożycie. — Roześmiałam się.

Kiedy rozważałyśmy, co zamówić na deser, nasz wzrok przyciągnął elegancki Japończyk. Oprócz niego i nas nie było w lokalu żadnych gości. Siedział samotnie przy jednym ze stolików i bawił się czarną serwetką. Robił to w najwyższym skupieniu, z wielką precyzją. Zamówiłyśmy zieloną herbatę i wpatrywałyśmy się w każdy jego ruch. Gdy skończył, zapłacił rachunek,

starannie zapiął płaszcz i wyszedł. Podeszliśmy zaciekawione do jego stolika. Czarny łabędź złożony metodą origami stał samotnie na ciemnym blacie, oświetlonym płomieniem świecy. Światło drżało, a on trwał nieruchomo. Jakby szeptał na koniec naszego ekscytującego walentynkowego wieczoru, że miłość jest dla wszystkich, ale nie dla każdego.

Rozdział 5

Pobudzenie, którego skutków jeszcze nie możesz zobaczyć

— Energię kastracyjną u kobiet najłatwiej poznasz po wystającym tyłku, no wiesz, to tak zwany kaczy kuper — perorowała Claudynka do słuchawki.

— Co takiego?

— Przeciężona miednica powoduje chowanie się krocza w tył. Kobiety, które boją się zranienia, odcinają serce od miednicy i udają, że w seksie idą na całość.

— Ależ, Claudynko, każda kobieta chodząca na fitness dorabia się trochę wystającej pupy — zaoponowałam, wyobrażając sobie siebie już niebawem, gdy tylko zapiszę się do klubu.

— Lukrecjo, pupy mają różne wypięcia, zaobserwuj to.

— Pupy są różne, jak ludzie są różni. Do czego zmierzasz? — zapytałam i nalałam sobie koktajl, przeczuwając, że coś się święci.

— Pakowanie pup na siłowniach to może być znak czasów, kobiecy odwet kastracyjny. Chude kobiety z dużymi pupami są najbardziej niebezpieczne, bo wabią mężczyzn, którzy pragną seksu bez zobowiązań.

Nie musiałam o nic więcej pytać. Z rozżalonego tonu Claudynki wywnioskowałam, że syndrom schowanego krocza i wypiętego kupra, a zwłaszcza pójścia na całość w seksie zaobserwowała u asystentki swojego chłopaka. Najprawdopodobniej Giovanni miał z tym bezpośredni związek i znów dostarczał jej cierpień. Nie miałam pojęcia, jak ją wesprzeć. Była dziewiąta rano, ściągałam papiloty z głowy i korzystając z podwyższonej

wczoraj biowitalności, doładowałam się osiemdziesięcioma brzuszkami i miałam właśnie zamiar planować życie. Moje nowe, zmysłowe i pasjonujące życie. Uderzyłam więc w ton afirmacyjny, pocieszając Claudynkę faktem, że ani ona, ani ja nie mamy wystających kuprów, mamy za to miednicę, która dogaduje się z sercem i pragnie tych samych rzeczy od jednego mężczyzny — i miłości, i seksu.

— Dziś wyjątkowo mnie to nie rusza — jęknęła Claudia.

— To może, jak mawiała ciotka Aurelia, odpuść sobie nadzieję na bycie poruszoną i rusz się sama tam, gdzie lubisz? — próbowałam żartować.

— Lukrecjo...

— Może musisz podnieść sobie biowitalność kąpielą w magnezie albo krzemionce? — chwyciłam się, czego tylko mogłam.

— Wyobrażasz sobie, że on z tą bździągwą spędził cały walentynkowy wieczór, a mi powiedział, że jest na szkoleniu? — wybuchnęła.

To nie był odpowiedni moment, by mówić Claudynie, że jest niepowtarzalna, piękna i ma iloraz inteligencji wyższy niż stu Giovannich i bździągów razem wziętych. Nie było nawet sensu wymieniać najlepszej trójki spośród jej niezliczonych sukcesów. Przyjaźniłam się z Claudią od ponad dziesięciu lat, rozmawiałam z nią średnio trzy razy w tygodniu i wiedziałam, że w chwilach takich jak ta w jej życiu liczyły się tylko pragmatyczne wskazówki.

— Caludynko kochana, nawet na mężczyznę, który jest najpierw głową, a potem penisem, nie zawsze można liczyć, a co dopiero na kogoś takiego jak Giovanni, u którego jest na odwrót.

— Do czego zmierzasz?

— Wywal go wreszcie na zbity pysk! — Sama byłam zaskoczona klarownością, z jaką to przedstawiłam, na wszelki wypadek jednak dodałam: — I niebawem szykuj się na weekend w Warszawie. Musisz to zobaczyć! Jest energetycznie, jest moc!

Claudia trochę się ożywiła. Szybko więc przeszłam na tematy motywacyjne. Wspomniałam o swoim sukcesie w rzucaniu porannych muffinów i popołudniowej bezy, o prawie stu brzuszkach robionych codziennie w równym tempie i bez zadyszki oraz o planach nabycia od marca karnetu do klubu fitness, gdzie zupełnym hitem jest orgazmiczny pilates. Od razu dodałam, że on buduje mięśnie wewnętrzne i nie powoduje przesadnego rozrostu pośladków. To był strzał w dziesiątkę. Claudia była w swoim żywiole.

Czułam, że nawet jeśli i tym razem nie wyrzuci z domu swojego seksoholika albo wyrzuci go i po trzech dniach wpuści z powrotem, to przynajmniej odniesie wkrótce sukces w regularnej praktyce nowej odmiany pilatesu. Gdyby w Mediolanie jeszcze go nie mieli, ona go tam sprowadzi. Co do mnie — w kwestiach dyscypliny sportowej nie można było jeszcze zbyt wiele zakładać, ale motywowanie Claudii mnie samej dodawało skrzydeł. Właśnie tak na siebie oddziaływałyśmy. Może dlatego znałyśmy nawzajem wszystkie swoje słabości i historie spotykających nas niewypałów.

Przez całą drogę do kawiarni próbowałam sobie przypomnieć technikę mapowania myśli z jakiegoś szkolenia, które dawno temu robili nam w agencji. Jednak czegoś się tam nauczyłam. Uśmierciłam sporo swoich słabości, rozkręciłam kilka zalet. Może powinnam wypowiadać afirmację wdzięczności. Przecież mogę teraz zaczynać nowe życie również dzięki temu, że przez kolejne trzy miesiące moje odmózzające korpo będzie mi wypłacać pensję bez wymogu otrzymywania w zamian wytworów mojego umysłu. Miałam nadzieję, że zaraz znajdę stosowny folder w swoim laptopie i gładko mi pójdzie z montowaniem nowej wizji siebie i swojej przyszłości. Robiłam, co mogłam, by nie dręczyć się pytaniem: będzie czy go nie będzie?

W kawiarni było luźniej niż poprzednim razem. Zamówiłam espresso, posypałam je cynamonem i usiadłam tam, gdzie ostatnio. Na szczęście nie było już serc na szybach. Ale nie było i jego. Może zakupił suczkę i teraz włóczy się z nią po miejskich parkach albo spędza poranki w podwarszawskich lasach. Najwyraźniej los był dla mnie łaskawy. Dawał mi szansę, żebym na poważnie zajęła się sobą i zaczęła wymyślać rokujący nadzieję biznes kulinarny, zamiast gapić się i fantazjować.

Szło mi nieźle. Liczba użytecznych plików — z materiałami do rozpoznawania swoich mocnych i słabych stron, za i przeciw oraz tworzenia drzewa inspiracji — które znalazłam na pulpicie w teczce z samorozwojem, przerosła moje oczekiwania. Wypisałam już ponad dwadzieścia swoich zalet i dziesięć potencjalnych obszarów rozwoju. Zabazgrałam kilkanaście kartek różnymi gałęziami, obliczyłam swój potencjał kreatywny i biznesowy.

Zaczynałam się już skłaniać ku myśli, że unikalna cecha mojego biznesu musi dotyczyć połączenia kulinariów z cywilizacyjnym kryzysem związków miłosnych, kiedy niespodziewanie do kawiarni wszedł Julian. Szczebiocząca u jego boku blondynka mogła być bezpośrednią przyczyną milczącego telefonu Wery, ale grunt to nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie zauważył mnie lub nie chciał być przeze mnie zauważony. Po kilku minutach dyskretnej obserwacji zorientowałam się, że co prawda Julian odpowiada uśmiechem na dynamikę zmieniających się póz blondynki, ale tu chodzi raczej o interesy. Ani razu nie uniósł brwi przy jednoczesnym ułożeniu ust w dzióbek, którym to grymasem raczył nas podczas kolacji.

Po dwudziestu minutach spotkanie dobiegło końca, a Julian dostrzegł wreszcie moje istnienie. Pożegnał blondi, a mnie wylewnie powitał. Z niemałym przejęciem zaczął opowiadać mi o jakiejś nieudanej wczorajszej kolacji, podczas której z nostalgią wspominał wieczór ze mną i Werą. W wyborze perfum był może awangardowy, ale w bajerowaniu okazał się kompletnym klasykiem gatunku. Jednak sporadycznie okazywany cynizm i dodające pikanterii wstawki na temat jego perwersyjnych upodobań różniły go od większości znanych mi bajerantów. Niewinnie rzucona dygresja o tym, jak układać koniuszek języka w finale wysysania ostrygi ze skorupki, działała na wyobraźnię. Zapewne nie tylko moją. O kulinariach wiedział więcej, niż się spodziewałam. Umiał docenić przewagę węgorza w chilijskim bouillabaisse nad mieszanką pięciu ryb w bouillabaisse prowansalskim. Wiedział, o czym mówi. Po moim pytaniu, czym się w życiu zajmuje, umiejętnie wymigał się od odpowiedzi, mówiąc, że ludzką chciwością. Wyjawiał tylko, że dużo podróżuje. Kiedy ożywiona jego zainteresowaniem w kwestii przypraw opowiadałam właśnie o mniej znanych właściwościach syczańskiego pieprzu, do kawiarni wszedł on. Facet o szarobłękitnych oczach, które musiałam znać z poprzednich wcieleń. Inaczej nie mogłyby wydawać mi się tak bliskie. Dziś nie miał zarostu. Zamówił americano z mlekiem i usiadł niedaleko nas. Poczułam, jak napinają się moje plecy. Zabułgotało mi w żołądku. Julian był czujny. Kątem oka zeskanował szaroniebieskookiego. Chyba wyczuł, że nagły ruch mojego ciała, wypięcie biustu i ściągnięcie ramion miały z nim związek, ale niczego nie komentował. Przeszedł do nieruchomości. Napomknął o nadziei, jaką pokłada w Werze, a ściślej w jej umiejętnościach wyławiania pięknych lokali. Zaczął snuć wizje o wielkich tarasach i przyjęciach, które będzie na nich urządzał jeszcze tego

lata.

Byłam coraz bardziej zdołowana. Ten, którym interesowała się Wera, roztaczał wizje, w których sugestywnie mnie uwzględniał, prawdopodobnie jako kucharkę, choć może jedynie przebiegle prowokował. A ten, którym interesowałam się ja, nawet na mnie nie spojrzał. Wypił szybko americano, przejrzał gazetę i wstał. Energio kwantowa, jeśli istniejesz, daj mi znak — pomyślałam. Wgapiałam się w niego z nadzieją, że poczuje moje spojrzenie i odwzajemni je. Nie tylko poczuł. W chwili, gdy na mnie spojrzał, dostrzegłam nawet coś w rodzaju nieśmiałego uśmiechu. Trudno jednak powiedzieć, czy ukazał się na jego twarzy, czy w mojej bujnej wyobraźni.

Nazajutrz zorientowałam się, że mam symptomy uzależnienia. Ledwo się obudziłam, a już zaczęłam się zastanawiać, czy dziś znów go zobaczę. Analizowałam, w czym korzystniej wyglądam, gdy siedzę, a w czym, gdy idę. Dopiero co kilka dni temu pożegnałam nałóg wchłaniania substancji cellulitotwórczych w postaci ciastek do espresso i bezy do obiadu, a już zastępowałam go kolejnym. Zapewne każde uzależnienie kryje w sobie dobre intencje, to w końcu wyjście naprzeciw jakiejś namiętności, ale... Nie zbaczaj na manowce, Lukrecjo! — upomniałam samą siebie. Zaaplikowałam sobie siedemdziesiąt brzuszków, jedną świecę i kilka pogłębionych skłonów w przód. Wykonałam przepisane oddechy i różnym krokiem wkroczyłam do kuchni, gotowa na koktajl z natki, lnu, ziaren chia, cytryny, awokado i odrobiny miodu.

Wera też z czymś walczyła. Miała rano finalizować jakąś ciągnącą się od dawna transakcję, tymczasem siedziała na rozłożonej macie w pozycji wielbłąda, z głową zwieszoną do tyłu, i liczyła oddechy.

— Obawiam się najgorszego, Lukrecjo — przywitała mnie, wracając do pionu. — Że mężczyźni są mężczyznami, a my kobiety jesteśmy jedynie prototypami.

— Czego?

— Prototypami kobiet, z których dopiero w następnych pokoleniach powstaną realne przedstawicielki naszego gatunku.

W pierwszej chwili pomyślałam o pokrętnym Julianie, prototypie romantycznego kochanka, który w rzeczywistości mógł być zwykłym bajerantem. Czy to aby nie on jakimś nieostrożnym SMS-em nie wywołał w Wera regresu kobiecości, który pchał ją ku prototypicznym obawom? A może jej stan ducha był pochodną całego zestawu Julianów, Kacprów i innych pojawiających się i znikających, na których Wera otwierała serce, nie dostając w zamian niczego, czym mogłaby je wypełnić.

— Wera, aż boję się pytać, co ci się śniło — powiedziałam, zabierając się do miksowania dla nas energetycznej zieleńki.

— No właśnie! My ciągle śnimy. Kiedy mężczyzna mówi „Kocham cię”, rozumie przez to: „Chcę cię jak najszybciej przelecieć”. A kiedy kobieta słyszy „Kocham cię”, myśli: „On chce być ze mną już na zawsze”, i zaczyna śnić o białym welonie. Tragedia.

— Coś się stało? — Zaniepokoiłam się nie na żarty.

— Mnie nic, ale kobieta z tej uroczej parki, która dziś miała podpisać umowę zakupu przestronnego gniazda marzeń przy ulicy Willowej, pewnie nie zaliczy tego dnia do udanych. Wczoraj wieczorem oglądaliśmy lokal po raz ostatni, wszystko cacy, ona śni swój sen, chodzi po pokojach i mówi, że tu rozbiją jedną ściankę, bo po ślubie... A on nagle zatrzymuje się — młody, zamożny adwokat — i wypala: „Po jakim ślubie?”

— O madonno, i co?

— No i się zaczęło, to znaczy skończyło. Notariusz umówiony dziś na ósmą, a ta o szóstej rano wysłała mi SMS-a, że jednak nie kupują razem mieszkania, bo ich priorytety życiowe się różnią.

Już chciałam włączyć alarmowy system pocieszania Wery, ale wyręczył mnie dzwonek jej telefonu. Błysk w jej oczach i tembr głosu, jakim powiedziała „Halo”, sugerował, że czyjeś priorytety życiowe miały szansę być zbieżne z jej własnymi. Rzuciła do słuchawki krótkie słówka, drepcząc po pokoju, a jej twarz przybierała coraz dziwniejszy wyraz, jakby wpadała w stan lekkiej senności. Aż sama zaczęłam się zastanawiać, czy aby idea uśpionych prototypów kobiecych, które nie chcą się wybudzić, nie dotyczy nas, dobiegających czterdziestki kolekcjonerek miłosnych klęsk, kiedy nagle spojrzałam na lodówkę, na którą Wera co jakiś czas wywieszała nową kartkę. Dziś widniał na niej napis: *Nie czekajmy na starość, by głaskać nietoperze!*

— Myślisz, że Julian jest gejem? — rzuciła Wera, odkładając słuchawkę. Miała bladą twarz i smutne oczy.

— Bo? — zapytałam zaskoczona.

— Zastanów się, dlaczego jego żonie przeszkadzał przeszklony dach — rzuciła poddenerwowanym tonem.

— Była psychopatką, może się bała, że się stłucze i spadnie jej na głowę, może miała katastroficzne sny albo coś podobnego?

— Nie wiemy, czy to ona miała kuku na muniu, czy Julian — to po pierwsze, a poza tym pomyśl: kiedy kobiecie przeszkadza w sypialni dach?

— No, stresy, bezsenność...

— Nonsens. Na to są proszki. A na brak seksu nie poradzisz nic. Po prostu nic. Leżysz i gapisz się w ten sufit co noc.

— Wera, to raczej niemożliwe, żeby Julian był oziębły, w nim testosteron aż buzuje — próbowałam ją uspokoić.

— No właśnie, a jej mimo to przeszkadza dach w takim pięknym domu. Jemu buzuje, ale na widok mężczyzn, mówię ci.

— Skąd ten trop?

— Znalazłam dla niego apartament marzeń, po prostu perła! Wysłałam SMS-a, że właściciel będzie w Warszawie w następną sobotę i możemy razem obejrzeć, a on na to, że akurat wtedy jest Światowy Dzień Masturbacji i on z kolegą jedzie z tej okazji na party do Berlina! — wyrzuciła wreszcie i opadła na fotel.

— Hm... ale dlaczego heteryk nie miałby celebrować Światowego Dnia Masturbacji? Nie dyskryminuj...

— Z kolegą? Zwariowałaś?! I to jego wyrefinowanie, to podniecanie się smakami. Normalny facet nie odróżnia smaku brukselki od buraka! Do tego jeszcze te perfumki z byczego gówna!

— Z byczej krwi, Wera, a dokładniej z molekuł naśladowujących jej aromat.

— Na bycze odchody to można łapać innego byczka, a nie polować na kobietę!

— Może dolać ci koktajlu? — zapytałam, czując, że nie mam chwilowo żadnego kontrargumentu.

Zaferowana panem od suczki zapomniałam wspomnieć Wera, że spotkałam Juliana w kawiarni. Już miałam jej powiedzieć, że z entuzjazmem o niej wspominał, ale nie byłam pewna, czy nie chodziło mu czasem o nadzieję na to, że Wera znajdzie dla niego perfekcyjny apartament, w którym będzie urządzał swoje perwersyjne przyjęcia. Do tego ta blondi, na którą prawie nie reagował, w przeciwieństwie do wszystkich innych mężczyzn przy okolicznych

stolikach. Może rzeczywiście coś było na rzeczy? Ale czy to lepiej dla Wery? Lżej chyba znieść na wstępie niespójność preferencji seksualnych, niż spędzać potem długie miesiące na kozetce u psychoanalityka, próbując dociec, jaki element z dzieciństwa zadecydował, że związałam się z mężczyzną, który żeby dostać orgazmu, musi na mnie nasikać. Bo niby po co wspominałby o tym moczu przy kolacji? To musi mieć jakieś znaczenie. Nagle mój wzrok zatrzymał się na słoiku z natką.

— Wera! — wrzasnęłam. — Zobacz! Zwiędły kwiat hiperricum, który włożyłam tu w walentynki, wypuścił nowy pęd! Nie do wiary! To jakiś znak!

— O, w mordę jeża! — wyszeptała Wera, która nie miała co prawda drygu do roślin, ale potrafiła docenić istnienie zjawisk nadprzyrodzonych. — Ale czy tego badyla nie przyniósł tu Julian?

W drodze do królestwa kawowej rozkoszy pomyślałam o nietoperzach. O tajemniczym zjawisku echolokacji, które pozwala im wielkimi uszami wyłapywać z odgłosów echa, gdzie czai się zdobycz, którą chcieliby upolować. Czy łatwiej mają zwierzęta czułe na odgłosy, czy raczej te, które za pomocą feromonów wabią lub odpychają osobniki płci przeciwnej? Czy to możliwe, że któraś z tak subtelnych form wyczuwania się na odległość zadziałała pomiędzy mną a poszukiwaczem suczki? Tylko ani ja, ani on nie umiemy jej jeszcze rozpoznać.

Moje rozmyślenia przerwał dźwięk telefonu. Nie chciałam odbierać, ale równocześnie marzyłam, by wreszcie mieć to za sobą. Matka zaczęła od tego, co zwykle, ale była dziwnie ożywiona. Ku mojemu zaskoczeniu wiadomość o tym, że odeszłam z pracy i właśnie przyjechałam do Warszawy, skwitowała jedynie stwierdzeniem, że to bardzo dobrze, bo niedługo Unia się rozpadnie, więc lepiej, żebym była w pobliżu, kiedy pozamykają znów granice. Taka właśnie była. Nigdy nie dało się przewidzieć, na co się wścieknie, a co zupełnie zignoruje. Nawet nie zadała pytania, z czego tu będę żyła. Nie wywrzeszczała z pretensją, dlaczego jeszcze nie raczyłam jej odwiedzić. Jakby kompletnie zapomniała o całym świecie. Znałam jej zdolność do nagłych poruszeń, więc spodziewałam się, że zaraz coś z niej wypłynie. Nie

musiałam długo czekać. Zaczęła opowiadać o swojej przyjaciółce Helence, która poznała w sanatorium w Kołobrzegu ekscytującego pana Ryszarda. Co prawda ma atopowe zapalenie skóry i nie toleruje kwitnienia roślin, co na razie nie pozwala Helenie robić dalekosiężnych planów, bo nie wyobraża sobie weekendów bez uprawiania swojej działki, ale póki nie nadejdzie wiosna, mogą przecież być razem? Głos matki był tak ożywiony, że postanowiłam się jej zwierzyć, że dla mnie też jest nadzieja, bo właśnie po raz pierwszy od dawna zabiło mi serce. Kiedy jednak matka zadała mi rzeczowe pytanie, czy aby na pewno mój obiekt westchnień nie ma na coś alergii jak Ryszard, zobaczyłam przez szybę kawiarni, jak szaroniebieskooki popija kawkę z jakąś małolată, na dodatek siedząc w tym samym miejscu, co ja wczoraj. Zrobiło mi się gorąco.

Myślałam o ucieczce, ale w końcu weszłam do środka. Skończyłam rozmowę z matką, wykręcając się jakimś spotkaniem, na które akurat idę. Zamówiłam espresso. Nawet na niego nie spojrzałam. Usiadłam po drugiej stronie sali, pod oknem. Jeszcze nie wiedziałam, jak ma na imię i czy toleruje kwitnące pyłki, ale już byłam pewna, że gustuje w małolatach. Bulgotało mi w żołądku. Zdałam sobie sprawę, że mój niefort na ziemi przodków jest jeszcze bardziej żalosny niż na ziemi włoskiej. Potencjalny homoseksualizm Juliana, z którym musiała się zmierzyć Wera, to był naprawdę pikus w porównaniu z takim zagadnieniem jak sponsoring małolat.

Ponownie na niego zerknęłam i dopiero teraz dostrzegłam, że ma lekkie zakola, a na zaroście szpakowate smugi. Czy miałam uwierzyć, że ta urocza młodziutka laska umawia się z dwa razy od siebie starszym dziadkiem zupełnie gratis? Przed oczami stały mi różnej rasy suczki i żadnej, naprawdę żadnej z nich nie miałam litości skazać w wyobraźni na życie z samotnym pracoholikiem albo zblazowanym rentierem wysiadującym w kawiarniach, który sponsoruje panienki wyglądające na licealistki. Nie, to nie my jesteśmy prototypem kobiet, to te żalosne, niedogolone, niezdolne do prawdziwych uczuć czterdziestoletnie zgredy wchodzące w kryzys erekcyjny są nieudanym prototypem mężczyzn. Już wolę perwersyjnego Juliana, nawet jeśli nie reflektuje na nas seksualnie. Przynajmniej można rozkoszować się z nim jedzeniem. A czym miałabym się rozkoszować z mężczyzną, który pije americano z dodatkiem mleka? Nawet nie chcę myśleć, jakie ma wzdęcia, do tego pewnie gazy, przelewanie w brzuchu, kwaśny odczyn stolca, nie mówiąc o stanach zapalnych w jelicie grubym, które prowadzą do depresji.

Wyobraziłam sobie wielki taras Juliana, z którego widać rzekę. Wzdłuż barierki rosną młode cedrowe drzewka, bukszpan, wiecznie zielona sosna karłowa. Dalej w okrągłych donicach kwitną czerwone i różowe azalie. Blisko okrągłego stołu, obsypana pąkami, roztacza słodkawe zapachy niskopienna jabłoń. Między krzewami poruszają się przystojni bruneci, heteroseksualni klienci Juliana. Wysublimowani jak on sam. A ja w szafirowym tiulu, który rozwiewa się na wietrze, lżejsza o pięć albo nawet o osiem kilogramów, wnoszę na tacy przepiórki w płatkach róż. Płatki sfruwają na ziemię, a oni jeden po drugim rzucają się do moich stóp, żeby je zbierać. I w tej właśnie chwili wchodzi szaroniebieskooki. Nie ma nawet szans się do mnie dopchać. Zrozpaczony podchodzi do barierki, chce się rozpląkać, ale nie potrafi. Skacze, ale się nie zabija. Spada w sam środek przyjęcia rozgrywającego się piętro niżej. A tam wszyscy w barchanowych gaciach. Podają mu jakiś trunek wyglądający jak koci mocz. Wstawiony podchodzi do stołu i zaczyna żreć. Chrupiące larwy posypane skruszonym łąjnem, pikantna pasta z pluskw. Żre i żre. Pieczona tarantula doprawiona kretem do przepychania rur. Surowe termity polane sosem z ptasich gówien. Gdy wjeżdża larwa w posypce z trocin, kapie mu ślina, jeszcze wyciąga rękę, ale nagle pada na wznak i...

— Znów się spotykamy. Pani jak zawsze w takich rozweselających kolorach!

Usłyszałam ciepły, piękny tembr. Podniosłam głowę. Nie, to nie był sen. On naprawdę stał tuż obok i do mnie mówił. Miał koszulę w bladym fiolecie, rozpiętą pod szyją tylko na jeden guzik, ale i tak można było dostrzec jego owłosioną klatę. Uśmiechał się, patrząc mi w oczy.

— Czy znalazł pan już sobie suczkę? — wypaliłam zmieszana, czując, że oblewam się rumieńcem.

Jak mogłam wypuścić z siebie coś tak kretyńskiego! Ale co innego mogłam powiedzieć w chwili, kiedy ktoś, kogo przed chwilą uśmierciłam trutką z larw, o mało nie doprowadził mnie do euforii.

— Dziś jadę ją odebrać. Labradorka. Właśnie przed chwilą pokazywałem córce zdjęcia. To prezent dla niej na osiemnaste urodziny — powiedział i sięgnął po komórkę. — Proszę spojrzeć, piękna jest, prawda?

— Uhm... — chrząknęłam, nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa. Z trudem łapałam oddech.

— Niestety muszę już pędzić, ale może moglibyśmy jutro wypić razem

poranną kawę? — zaproponował, zapinając płaszcz.

Nie czekajmy na starość, by głaskać nietoperze... To zdanie dzwoniło mi w uszach jak refren, może nawet szeptałam je do siebie pod nosem. Wracając do domu, odrywałam stopy tak wysoko od ziemi, że nie byłam pewna, czy już frunę, czy wciąż idę. Ciepły powiew wiatru owiewał moje ciało i ziemię, która z każdym podmuchem wypuszczała ze swoich głębin mikrocząstki żywej wilgoci. Ptaki, jakby instynktownie wyczuwając drżenie w korzeniach drzew, wzbijały się ze świstem do lotu i zataczały na niebie szerokie kręgi. Łazienki — po raz pierwszy w życiu zdałam sobie z tego sprawę — były najpiękniejszym parkiem, jaki kiedykolwiek widziałam. Drepczące na schodach amfiteatru pawie stroszyły ogony. Piękne jak południowe morza w słoneczne dni lata. Szafiry i turkusy przechodziły w granat i odbijały ku seledynom. Gotowa byłam po nich płynąć w dowolnym kierunku, byle z nim. Z mężczyzną o szaroniebieskich oczach, który nie przechodzi kryzysu, nie sponsoruje małolat i nie ma w sobie nic ze znerwicowanego pracoholika. I ma taki piękny tembr głosu, przy którym chciałabym zaczynać każdy dzień. Najbardziej pasowałby do niego mus z mango, delikatnie przełamany listkami kolendry i czarnym sezamem. A jeśli nie lubi zaskakujących połączeń?

— Nie jest gejem, bo ekscytował się jakąś koedukacyjną sauną, w której spędził wczoraj kilka godzin! Uff! Poza tym odwołał wyjazd na Światowy Dzień Masturbacji, żeby zobaczyć ten apartament, tak się podjarał zdjęciami, które mu wysłałam! — wyrecytowała podekscytowana Wera do słuchawki.

— Wysyłasz mu już swoje intymne foty? — Nie dowierzałam.

— *Bella*, co z tobą? Zdjęcia mieszkania, nie moje. Gdzie ty jesteś?

— Łapię pawia.

— Dobrze, że nie puszczasz. — Zaśmiała się. — *À propos*, chodź, zjemy razem obiad w fajnej wegeknajpie.

— I będzie do wyboru prażona kasza gryczana albo wyschnięta jaglanka? — wystraszyłam się.

— Ej, włoska *milady*, grzeczniej proszę! — Zaśmiała się Wera. — Nawet ściany są tam odmalowane farbami pochłaniającymi pole elektromagnetyczne. A zestawy smaków mają wyrafinowane, tak jak lubisz. Docenisz ich, zaufaj mi.

Niespodziewany deszcz nie spłoszył przechodniów. Na najbardziej paryskim z warszawskich placów, mimo że była pora dnia, kiedy ludzie siedzą zapatrzeni w monitory przy swoich biurowych stołach, panował spory ruch.

W sklepiku na rogu kupiłam legginsy, które na miejscu naciągnęłam na swoje cienkie rajstopy. Krótki spacer po Łazienkach przypomniał mi, że ciepły lutowy dzień w Warszawie to jednak nie to samo co przedwiośnie w Mediolanie.

Knajpa wyglądała niepozornie. Wewnątrz było sporo ludzi. Wystrój tak nijaki, że aż nie mogłam uwierzyć, by moja Wercia, która w swoim pozorowanym chaosie miała nawet kolor trzonków noży dobrany do listwy nad szafkami, mogła czerpać przyjemność z przebywania w tak niestyłowym miejscu. W powietrzu unosił się aromat kurkumy, imbiru i świeżych ziół. To mnie ukoilo. Na półce leżały poukładane w rzędy owoce granatu i persymony. Usiadłam przy oknie. Rozejrzałam się uważniej i dopadło mnie przyjemne uczucie, że materiały, którymi wykończono wnętrze, mają w sobie jakiś ludzki pierwiastek. Wszystko było naturalne. Przyjazne. Może to kwestia dobrej energii, ale czuło się przyjemną aurę. Oparłam łokcie na parapecie i nagle uświadomiłam sobie, że odkąd jestem w Warszawie, zupełnie przestałam cierpieć z powodu ich drętwienia. Może dlatego, że wreszcie przestałam spędzać po dziesięć godzin dziennie przed kompem? Czy też Claudynka miała rację, że to był psychosomatyczny protest wobec monotonii życia? *Łokcie, Lukrecjo, objawiają strach przed zmianą* — powtarzała mi. Właśnie pisałam do niej SMS-a, kiedy do mojego stolika podszedł niewysoki mężczyzna i pewnym siebie gestem zdjął z taboretu mój położony na nim płaszcz. Miał najwyżej trzydzieści kilka lat, mocne zuchwy, a między brwiami wyrazistą lwią zmarszczkę. Do tego wydatne usta, które nazbyt pewnie wydymał.

— Nie można było skorzystać z innego taboretu, musi pan przekładać akurat mój płaszcz? — zapytałam w miarę uprzejmie, zaskoczona jego tupetem.

— Można, ale akurat nie mam na to melodii — odpowiedział, uśmiechając się, trudno powiedzieć, czy bardziej ironicznie, czy zaczepnie.

— To niech pan sobie ją zanuci, bo ja na kogoś czekam i potrzebuję tego miejsca — odpaliłam stanowczo.

— Ma się tę żądzę posiadania, co? Może właśnie dlatego on nie nadchodzi, bo spękał? — Teraz już wyraźnie mnie prowokował. — Mężczyźni nie lubią takich zaborczych kobiet.

— A kobiety takich mało spostrzegawczych mężczyzn, którzy nie widzą wolnych taboretów pod swoim bokiem — odparowałam.

— Ostra jesteś.

— Proszę?

— Lubisz dominować? Lubisz czuć czyjąś uległość? — zapytał, mrużąc oczy.

— Kacper? — zakrzyknęła Wera od progu, a potem zawiesiła na mnie pytający wzrok. — To wy się znacie?

Co cię nie zabije, to cię speszy. Dzień za dniem przeistaczamy się w lepszą wersję siebie. Tę, którą wybieramy ze strumienia możliwości. My, świadome, otwarte na miłość, wiecznie wsłuchane w odgłosy własnych dusz i ciał. My, które nie lubimy mięczaków, pantoflarzy i zagubionych w życiu nieudaczników. Czy to, co nam pozostaje, to wybór między perwersem ironistą a aroganckim pozerem? A może to brak wiary, że istnieją inne okazy, zamienia życie kobiet tak niezwykłych jak Wera w samospełniającą się przepowiednię? Perwersyjny Julian, choć nie zapowiada nic trwałego, przynajmniej wnosi wyrafinowanie i pobudza wyobraźnię, a co można dojrzeć w kimś takim? To miał być ten świadomy siebie, ciekawy świata i gotowy stawiać mu czoła w każdych okolicznościach, zainteresowany ekologią i drugim człowiekiem supermen? W żaden sposób nie komponował się z opisami Wery. A tym bardziej z nią samą.

— Właśnie się poznajemy. — W uszach zadźwięczał mi głos Kacpra. — Co za zbieg okoliczności! Wrrrono, jak się masz?

— Wrono? — powtórzyłam mechanicznie.

— Wrrrona brzmi jak Werona, tylko mocniej, co? — Znowu przybrał ten zblazowany uśmiech. — A ty to...?

— To właśnie jest Lukrecja, ta, która wróciła z Mediolanu. — Wera próbowała jakoś załagodzić sytuację.

— Ach, to ty jesteś tą ofiarą foodingowej obsesji? Mogłem skumać.

— Proszę?

— Podobno w foodingu najgorsza jest teraz ortoreksja!

— Ortoreksja?! — zakrzyknęłyśmy obydwie jednocześnie.

— Fiksacja na temat zdrowego żarcia. Bardziej się teraz panoszy w tym kraju niż anoreksja i sklepy z papkami na sraczkę.

— Na co? — zapytałam.

— Na szybsze wydalanie. Też to masz? — zwrócił się do mnie.

A ja zaczęłam rozważać, czy wylać na niego aromatyczny czaj, który zamówiłam, czy jednak szkoda marnować coś tak smacznego na kogoś tak pozbawionego smaku. Chyba tylko przez wzgląd na podenerwowanie Wery wciąż nie miałam odwagi zmieszać go z błotem. Ale ku mojemu zdumieniu

zauważyłam, że w czułych oczach Wery zapalają się iskry, jej twarz zaczęła płonąć i widać było, że na tym nie poprzestanie. Nie myliłam się. Wera przeszła do akcji.

— Ortoreksja, Kacperku, już jest *passé*, teraz prawdziwą obsesją, która włada naszą wyobraźnią, jest dysmorfofobia — wypaliła.

— Nie znam, ale już mi się podoba. Zajebicie brzmi. Co to?

— Dotkliwe poczucie, że jakaś część ciała jest brzydka, nieproporcjonalna lub niesatysfakcjonująca — cedziła każde słowo Wera.

— Za mała na przykład — dodałam.

— Na przykład — podbiła Wera.

— Dotyczy to głównie mężczyzn — wsparłam ją.

Może nie ma ich wiele, ale odgrywają w życiu istotną rolę. Rzeczy, które zyskujesz z wiekiem. Pomyślałam o nich właśnie w tej chwili. Na przykład świadomość, że w czasach, kiedy seks był długo wyczekiwaną nagrodą, na którą mężczyzna musiał zasłużyć, czyniąc całą masę starań, łatwiej było podtrzymywać trwałe więzi między kobietą i mężczyzną. Teraz z tym podtrzymywaniem jest gorzej, ale przynajmniej, dzięki szybkiemu dostępowi do seksualnej oferty, łatwiej ją porównać, a w przypadkach tak nierokujących nadziei jak ten doprowadzić do unicestwienia mężczyzny, który dostąpił nagrody, na którą nie zasługiwał. Najwyraźniej wszyscy zdaliśmy sobie z tego sprawę. Nawet Kacper, który burknął jeszcze kilka słów i zmył się pod pretekstem umówionego spotkania w okolicy. Wera poczuła ulgę i dała temu wyraz, głęboko wzdychając. A ja, nie chcąc naruszać jej dopiero co odzyskanego spokoju, nie skomentowałam ani słowem zachowania Kacpra.

Zjadłyśmy wysmienite curry z superbiowitalnym ciastkiem jaglanym na deser. Zamówiłyśmy ekokawę. Bezpiecznie sprowadziłam rozmowę na Juliana, a ściślej na temat potencjalnych szans na zakup przez niego nowego mieszkania. Dobrze nam to zrobiło. Wera się rozprężyła, wyciągnęła laptopa, a ja zaczęłam marzyć o wielkich ucztach. Oglądałyśmy zdjęcia apartamentu z imponującym tarasem na trzy strony świata. Z widokiem na bezmiar nieba i drzewostan Łazienek Królewskich. Wyobraziłam sobie na nim pana od

suczki. W błękitnej, swobodnie rozpiętej koszuli. Tym razem bez żadnych obleśnych robactw. Dryfowałam ku najbardziej wyrafinowanym smakom świata. Opowiadałam o tym Werze — o przystawkach z królewskich melonów Yubari prosto z Hokkaido wypełnionych mussem z kawioru z białugi, które mogłybyśmy na takim tarasie jadać w upalne dni, wachlując się w słońcu. Rozwodziłam się nad delikatnym smakiem tuńczyka błękitnopłetwego przyrządzonego w szafranie. Rozmarzyłyśmy się. Prawie czułyśmy te smaki w ustach.

— *Bella*, a co to jest ten żółty owoc, tam w głębi? — zapytała Wera, wodząc wzrokiem po półkach.

— Persymona.

— Pierwsze słyszę.

— Niektórzy mówią na nią sharon, inni kaki, a jeszcze inni nazywają ją jabłkiem orientu.

— Wolę persymonę.

— Brzmi jak bogini.

— Albo królowa.

— W świecie antycznym ten owoc nazywano ogniem Zeusa. Nie bez powodu, *bella*. Jeśli marzysz o codziennym seksie o poranku, to... — przybrałam ton wieszczki — przyrządzaj mu często omlet z persymony i granatu albo sałatkę, najlepiej z gałką muszkatołową, bo to też silny afrodyzjak. Nie pożałujesz.

— Pani opowiada lepiej niż te kucharki z telewizji, aż miło posłuchać. — Nachyliła się do nas jakaś pani ze stolika obok.

— Bo ona jest najdoskonalszą kucharką świata — miauknęła Wera.

— A da mi pani przepis na ten omlet? Zrobię mężowi, może jeszcze coś z niego będzie, bo ostatnio taka straszna już z niego dętka, że lepiej nie mówić — zamrugła porozumiewawczo.

Wspaniała buraczano-wiśniowa zupa z kielkami oraz smaczne risotto z topinamburem i kiszunkami posypane orzechami laskowymi dodały nam energii. Ledwo wyszłyśmy z knajpy, naładowane jak elektrownie, a Wera wydała z siebie nieartykułowany wrzask. Podekscytowana zaczęła podskakiwać wokół mnie i krzyczeć: *si, si, si*. Zarządziła, że idziemy na mostek. Nie musiałam pytać, sama czułam, że coś się dzieje. Minęłyśmy plac Na Rozdrożu i stanęłyśmy na kładce nad Trasą Łazienkowską. Tej samej, na której w drodze z liceum kiedyś wykrzykiwałyśmy swoje marzenia. Tęnęły

w szumie jadących samochodów, ale ich echo zapadało w naszych uszach i ciałach, a po jakimś czasie wracało, gdy uświadamiałyśmy sobie, że marzenie się spełniło. Tyle że te spełnienia dokonywały się zazwyczaj nie wtedy, gdy się ich spodziewałyśmy, i nie dokładnie tak, jak je sobie wyobrażałyśmy.

Staliśmy wyprostowane na moście, wydałyśmy jak wtedy indiański okrzyk, uderzając dłonią w usta, i na trzy-cztery wrzasnęłyśmy na całe gardło:

— Mamy to! Lukrecja, do boju!

Powtórzyłyśmy tę afirmację kilka razy, cichnąc dopiero na widok pary dwudziestolatków, która spojrzała na nas ze zgrozą i wyższością pokolenia świadomych swoich celów millennialsów. Prawie zachryłyśmy. Obie jednocześnie zdałyśmy sobie sprawę, że jestem na dobrym tropie. Wracając do domu, przerzucałyśmy się pomysłami. Czy powinnam zostać coachem i doradzać w odżywianiu? Nie, nie czuję tego. Chyba że coachem od miłośnej kuchni. To byłaby jakaś nowość. To byłoby to! A może robić warsztaty zmysłowej kuchni? Albo w ogóle otworzyć restaurację z miłosną kuchnią? Przecież chodzi o to, żeby karmić, żyć wśród smaków i zapachów, a nie wydawać instrukcje. Czy nie idę za daleko? Wera przytomnie zauważyła, że w okolicach placu Zbawiciela co chwilę bankrutuje jakaś knajpa. Mody na lokale są sezonowe, a jeszcze teraz ten szal na Halę Koszyki, gdzie wysiaduje pół miasta. Restauracja nie wchodziła w grę, to jak więzienie. Zresztą na samą myśl o wielkich kredytach traciłam poczucie smaku. Może rzeczywiście czas pomyśleć o warsztatach?

— Przecież mamy Juliana — zaczęła tajemniczo Wera.

— Kto ma, ten ma — zakpiłam.

— Ale przyznaj, trochę go już mamy.

— A co to ma do rzeczy?

— On zaraz może zostać właścicielem wielkiego tarasu, więc... —
Wstrzymała oddech.

— Chcesz mu tam urządzić perwersyjne bistro? — Zaśmiałam się.

— No...

— Można by serwować przystawki bezpośrednio na nagich ciałach. A zaraz potem...

— Daj spokój. Przypomnij sobie klęskę biednej Samantha z *Seksu w wielkim mieście*. Pamiętasz, jak się obłożyła sushi?

— A on się spóźnił.

— No i kwestia higieny.

— Nie wspominając o konieczności radykalnego odchudzenia się.

Wybuchnęliśmy śmiechem, choć obraz nieszczęsnej Samantha z tamtego odcinka, niezależnie od tego, jak bardzo mogła nas zachwycać jej pewność siebie i seksapil, wywołał jednak niemiłe uczucie. Jeszcze kilka lat temu wydawała się odległym od nas zabawnym uosobieniem pani w średnim wieku. Teraz różniłyśmy się od niej i jej szalonych koleżanek być może już tylko tym, że nie nosiłyśmy butów Louboutina i tych zapierających dech w piersiach sukienek. A kto wie, czy nie czułyśmy się bardziej samotne.

— Poza tym to załatuje orgią, a nie kulinarnym biznesem — stwierdziła Wera.

— To może bistro, gdzie wszyscy jedzą z czarnymi przepaskami na oczach?
— podkreśliłam się.

— Nie opaski, nie bistro, ale zmysłowe kolacje na dachu u perwersyjnego Juliana. To jest jakiś punkt wyjścia.

— Na przykład tematyczne.

— Na początek tylko dla singli!

— To by było coś. — Znów się ożywiłam.

— Ale skąd wziąć singli facetów?

— Jak to skąd? Z Internetu!

— A potem jeszcze lepiej: pary w konflikcie.

— Albo: ona go zdradziła, on chce jej wybaczyć — rzuciłam, łapiąc coraz większą głupawkę.

— Albo: on ucieka, a ona goni... — wtórowała mi Wera.

— On chce rano, a ona wieczorem.

— Mamy to!

— Zaraz, przecież Julian nie tylko nie kupił jeszcze tego tarasu, on go nawet nie widział, a my już mu go urządzamy!

— Kobiety zawsze myślą z wyprzedzeniem, bo kobiety...

— ...gdy już nie są dzieckiem...

— ...bo kobiety są występne i zdradzieckie! — zanuciłyśmy obydwie.

Mniejsza o Juliana. Może potrzebowałam go tylko jako trampoliny dla wyobraźni? Wszystko zaczynało się kleić, mimo że nie przybrało jeszcze konkretnych kształtów. Wiedziałam, że nic nie dzieje się przypadkiem. Wreszcie czułam samą siebie. Jak mówi Claudynka, łapałam *flow*. *Adieu*, życie w rozdzieleniu pomiędzy bezpiecznym zestawem nawyków, odruchów

i przyzwyczajęń w świecie realnym a smakami, zapachami i wrażeniami w świecie wyimaginowanym. Ten drugi, niby dla mnie prawdziwszy, ale dochodził do głosu tylko w przerwach między czynnościami wykonywanymi w moim korpo. Miałam prawie czterdzieści lat, a pierwszy raz w życiu czułam się tak silna, odważna, pewna siebie i pewna tego, że chcę kolejne czterdzieści lat robić już tylko to, co mi smakuje. Uwierzyłam, że mogę popłynąć z prądem własnej rzeki, a nie kręcić się w kółko na cudzym oceanie. Uwierzyłam w to zupełnie jak ciotka Aurelia. Gdy zbankrutowała założona przez nią kawiarnia, pożyczyła mnóstwo pieniędzy. Wszyscy myśleli, że chce przerobić lokal na restaurację, a ona pojechała do Paryża, nakupiła drogich sukienek sobie i koleżankom, a po powrocie wydała wspaniały bal w górskim uzdrowisku. Takie kosztowne przyjęcie? *To się nie opłaca!* — mówili wszyscy. *Co z tego, że się nie opłaca, skoro warto!* — krzyknęła. A na balu pojawił się pewien dobrze prosperujący pan i odkupił te suknie za dwa razy wyższe kwoty. Potem wszedł z nią w spółkę przy jakimś kolejnym interesie.

A ja nawet nie muszę pożyczać forsy. Mogę odpalić bombę bezkosztowo. Założyć bloga i budzić zmysły. Ktoś się zainspiruje, a ktoś inny zapragnie wziąć udział w eksperymencie. Zechce poznać nowy smak albo nowego męża.

Wera ruszyła na spotkanie, a ja puściłam na cały regulator *I have a dream* Abby i fruwałam między sofą a podłogą. Obroty uruchomiły lawinę myśli. Wirowałam, nucąc, aż padłam na ziemię. Złapałam powietrze i zwinęłam nogi, siadając po turecku. Zamknęłam oczy i wykonałam cały zestaw ćwiczeń oddechowych z kursu. Kiedy skończyłam, czułam się lekka i spokojna. Przypomniałam sobie ulubioną mantrę Claudynki i zaczęłam ją powtarzać w myślach. W końcu, nawet jeśli nie zadziała, to... A właściwie dlaczego ma nie zadziałać?

*Wszystko, co jest potrzebne
do odniesienia sukcesu, jest we mnie.
Pozwalam teraz, aby świadomość
sukcesu ugruntowała się we mnie
I zaczęła przejawiać się w moim świecie.
Wszystko, ku czemu się skieruję,
będzie sukcesem.
Z każdego doświadczenia wyciągam naukę,
Kroczę do sukcesu*

*ze świadomością, że to jest dobre
Dla mnie i dla innych.*

Poczułam moc. O dziwo, nawet nie wydałam się sobie śmieszna. Otworzyłam laptop. Zanurkowałam w świat blogów. Już po chwili jednak wypłynęłam na powierzchnię, z trudem łapiąc oddech. Po godzinie byłam bliska rozpaczki. Miałam wrażenie, że Polacy nie robią nic innego, tylko gotują, a potem opisują to na swoich kulinarnych profilach. Rzeczywiście ten kraj jest pogrążony w foodingowej obsesji. Kacper nie przesadzał. Jednak gdy zagłębiałam się w kolejne przepisy, przyglądałam się zdjęciom potraw, widziałam pewną powtarzalność pomysłów. Chwilami miałam nawet wrażenie, że różne blogi mogłyby należeć do tej samej osoby. Aż wreszcie pojęłam, że narcystyczna osobowość naszych czasów, której wszyscy jesteśmy ofiarami, nieźle nas podpuszcza. Jemy i gotujemy, żeby inni nas widzieli. Spaliliśmy na stosie przywilej tajemnicy, która pobudza wyobraźnię. A gdyby tak, na przekór wszystkiemu, założyć bloga, na którym nie pojawi się ani jedno moje selfie? Nigdy nikt nie zobaczy, jak wyglądam. Wszyscy tylko będą coś sobie wyobrażać, domniemywać? A przy okazji poznawać meandry smaków, nie tylko tych kulinarnych. W końcu czakra druga odpowiada i za zmysł smaku, i za nasze erotyczne pragnienia. W walce między sercem a mózgiem zwycięża zawsze żołądek. Ale triumf żołądka służy temu, by serce poczuło jego smak. Tego się będę trzymać. Przewertowałam strony z szablonami. Wybrałam dość prosty i odpaliłam bloga.

— Apetyt na jedzenie, apetyt na seks, apetyt na życie! — krzyknęłam nagle.

Utworzyłam plik roboczy. Wstałam. Wzięłam głęboki oddech. Zaparzyłam senchę. Przeszłam kilka razy w tę i z powrotem po pokoju. Usiadłam. „Apetyt, apetyt, apetyt” — zapisałam boldem. Zerwałam się z krzesła. Pobiegłam do lodówki, wyjęłam dwie papryczki chili. Wyciągnęłam torbę z przyprawami, którą przywiozłam ze sobą z Mediolanu. Wysypałam je na stół. Zakreśliło mi się w nosie od intensywnych aromatów. Rozsuwałam ziarna palcami. Wąchałam jedno po drugim. Przekładałam. Zaczęłam układać z nich wielobarwną mandalę. Koło życia. Wpatrywałam się w nie jak w magiczny talizman. Kiedy ułożyłam ostatni element dopełniający całości, zrobiłam zdjęcie. Apetyt na jedzenie i apetyt na seks. Oto dwa powody, dzięki którym nieźle się bawimy, a koło życia na ziemi ciągle się toczy. Zaczęłam pisać. Znow spójrzałam na mandalę. Pisałam dalej, wycinałam słowa, znow je

wklejałam. Pisałam w coraz większym podnieceniu. W końcu załadowałam zdjęcie i opublikowałam mój pierwszy post.

Rozdział 6

Walcz o to, w co wierzysz, i pozwól fali płynąć

Pozwoliłam sobie na wiele. Ale nie żałuję. To miała być tylko poranna kawa, mimo to postanowiłam podejść do niej holistycznie. Nie, nie dlatego, że spodziewałam się przeciągnięcia jej do kolacji czy do jutrzejszego śniadania. Po prostu chciałam poczuć się boginią. Włożyłam provocateura, najbardziej ekskluzywną bieliznę, jaką posiadam. Nabyłam ją rok temu w ramach terapii uzdrawiającej po pewnym prawniku z Lambrate, który gładził mnie z takim zaangażowaniem i częstotliwością, że zupełnie rozmiękczył mi serce. Po dwóch miesiącach rozbudzania we mnie wszystkich możliwych nadziei, włączając w to instynkt macierzyński, wyznał, że nie jest pewny swojej tożsamości seksualnej. Czarno-różowy zestaw z pasem do pończoch, perfekcja proporcji, finezja połączeń, która jeszcze nigdy dotąd nie ujrzała światła dziennego, będąc na moim ciele, dziś dostała swoją szansę od losu. Byłam nawet o krok od wyjścia na zewnątrz z kocimi oczami, na szczęście w ostatniej chwili je zmyłam. W porę dotarło do mnie, że kocie oko o poranku zamienia kotkę w wygłodzoną lamparcicę, a tym razem nie o to mi chodziło. Włożyłam za to szpilki, klasyki, ale w zadziornym bakłażanowym kolorze. Dla równowagi wsunęłam się w spodnie. Cudem udało mi się je dopiąć. Góra z otwarciem na dekolt, ale żadnych prześwitów. Ryzyko obnażenia jakiejś fałdy było zbyt wysokie. No i kolczyki. Bez nich czułabym się nieubrana. Poza tym kolczyki utrzymują wzrok mężczyzn na erogennych strefach szyi. To tak zwany seksualny komunikat podprogowy. Do tego perfumy! Chciałam pachnieć

jak marzenie żeglarza, który wraca z dalekich rejsów, pokonał szalone prądy oceaniczne, opłynął lądy, a teraz pragnie już tylko dopłynąć do długo wyczekiwanej przystani. Wybrałam moją najbardziej orientálną i uwodzicielską mieszankę malabarskiego pieprzu, perskiego szafranu, chińskiego osmantusa, odrobiny kadzidła i mirry, z delikatnym akcentem sandałowego drzewa. Dodałam karmazyn na usta i ruszyłam do boju.

W kawiarni znów było tłoczno, ale znalazłam miejsce pod ścianą. Po piętnastu minutach wyczekiwania, kiedy wyzłopałam już całe espresso, zaczęły mnie dopadać sceny z horrorów. Wyobrażałam sobie, że jak tylko wejdzie, niby przez nieuwagę wyleję mu na wyprasowaną koszulę lepki sok z grejpfruta, który przeobrazí się w świńską krew na jego torsie. Albo dźgnę go niechcący widelczykiem od kremowego ciasta, który stanie dęba, wbity w jego serce. Potem zrobiłam kilka głębokich wdechów z mojego kursu i złagodniałam. Wyobrażałam sobie, że zaciął się w toalecie i butem wyważył drzwi, spocony ze strachu, bo już wie, że może nigdy więcej mnie nie zobaczy. Było dwadzieścia dwie po. Wydawało mi się, że siedzę tu wieczność, a on zdawał mi się z chwili na chwilę coraz większym dupkiem. Z nerwów zamówiłam drugie espresso, mimo że nigdy nie piję jednego po drugim. Na szczęście przypomniałam sobie o blogu. To będzie post o facetach, którzy nie zjawiają się w porę, i o tym, co wtedy w siebie wlewać, by skutecznie ich olewać. Zaczęłam szkicować tekst w pliku roboczym.

— Radykalny feminizm nie sprawdza się na szeroką skalę. — Zza moich pleców dobiegały do mnie urywki rozmowy.

— Właśnie dlatego, robiąc manife, musimy mieć lżejsze hasła, żeby docierać także do bardziej konserwatywnych kobiet.

— Im lżejsze hasła, tym słabsza nadzieja, że ktoś je usłyszy, zrozum to. Kobiety boją się walczyć o swoje prawa, a mężczyźni boją się tych praw. Czy wiesz, dlaczego faceci chcą recept na pigułki? To proste, gdy rozpowszechniają się pigułki antykoncepcyjne, oni muszą zreć viagrę, bo się nie wyrabiają z kobietą żądzą seksu, wolną od ciążyowych zagrożeń.

— Faceci jeszcze nie wiedzą, że wkrótce nie będą musieli zreć viagry.

— W ogóle przestaną być potrzebni.

Nie wytrzymałam. Odwróciłam z ciekawości głowę. Spodziewałam się dwóch kościstych, wygolonych hipsterek, tymczasem zobaczyłam zjawiskowej urody, smukłe jak łanie blondynki. Mogły mieć najwyżej po dwadzieścia pięć lat. Długie nogi zwieńczone szpilkami, oczy z doklejonymi rzęsami i krwiste

usta robiły nieprawdopodobne wrażenie. A więc tak wygląda w tym kraju kwiat feminizmu, o madonno! Ziemia przodkiń nie przestawała mnie zaskakiwać. Jak to możliwe, że tak piękne, młodziutkie dziewczyny już wiedzą, że mężczyźni w tym świecie niedługo nie będą do niczego potrzebni, a ja, mając za sobą tyle przeżytych lat i klęsk, nadal żyję tak, jakbym nie umiała się bez nich obejść? Czy takie dziewczyny też będą czytać mojego bloga? Poczułam się trochę zagubiona.

Minęła właśnie dziesiąta trzydzieści pięć. Sięgnęłam po płaszcz gestem kobiety, która właśnie porzuca okowy i właśnie wtedy rozpięty, rozwiany, z lekką zadyszka — wparował on. Łatwo powiedzieć: „walcz w to, w co wierzysz, i chroń to, co w sobie kochasz”, ale jak to zrobić wtedy, gdy obezwładnia cię ożywczy akord zielonkawej, soczystej nuty, zmieszany z pięknym piżmem. Nienatrętny, ale stanowczy. W jednej chwili dziczejesz. Zdobytcze cywilizacji, takie jak wyzwolenie kobiet z podległości mężczyznom, szlag trafia.

— Dzięki za cierpliwość. Przepraszam, nie mogłem zawiadomić o spóźnieniu, bo nie miałem twojego numeru — wyrecytował, nieszczerze się korząc.

— Uratował cię fakt, że o jedenastej mam spotkanie tuż obok, więc i tak zamierzałam spędzić tu tę godzinę — odpowiedziałam, prawdopodobnie mrugając oczami.

Nic głępszego nie mogłam palnąć. Co się ze mną dzieje? Dlaczego ten facet robi mi siano z mózgu? Tyle lat po tym, jak kobiety dostały prawa wyborcze i przywilej selekcji samców. Ja, królowa elokwencji, która zagadywała na spotkaniach wielkich bossów, strzelam takie *faux pas*. Za łatwo mięknę. Czułam, że się pocę. Byłam sobie wdzięczna, że zaryzykowałam wybór przewiewnej bluzki mimo chłodnego poranka. Przynajmniej nie odznaczą się na niej strużki słonej wydzieliny pod pachami. Wreszcie to zrobił. Zreflektował się, podał mi rękę i powiedział:

— Cezary jestem, przepraszam, nie przedstawiłem się.

— Lukrecja.

— Wow! — powiedział zaskoczony.

Tego się nie spodziewałam. Jak ja będę się do niego zwracać? Cezarze, Czarze, Czarusiu? Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Zrobił to, co wszyscy. Zapytał, skąd tak oryginalne imię. Ale czy mi się zdaje, czy zrobił to w jakiś inny sposób? A może to ja odpowiedziałam inaczej niż zwykle.

Zadawał mi zwyczajne pytania, żadnych wyrafinowanych metafor, podtekstów, a ja nie umiałam na nie odpowiadać. Wspomniał, że interesują go rośliny ogrodowe. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Potem mówił o nowym piesku córki, o samej córce. Było widać, że to rodzinny facet. Dodał jeszcze synka oraz weekendy, które spędza z nim na wycieczkach. To dało mi jakąś nadzieję, że nie mieszkają razem. Przewinęła się w rozmowie nawet matka. Czy to nie znak, że od razu starał się wejść ze mną w głębszą relację? Matka o otwartym umyśle, ciekawości świata, niesamowitej dynamice życia. Uniwersytet trzeciego wieku, joga, wycieczki krajoznawcze i te rzeczy. Jeszcze nie zaczęła mnie przerażać, ale entuzjazm, z jakim o niej opowiadał, dawał do myślenia. Nie myślałam o tym za długo. Płynęłam, całkowicie odurzona. Wyobrażając sobie, że owszem, ocean może istnieć bez fali, ale fala nie powstanie bez oceanu. Czułam, że wreszcie jestem tą falą na oceanie prawdziwego życia, w którym liczy się coś więcej niż szybki seks i gra pozorów. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak jemy razem śniadania w jego ogrodzie. Jeszcze chwila, a zaproponowałabym ułożenie menu, ale akurat zadzwonił jego telefon. Przeprził i oddalił się na bok. Skończył rozmowę, a potem wyznał, że nie pamięta, kiedy ostatnio z kimś tak świetnie mu się rozmawiało, i że ma nadzieję na ponowne spotkanie, ale teraz musi już lecieć.

— Nie wziął twojego numeru? — Nie mogła wyjść ze zdumienia Wera, gdy wieczorem zrelacjonowałam jej początek mojej życiowej rewolucji.

— Nie.

— Przerąbane.

— Może przez pośpiech? Mówiłam ci, że wydawał się zagoniony.

— Jak mężczyzna chce, to nic nie stanie mu na przeszkodzie, *sorry*, Lukrusiu. Bez urazy, ale nie zapomnieliby, gdyby mu zależało.

— A może jest dobrze wychowany i nie chciał wyjść na natręta? Przecież on nawet nie wie, jaki jest mój status matrymonialny.

— Jakby chciał wiedzieć, to by chociaż zapytał, czy spotkasz się z nim na kawie w weekend.

— Ale on w weekend jeździ na wycieczki z synem, to po co miał mi proponować kawę?

— W ten sposób dałby ci do zrozumienia, że interesuje go, czy jesteś w związku, czy nie.

— Ale...

— Zaraz, zaraz, z jakim synem? Mówiłaś, że ma córkę z suczką, to znaczy

— że kupił suczkę dla córki.

— Córka jest starsza, syna ma dużo młodszego — wyjaśniłam trochę już zdezorientowana.

— Beznadzieja! — jęknęła Wera.

— *Bella*, o co ci chodzi?

— Pracoholik z dwójką dzieci, zajęty co weekend. Lukrecjo, ten związek nie ma przyszłości. Przerwij to, zanim na dobre się zacznie! — powiedziała Wera, a w jej głosie nie było słyhać ani odrobiny żartobliwego tonu.

Co ją ugryzło? Pochopne wnioski, gotowe szablony, czyżby szalała dziś nad Werą konstelacja jakichś planet? A może coś nie tak z tarasem Juliana albo, co gorsza, z nim samym? Jeszcze godzinę temu zerkałam na siebie w lustrze jak na przyszłą żonę boskiego Cezara. Triumfowałam w swojej ekskluzywnej bieliźnie, wyobrażając sobie, jak za kilka dni będzie ją ze mnie zrywał, jednocześnie czując, że nawet jeśli do tego nie dojdzie, a on po prostu usiądzie przy mnie i będzie gładził moją rękę, to też znajdę się w siódmym niebie. A tu nagle Wera gasi mój płomień, szukając dziury w całym. Każdy potrzebuje trochę chaosu, żeby wejść potem na wyższy poziom harmonii, ale po co robić mi zamęt na tak wczesnym etapie relacji? Gdy wszystko jest niewinne i możliwe. Jediną szansą dla miłości jest pełne zaangażowanie, bez asekurantwa, bez podejrzeń i bez projekcji. Próbowałam się uspokoić, ale i tak już czułam bulgot w brzuchu. A może to jednak problem przewodu pokarmowego? Doznałam nagłego olśnienia. Wszystkie kobiety mają wahania nastrojów, ale te u Wery znacznie przekraczają częstotliwość zmian hormonalnych w obrębie jednego cyklu.

— Wera, powinnyśmy zażywać probiotyki dla dobra naszych jelit — zaczęłam niewinnie, gdy przyjaciółka znów pojawiła się w salonie. — To nas ustabilizuje emocjonalnie.

— Lukrecjo, co z tobą? — W oczach Wery widać było cień amoku.

— Przeczytałam wczoraj fascynujący artykuł o wpływie flory jelitowej na nasz nastrój. Zastanawiam się, czy nie wspomnieć o tym na blogu.

— No, świetny pomysł, trochę o jedzeniu, trochę o wydalaniu. Lukrecjo, zlituj się! — jęknęła.

— Wera, mówię serio. Wiesz, że jak człowiekowi przeszczepią do jelita inne bakterie, to może nagle stać się radosny, mimo że był przez rok w depresji?

— Żadna z nas nie ma objawów depresyjnych. Już prędzej stany maniakalne.

U ciebie przybierają na sile, odkąd pojawił się ten od suczki — próbowała żartować, ale ciężko jej to wychodziło.

— Nawet go nie znasz, a już go nie lubisz, o co ci chodzi, Weruś? — nie wytrzymałam.

— Lukrecjo, raz zobaczyłaś jakiegoś facia i już dostałaś palmy!

— Trzy razy! — uściśliłam, sama nie wiem po co.

— Mówisz o nim non stop, jakbyś od pół roku miała z nim codziennie seks oralny o poranku i wspólne zakupy wieczorem. Używasz trybu przypuszczającego, bo nic o nim nie wiesz — wylała z siebie Wera. — Ty go sobie wymyślasz!

Znieruchomiałam. Oparta o kuchenny blat chciałam sięgnąć po herbatę, ale zupełnie jakbym straciła czucie w palcach. Spojrzałam na Werę. Jej twarz była zaczerwieniona, oczy zaszkłone. W moich też zbierały się łzy. Zakręciły się w zewnętrznych kącikach na dłuższą chwilę, jakby się wahały. W końcu zaczęły spływać. Stałam jak człowiek z miednicą odciętą od serca. Nie miałam siły ich obetrzeć. Wera podeszła bliżej, objęła mnie i zaczęła powtarzać jak nakręcona: *pardon, pardon, pardon...* Najgorsze było, że ona miała rację. Ledwo przyjechałam do Warszawy i natychmiast wyłowiałam z tłumy obiekt swoich uniesień i projekcji, bo tak bardzo uwierzyłam w czekającą tu na mnie miłość. Jeszcze zanim powiedział mi, jak ma na imię, zaczęłam wyobrażać sobie, jak się obok siebie budzimy i jak zasypiamy. Nawet nie wiedziałam, czy ma żonę. Nie wiedziałam niczego.

— Jesteśmy dziwne, Wera, bardzo dziwne. — Westchnęłam. — Kiedy pakujemy w siebie kluski, kanapki czy jakieś owoce, spodziewamy się, że gdy wszystko to się strawi, w końcu wypadnie z nas w toalecie. A kiedy patrzymy na jakiegoś faceta, który zaczyna nam się podobać, oczekujemy, że wypuścimy z siebie radość uniesień, a wypuszczamy, wcześniej czy później, tylko łzy. A mimo to za każdym razem wierzymy, że teraz będzie inaczej.

— *Bella!* Może dzięki temu, że wciąż jeszcze wierzymy, mamy szansę cokolwiek poczuć.

— A jeśli nasza szansa już minęła? — szepnęłam, czując, jak zaciska mi się gardło.

— Upatruję zagrożenie melancholią stopnia pierwszego. Zarządzam ewakuację do strefy rozweselającej — zaintonowała Werka, udając, że mówi przez megafon.

W jednej chwili znów zmieniła się w szaloną, gotową na życie Werę. Nie

wiem, czy potrzebowałam probiotyków dla swojej flory jelitowej, ale wiem na pewno, że dzięki tej nagłej zdolności Wery do odzyskiwania radości potrafiłam odepchnąć każdy napływ przygnębienia. Ledwo otarła łyzy, zaczęła wysuwać jakieś pudła z szafy, raz po raz z uwagą na mnie zerkając. W międzyczasie wykonała ze dwa czy trzy telefony. Puszczając przeboje Annie Lennox i inne starocie, a niespełna dwie godziny później stałyśmy już we cztery: ja, Wera i dwie nasze koleżanki: Paulina i Magda, z weneckimi maskami na twarzy, które Werka wykopała z pudeł, przed wejściem do klubu Miłość. Byłyśmy zwarte i gotowe na dzikie tańce. Żadnej z nas nie przeszkadzało, że nie był to bal przebierańców. Szczerze mówiąc, tej szalonej nocy nie przeszkadzało nam kompletnie nic. Hulałyśmy na parkiecie jak za dawnych dobrych lat. Pokonałyśmy niejednego króla swingu. A potem zaliczyłyśmy rozbudowany repertuar polskich przebojów, drąc się wniebogłosy podczas przemarszu w maskach od ulicy Kredytowej na plac Zbawiciela. Około drugiej w nocy z nieznanymi dwudziestoletnimi hipsterami wznosiłyśmy toasty za wszystkie znane nam boginie ze starożytnego panteonu. Aura boskości musiała mi się udzielić, bo nieczuła na swoje zasady, po bąbelkach i wytrawnym winie, wlewałam w siebie piwo.

Mękę sobotniego poranka zносиłyśmy z godnością. Świadome, że musimy zapłacić rachunek za ekstazę minionej nocy. Z zimnymi rękawicami na głowie wzniosłyśmy kefirem toast za nasze jelita i nasze życie, zagryzając kiszonkami. Nawet w takim stanie czułyśmy moc i zamierzałyśmy jej użyć, gdy tylko uda nam się zwlec z łóżek. Leczenie z zespołu urazu kacowego przyspieszył telefon od Juliana. Pytał, o której ma przyjechać, by obejrzeć taras.

— O, w mordę jeża, to przecież dziś! — krzyknęła Wera i błyskawicznie wróciła do rzeczywistości.

W trzy minuty wzięła prysznic i wybiegła z domu. Ja też poczułam zew. Posprzątałam cały dom. Kiedy już wszystko lśniło, mogłam oddać się celebracji życia. Wygrzebałam przywieziony z Mediolanu szafran, kupiłam arborio i parmezan, po czym zajęłam się przyrządzaniem risotto alla milanese. Czekaając, aż ziarno wchłonie bulion, roztałam nitki szafranu. Dosypałam je do wywaru i usiadłam na kanapie. Dokładnie naprzeciwko półki, na której Wera trzymała, jakby na pokusę, swoje pudełko z tarotem. Przetasowałam karty i zadałam swoje ulubione pytanie: Co teraz? Wyciągnęłam Maga. Pewnego siebie mężczyznę, mistrza w wielu dziedzinach. Przed nim ułożone były symbole ognia, wody, powietrza i ziemi. W książeczce z interpretacją

kart było napisane, że Mag potrafi się posługiwać każdym z symboli, aby wyczarować taki świat, jakiego zapagnie. Mag to tajemnica, niespodzianka, szukanie balansu pomiędzy światem fantazji i tym rzeczywistym.

— Niech mu będzie. — Uśmiechnęłam się sama do siebie i w ramach balansowania między rozmiarem czterdzieści dwa a trzydzieści osiem zrobiłam swoje brzuszki.

Niedziela była słoneczna. Wizyta w podwarszawskim domu mojej matki zaczęła się niewinnie. Przed wyjściem wykonałam skrupulatnie moje ćwiczenia oddechowe, by być w formie najlepszej z możliwych. Idąc chodnikiem od stacji kolejki podmiejskiej, mimo dobrego nastroju i przyjemnych podmuchów wiatru, miałam wrażenie dziwnej pustki. Dopiero dochodząc do domu matki, uświadomiłam sobie, że powycinali prawie wszystkie stare drzewa, które zacieniały latem tę drogę, a w okresie przedwiośnia dawały ludziom nadzieję, że już niebawem wystrzelą zielonymi pąkami. Matka co roku dzwoniła do mnie, szczegółowo relacjonując, które drzewo jej zdaniem rozkwitnie pierwsze. Jak to możliwe, że nie powiedziała mi o tej wycince? Czyżby jej życiowa frustracja pogłębiła się na tyle, że przestała zauważać takie rzeczy? W to nie mogłam uwierzyć — tak mocno czuła się związana z otaczającą ją przyrodą. Czasami zdawało mi się, że z drzewami i kwiatami, które pielęgnuje w swoim przydomowym prowizorycznym ogródku, ma głębszy kontakt niż z ludźmi.

Sprawiła wrażenie dość ożywionej. Miała podkręcone włosy i piękny naszyjnik z zielonkawej masy bursztynowej. Ucieszyła się z tulipanów, które przyniosłam. Najpierw podała esencjonalny rosół z indyka. Pachniał tymiankiem. Tak jak lubię. Nieraz wyrzekałam się swoich genów, słuchając nieznośnych tyrad matki, ale nigdy ani przez chwilę nie wątpiłam, że to po niej odziedziczyłam wyczucie smaku i dar odczuwania przyjemności z jedzenia. Niestety nie zdążyłam skończyć tego pysznego rosółu, a już wyjechała z uwagą, że chyba znów trochę przytyłam.

— Niewiele, ale po twarzy widać, że masz dwa albo trzy kilogramy na plusie — powiedziała.

— Mamo, czy mogę dostać trochę pieprzu? — zapytałam.

Nawet nie próbowałam jej tłumaczyć, że jest inaczej. Że utrzymuję constans, że regularne brzuszki przynoszą rezultaty. Zaraz potem podekscytowana zaczęła opowiadać o sukcesie przyjaciółki — Helenki, która namówiła nowo poznanego Ryszarda na wizytę u sławnego uzdrowiciela z Bydgoszczy. Stawiał opory, ale uzdrowiciel zadeklarował, że w ciągu zaledwie kilku seansów uwolni go od doskwierających mu przez pół życia problemów skórnych wywoływanych kwitnieniem roślin. Już po pierwszej wizycie czuł się lepiej.

— Skąd wiadomo, że czuł się lepiej, skoro jeszcze nic nie kwitnie? — dociekałam.

Matka zupełnie zlekceważyła moje pytanie. Sprzątnęła talerze po rosole i dodała, że pod wpływem sukcesów Ryszarda też postanowiła udać się do uzdrowiciela. Domyśliłam się, że chodzi o wyzwolenie z dręczącej ją od lat bezsenności.

— Mamuś, to wspaniale, podobno jadąc do kogoś takiego, wystarczy mocno wierzyć w pozytywne efekty. Wtedy powstaje efekt placebo czy coś takiego i naprawdę zaczynasz się uzdrawiać. — Chciałam dodać jej optymizmu.

— Lukrecjo, zawsze kwestionujesz moje wybory — obruszyła się.

— Ależ, mamo...

— Nie doceniasz sukcesów bioenergetyki. Nie zdajesz sobie sprawy, ilu ludzi to uwalnia od cierpień.

— Są też i tacy, których nie uwalnia. Przypomnij sobie swoje wizyty u zielarki z Saskiej Kępy. Po jej specyfikach mało nie wyłysiałaś.

— To zupełnie co innego. To była hochsztaplerka, a ty jesteś typową ofiarą korporacyjnego świata, który wypiera naturę, bo ma wyprany mózg przez farmaceutyczną mafię.

— Niczego nie wypieram, mamo, źle mnie zrozumiałaś. — Zrobiłam to, co zwykle, przejęłam piłeczkę w naszym odwiecznym ping-pongu. — Mówię tylko o roli nastawienia i pewnej selekcyjności. Szalenie się cieszę, że jedziesz tam z Heleną.

— A kto mówi, że jadę z Heleną? — ofuknęła mnie. — Skoro już tu wróciłaś, postanowiłam ci jakoś pomóc, więc chcę, żebyś pojechała ze mną do tej Bydgoszczy.

— Masz na myśli — żebyś ja pomogła tobie, tak? — Nie byłam pewna, czy dobrze rozumiem. — W porządku, kiedy ruszasz? — zapytałam gotowa

zadeklarować nawet swoje towarzystwo w wyprawie do Bydgoszczy w nadziei, że to zneutralizuje wiszącą w powietrzu zawieruchę.

Matka swoim zwyczajem ignorowała wszystkie pytania, które mogłyby w jakikolwiek sposób wybić ją z wywodu myślowego. Energicznie przestawiła na kuchence garnki i spokojnie zajęła się nakładaniem drugiego dania. Wyjęła moje ulubione talerze ze wzorem w złociste listki laurowe ułożone w obręcz. Zdałam sobie sprawę, że odkąd przyjechałam do Warszawy, wszędzie widzę te symboliczne koła, o których wspominała mediolańska wróżka.

— Pan Rajmund ma niesamowite statystyki — powiedziała przejętym głosem. — Także w uzdrawianiu przypadków ciężkich, w których zawiodły wszystkie inne sposoby, dlatego pomyślałam, że mogłabyś spróbować.

— Co takiego?

— To nie jest droga sprawa, więc zafunduję ci wizytę *a conto* Dnia Dziecka — dodała, ustawiając na stole parujący półmisek z tą samą złocistą obręczą z listków.

Aromat gołąbków wypełnił cały pokój. Uwielbiam je od dzieciństwa. Kojarzą mi się z domem babci i ze świętami Bożego Narodzenia, z czasem, kiedy wszystko było prostsze, bezpieczniejsze. Nadziewane grzybami i ryżem, z cudownym, zawiesistym sosem. Nigdzie w świecie nie jadłam tak fenomenalnych gołąbków. Mama tak rzadko je robi. Wiedziałam, że chciała nadać temu obiadowi bardziej uroczystą rangę. Wzruszyłam się tym. Zaraz potem przebiegł mnie dreszcz dziwnego niepokoju. Jakby dopiero teraz dotarło do mnie to, co usłyszałam.

— Ale mamo, jakie ciężkie przypadki? — zapytałam, przyglądając się jej podejrzliwie.

— Wyobraź sobie, że on uzdrawia nawet ze staropanieństwa, czyści serce z zabrudzeń złymi energiami, które odstraszą od kobiet kandydatów na partnerów — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Podobno dwie czy trzy wizyty i mężczyźni naprawdę zaczynają się tobą interesować. Pomyślałam, że może to dla ciebie ostatnia deska ratunku — wycedziła, nie patrząc mi w oczy.

— Mamo, ty chyba oszalałaś. — Jeszcze nie dowierzałam temu, co słyszę.

— Córuniu, to dla ciebie ostatni dzwonek.

— Sobie lepiej oczyścić energię! — odburknęłam.

— No, sama widzisz, to właśnie mówił pan Rajmund. Kobiety boją się teraz mężczyzn i tylko udają, że chcą wyjść za mąż, a tak naprawdę odrzucają każdą

szansę pomocy.

— A kto w ogóle powiedział, że ja chcę wyjść za mąż? — syknęłam zirytowana.

— Lukrecjo, ty masz czterdziestkę na karku.

— Mamo, a ty prawie siedemdziesiątkę!

— O, przepraszam, od sześćdziesięciu siedem jeszcze daleko do siedemdziesięciu.

— Więc może niech ten Rajmund najpierw wyda ciebie za mąż, a potem zajmie się mną — wypaliłam z grubej rury i wstałam od stołu.

Nie zabrałam żadnych słoików z gołąbkami ani grzybowych sosików. Odechciało mi się odświeżających smaków. Zresztą jeszcze tego brakowało, żebym jeździła z siatami. Wystarczy, że dzięki wizycie u własnej matki czułam się samotną i niezaradną życiowo starą panną. Dlaczego każde nasze spotkanie zawsze kończy się tak samo?. Mknęłam w kierunku stacji jak odrzutowiec. Nie cierpiałam tego miejsca. Tych za długich spojrzeń przechodniów, nierównych chodników, za wysokich krawężników, na których nieraz otarłam sobie obcas, tego sklepienia z wystawionymi w witrynie chipsami i napojami nafaszerowanymi chemią. Przede wszystkim nie cierpiałam myśli, że tak właśnie skończę. Jak moja ambitna matka, której się zdawało, że zawojuje świat. W tym mieszkanku na parterze z ogrodzonym trawnikiem, który szumnie nazywała swoim ogrodem. Z tym balkonikiem z nieszczelnymi szybami, o którym mówiła: „moja oranżeria”. W tej frustrującej samotności, która sprawia, że zajmujesz się zarządzaniem życiem wszystkich innych, tylko nie swoim własnym. Patrząc na włóczącego się przy stacji bezdomnego kota, z ulgą pomyślałam o ciepłym mieszkaniu Wery. Byłam jej wdzięczna za to, że nie musiałam zatrzymywać się u matki. Nie mogłam pojąć, jak to się stało, że kobieta o takim temperamencie, urodzie i ciekawości świata jak moja rodzicielka żyje od lat samotnie na tym zadupiu, z którego wypuszcza się dwa czy trzy razy w tygodniu do Warszawy, by uczyć włoskiego.

— Lukrecjo, tyle czasu cię tu nie było — usłyszałam, kupując bilet na kolejkę.

— O, dzień dobry pani.

— Wreszcie trochę się zaokrągliłaś! A nie ciągle taka szczapa jak kiedyś, dawniej.

Podstawą prawdziwej przyjaźni jest telepatia. Wiem to od dawna. Tym razem to ona powstrzymała mnie od zamordowania wszystkowidzącej pani

Jadwigi, sąsiadki mojej matki, i pozwoliła mi nadal cieszyć się wolnością. Musiałam nieświadomie wysłać jakiś znak ostrzegawczy w czasoprzestrzeń, bo dosłownie w tej samej chwili zadzwoniła moja komórka. Głos Claudynki był tak ożywiony, że miałam prawo spodziewać się nie tylko chwilowego ocalenia, ale i pobudzającego koktajlu nowych wrażeń.

— *Ciao, bella*, co u ciebie? Jak tam Varsavia i jej potencjał erotyczny? — wystrzeliła Claudia.

— Erotycznie bez podniet, ale... — zaczęłam wymijająco.

— Uuuu... czuję powiew nędzy — zaświstała.

— A co u ciebie? — Chwilowo wolałam unikać zwierzeń.

— Ach, mówię ci! Odkąd wibruję miednicą, totalna rewolucja w przeżywaniu orgazmu, no i życia w ogóle.

— Wróciłaś do Giovanniego? — Zaniepokoiłam się.

— *Bella*, wróciłam do siebie! Mój kurs uwalniania miednicy przynosi spektakularne rezultaty.

— Czy coś było nie tak z twoją miednicą?

— Nie tylko z moją, *bella*. Nasze miednice są zdegradowane kulturowo, dlatego cierpimy. Tam mieści się nasze centrum dowodzenia, ale my oddaliśmy stery. Unieważniłyśmy naszą kobiecość. Nie pozwalamy sobie czuć, pragnąć.

Claudynka złapała wiatr w żagle i bałam się, że nie zdołam jej przerwać, mimo że wsiadłam właśnie do podmiejskiego pociągu, w którym trzeba będzie pokrzykiwać do słuchawki. Wolałam jednak to niż przymusowy *small talk* o mojej wadze i staropanieństwie z sąsiadką matki. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że to gorliwa troska mojej matki o mój status matrymonialny ocaliła mnie od słuchania tyrad na temat mojej niepewnej przyszłości ekonomicznej. Nawet nie zdążyłyśmy poruszyć tego wątku. Pociąg turkotał, za oknem uciekały kadry z obrazami podwarszawskich domów i wyczekujących wiosny szaroburych pól, a ja słuchałam kolejnych wskazówek, jak postępować na drodze do lepszego życia przy użyciu własnej miednicy.

— Uwalniając miednicę z napięć, otwieramy się na pełny przepływ emocji. Doświadczamy radości, miłości, wszystkiego. Tylko gdy mamy dobry przepływ między miednicą a sercem, osiągamy metafizyczne orgazmy. Już ci chyba o tym wspominałam.

— A jak uwalniasz tę miednicę? Czy znowu coś trzeba sobie wizualizować? — zapytałam.

— Wizualizacja zawsze się przyda, ale tu chodzi o konkret. O ruchy miednicą.

— To znaczy?

— Musisz nią wibrować.

— Ale jak?

— Ułóż się wygodnie. Wsadź sobie piłkę...

— Wsadzić piłkę w krocze?! — krzyknęłam zdumiona.

Chyba powiedziałam to zbyt głośno, bo moje zdziwienie nie uszło uwagi siedzących w pociągu pasażerów, wliczając w to wszystkowidzącą panią Jadwigę. Nie byłam aż tak wyzwolona, by ich wtajemniczać w życie własnej miednicy i znosić te wlepione we mnie spojrzenia. Przecisnęłam się więc energicznie między siedzącymi i wyszłam na korytarz.

— Między uda, a nie do środka, wariatko, i naciskasz, aż poczujesz w podbrzuszu kolibra.

— Skąd wiem, że to koliber? — starałam się skupić.

— Czujesz, *bella*, czujesz to...

— Aha, OK.

— I jak już czujesz kolibra, właśnie wtedy zaczynasz kołysać miednicą, trzymając ją w rękach. Delikatnie bujasz na boki i oddychasz.

— Oddycham i co?

— I bujasz, bujasz... Zalewa cię rozkosz, fala ciepła, przychodzi drzenie, poddajesz mu się. To jest wibracja. Ulegasz jej, niczego nie tamujesz. Czujesz?

— No, teraz nie, ale jak wrócę do domu... Ale co z tym Giovannim, rzuciłaś go czy nie?

— No cóż... Giovanni poszedł na terapię dla seksoholików.

— Co takiego?

— Pracujemy teraz nad jego uzdrowieniem, a ja w międzyczasie uwalniam miednicę z przeciążeń. Mówię ci, wszystkie babki z mojego kursu pod wpływem wibrowania miednicą zaczęły otwierać się na głębię doznań.

A jednak. Claudynka otwierała się na każdą głębię, tylko nie na tą, by wyeliminować raz na zawsze ze swojego ekscytującego życia mężczyznę tak płytkiego jak Giovanni. Z pewnością to erotyka jest tą dziedziną, w której kobieta może odrzucić kulturowe restrykcje. Nawet kobieta wyzwolona potrafi uznać swoją potrzebę uległości, podporządkowania twardemu macho. Ale jak znieść to poza erotyką, w codziennym życiu? Tego ani ja, ani nikt, kto znał tę

gotową na każde wyzwanie losu, nigdy niepoddającą się, wiecznie idącą ku nowym wyzwaniom dziewczynę, nie mógł pojąć.

— Claudyna, czy ty naprawdę tak strasznie go kochasz, że nie możesz raz na zawsze się z nim rozstać? — zapytałam, może trochę za bardzo wprost.

— Lukrecjo, ale po co?

— Jak to po co? Żeby spotkać kogoś odpowiedniejszego.

— *Bella*, uwierz mi, tak naprawdę jest obojętne, z kim tworzysz związek. I tak w każdym mężczyźnie spotykasz samą siebie.

— Co takiego?

— No tak. Jeśli jednego rzucasz, następny będzie miał inne imię, inny rozmiar członka i kolor oczu, ale zaserwuje ci mniej więcej to samo, czyli to, co jest w tobie. Zrozum! Zmieniać trzeba siebie, nie partnerów.

Byłam jak ogłuszona. I to wcale nie turkotem kolejki, ale tym, co powoli do mnie docierało. Tyle razy słyszałam z ust mojej przebojowej przyjaciółki zaskakujące treści, ale tak zdezorientowana nie czułam się chyba jeszcze po żadnej jej wypowiedzi. Znałam wiele kobiet, które trwały długo w związkach, nie z powodu tego, co je z kimś łączyło, tylko dlatego, że lęk przed rozstaniem był silniejszy niż wszystko inne. Claudyna nigdy do tego modelu nie pasowała. Odważna, przebojowa i wiecznie poddająca się transformacjom, wydawała się raczej zagadkową kreatorką swojego losu niż kobietą załęknioną. Czy to możliwe, że krył się za jej słowami głębszy sens, którego jeszcze nie umiałam pojąć? Czy może po prostu uległa praniu mózgu u kolejnego coacha? Brzmiało to zresztą raczej jak przekaz ezoterycznego oszołoma niż doradcy do spraw samorozwoju.

Żeby oderwać się od kłębiących się w mojej głowie przypuszczeń, zajrzałam do krainy upozorowanego szczęścia. W facebookowych *Zaproszeniach do grona znajomych* wyświetliła się czerwona cyferka. Kliknęłam i zdrętwiałam. To on. Cezary. Chciał zostać moim przyjacielem na fejsie. Jak mnie tu znalazł? Wystarczyła dziwaczność mojego imienia? Sprawdził wszystkie dostępne Lukrecje? Zrobiło mi się gorąco. Kliknęłam bez namysłu potwierdzenie. Pociąg stanął właśnie na stacji Warszawa Śródmieście. Nerwowo precyzyjnie się do wyjścia. Rozejrzałam się niepewnie, którymi schodami mam wjechać na górę. *Jeśli mężczyzna chce, to nic nie stanie mu na przeszkodzie*, rozbrzmiały mi w głowie słowa Wery. Spojrzałam na okrągły wzór na posadzce dworca. Moje koło fortuny dało o sobie znać. Przyspieszyło. Koło, które popycha ludzi tam, gdzie już od

dawna chcieli być, ale wyczekiwali na właściwy moment albo znak losu. Ziemia moich przodków przypomniła sobie o moim istnieniu. Rozsadzała mnie energia. Szłam tak szybko, że wyprzedzałam kolejnych idących w tym samym kierunku ludzi. Potrącałam tych, którzy mijali mnie, nadchodząc z drugiej strony. Nie wsiadłam do tramwaju. Zawsze, gdy coś we mnie buzowało, potrzebowałam ruchu. Ruszyłam pieszo. Musiałam trochę ochłoniąć, zderzając się z wiatrem. Wieczór był chłodny. W powietrzu czuć było nieprzyjemną wilgoć. Na wysokości placu Konstytucji zadzwieczał mój facebookowy Messenger w telefonie. Zwolniłam. *Uno... due... tre...* Wzięłam głębszy oddech.

Rozdział 7

Fatamorgany nie przytrafiają się na oblodzonych ziemiach

Na podłodze w salonie leżał Julian. A na Julianie leżała Wera. A może tylko się nachylała? Wokół nich ganiał jak oszalały mały buldożek. Gdy tylko zauważył moją obecność, rzucił się na mnie i zaczął skakać, wydając przy tym śmieszne ni to piśnięcia, ni to poszczekiwania. Nie byłam pewna, czy Wera i Julian bawią się ze sobą, czy z tym uroczym czworonogiem. Wyglądało to dwuznacznie, ale i komicznie.

— Lukrecjo, oto mój nowy towarzysz życia — przywitała mnie Wera, a w tym czasie Julian podniósł się z ziemi.

— Witaj, piękna — powiedział i pocałował mnie w policzek.

— Moje gratulacje — wydukałam, nie dowierzając, że w ciągu jednego popołudnia na wypasionym tarasie ten tajemniczy Julian zdążył złożyć Werze jakieś zobowiązujące wyznanie. — Czyli rok jedyński, rok wielkich zmian na dobre się zaczął?

— To był błysk jednej chwili. Mówię ci, szaleństwo. Julian kupuje to mieszkanie i dlatego...

— Dlatego się zdecydowaliście? — Słowo daję, że czułam się jak w Matriksie.

— Tak, Julian na mieszkanie, a ja na psa — powiedziała Wera.

— Aaaa... — Odetchnęłam.

— Właściciel sprzedający apartament dostał go parę dni temu w prezencie, ale wyjeżdża za granicę i nie może go ze sobą zabrać, no więc ja go przygarnę.

Tylko popatrz, jaki jest słodziutki — miauknęła i wzięła buldożka na rękę, a ja, kretynka, wreszcie złapałam głębszy oddech.

— Miłe panie, zapraszam was na kolację, musimy uczcić mój nowy lokal i psa Wery — zaproponował Julian.

— No i nowego bloga Lukrecji, który ma już sześćdziesięciu siedmiu fanów — dodała Wera.

— I dwa komentarze — uzupełniłam, śmiejąc się.

— Brawo! — cmoknął w powietrze Julian.

— Jak się wabi? — Nachyliłam się nad szczeniakiem.

— Właśnie! Zaraz musimy to wymyślić — zarządziła Wera.

Nie wahałyśmy się ani chwili! Julian rzeczywiście znał się na smakach i potrafił je celebrować. Wsiadłyśmy do jego wielkiego auta, którym pędził, ignorując przepisy. Zabrał nas na drugi koniec Warszawy, do niepozornie wyglądającej knajpki z niedużym neonem. W środku było kilka stolików przykrytych obrusem w kratę i sporo azjatyckiego kiczu na ścianach, włączając sztuczne kwiaty. Julian usadowił nas przy stoliku pod oknem, a sam oddalił się na bok z kelnerem. Najwyraźniej ustalał z nim, co zjemy. Potraktowałyśmy to jako niespodziankę, a nie dziedzictwo patriarchy, bo cokolwiek mówić o Julianie, na macho to on nie wyglądał. Nie żałowałam ani przez chwilę podjętego ryzyka. Gdy na stół wjechały trzy zupy kimchi, zakręciło mi się w głowie od błogich woni tofu, płatów nori, świeżego szczypioru i prażonego sezamu. Julian zaczął nam opowiadać o górzystych brzegach Półwyspu Koreańskiego, które zwiedzał trzy miesiące temu. O daniach z zielonkawych wodorostów, o gotowaniu żółtych ziaren soi, które suszą się w cieniu, moczą w słonej wodzie i fermentują na słońcu, by można było zrobić z nich pastę doenjang. Tam właśnie odkrył smak zupy kimchi. Zaraz po niej wjechała na stół koreańska odmiana mochi, słodkawe w smaku kluski z mąki ryżowej nadziewane fasolą. Bardzo miękkie i kleiste. We mnie nie wywołały aż takiego entuzjazmu jak zupa. Wera natomiast rozpląwała się w coraz większym zachwycie, popadając w stan onirycznej błogości. Co jakiś czas, niby przypadkiem, delikatnie muskała Juliana szerokimi mankietami swojej zwiewnej bluzki z satyny. Julian wspomniawszy o kilku znanych mu odmianach smakowych mochi i, posyłając swoje diabelskie spojrzenie, dodał, że jedzenie mochi może mieć czasem skutek śmiertelny. Zdarza się, że lepka masa zakleja komuś przewód pokarmowy i człowiek najpierw czuje duszności, a potem kona na oczach posilających się współtowarzyszy. Słuchałam tego jak przez

mgłę. Zauważyłam jednak, że mimochodem musnął szyję Wery. Tymczasem ja cały czas miotałam się, czy już odpisać Cezaremu na wiadomość, czy przetrzymać go chociaż do jutra. Wiedziałam, że zawieszenie mężczyzny przez chwilę w niepewności to podstawa, by wzmóc jego żądzę. Co z tego, skoro nie mogłam wytrzymać. Wyszłam do toalety, z której wróciłam jeszcze bardziej pobudzona. Na szczęście Wera i Julian byli tak zaabsorbowani rozmową, że nie zwrócili na to uwagi. Wymyślali imię dla buldożka. Wera myślała o czymś niewinnym, Julian prowokował. Rzucił coraz bardziej lubieżne słówka i sam chyba najlepiej się tym bawił. Kiedy zaproponował Fellatio, obie byłyśmy już trochę zde gustowane. Wera, ku mojemu zaskoczeniu, stanowczo zaprotestowała.

— To imię musi wywoływać we mnie przyjemne skojarzenia, ale też jakoś nawiązywać do słodczy życia — stwierdziła.

— Może Miodo? — rzucił Julian.

— A co powiesz na Dolcevita? — zaproponowałam, śmiejąc się.

— Dobrze, ale to przecież samiec! — ożywiła się Wera.

— Nazwij go Dolcevito. Będzie w tym i słodczy, i skojarzenie z krwawym Don Corleone — ożywił się Julian.

— Dolcevito! Boskie! Moja męska słodczy! Dolcevito, to jest to! — krzyknęła entuzjastycznie Wera.

Z pewnością nie bez znaczenia było to, że nazwę doprecyzował Julian. Ale Wera naprawdę była nią zachwycona. Powtarzała ją jak przerywnik co kilka zdań. Ja też ją polubiłam. Poczułam, że przyniesie szczęście i Werze, i właścicielowi nowego imienia. A jeszcze bardziej polubiłam tego wieczoru Juliana. Może ujmował mnie jego entuzjazm, z jakim mówił zarówno o jedzeniu, podróżach, jak i o nowym apartamencie, którego właścicielem miał stać się już wkrótce. A może łagodniej spojrzałam na jego perwersyjną naturę, która — zaczęłam snuć podejrzenie — mogła być jedynie formą przewrotnej kreacji. Czy zmiana mojego stosunku do Juliana następowała dlatego, że widziałam zamglone oczy Wery, czy też łagodniej patrzyłam na wszystko, bo byłam aż tak podekscytowana czekającym mnie spotkaniem z Cezarym? Wolałam tego nie rozstrzygać. Julian odwiózł nas do domu.

— Do szybkiego następnego... razu — rzucił nam na pożegnanie.

Obudziłam się rześka jak bryza. Dochodziła dopiero siódma, a ja, zerwawszy się z łóżka, przystąpiłam do miksowania porannego koktajlu z nasion konopi, cytryny, syropu z agawy i głównego bohatera dnia, czyli awokado. Chciałam sfotografować go na bloga.

Awokado to genitalia, w każdym razie w języku Azteków. Podnieceni nim konkwistadorzy sprowadzili je do Europy i doprowadzili do takiego ożywienia żądz, że kapłani zakazywali wiernym spożywania tego grzesznego owocu — zaczęłam pisać post.

Zostawiłam porcję koktajlu dla Wery, wypiłam swoją i przeszłam do swojego programu: poranne rytuały. Wymyśliłam go pod wpływem ostatnich lektur o świadomości ciała, głównie na potrzeby bloga. Uświadomiłam sobie, że wielką zaletą blogowania jest mobilizacja do wdrażania we własne życie tego, co starasz się proponować swoim potencjalnym czytelnikom. Kto wie, czy nie okaże się to najskuteczniejszą dla mnie formą dyscypliny.

Wyciągnęłam ręce do nieba, pilnując, by całe bosc stopy przylegały do ziemi. W końcu to one mają być oparciem, jak doradzał mój nowy fascynujący podręcznik. Jeśli nie stawiasz pewnie stóp, to uciekasz w fantazje, pilnuj tego! Naprężyłam się i poczułam, jak osadzam się w ciele. Zataczałam ramionami okręgi. Coraz większe, coraz bardziej dynamiczne. Naprzemiennie. Wzięłam głęboki wdech. *Uno, due, tre...* Zaczęłam się otwierać. Przód, klatka, w której trzymamy serce. *Ciało wie, czego ci trzeba, wsłuchaj się w nie* — mówiłam do siebie na głos. Ciało tymczasem zapragnęło skłonów w bok, ale na szczęście kątem oka zerknęłam na wiszącą nad lodówką zegar.

Byłam umówiona za dwadzieścia pięć minut, a nawet jeszcze nie podjęłam decyzji, co na siebie włożyć. W panice pobiegłam pod prysznic. Zero szans na podkręcenie włosów. Wpakowałam w nie piankę zaraz po umyciu, żeby chociaż trochę się napuszyły. Zaczął się horror decyzyjny. Wcisnęłam się w żorzetową sukienkę. Zrzuciłam ją. Potem legginsy z koszulą. Dno. Dzinsy? Szczyt trywialności. W rozkloszowanej spódnicy wyglądałam jak świąteczna bombka. W końcu wbiłam się w ołówkową w szalone zielonkawe wzory. Złapałam oddech i już miałam wkładać buty, gdy poszło mi oczko w rajstopach. Zdjęłam je i wyciągnęłam z szafy szare. Pasowały jak wół do karety, ale te jako jedyne były czyste. Madonno, czy naprawdę nie jestem w stanie pomyśleć o nastawieniu zawczasu pralki? A gdy będę miała cały dom

na głowie, ogród, dwójkę dzieci plus dwoje pasierbów, męża i sto maili dziennie od czytelników mojego bloga, co wtedy?

Brakowało tylko mżawki, która zadrwi z mojej pianki na włosach i zamieni mnie w zwiastun nadciągającej katastrofy. Byłam spóźniona prawie kwadrans, gdy zziajana otworzyłam drzwi. Rozejrzałam się nerwowo, montując w głowie seksowną wymówkę o tym, że kobiety kochają rewanze. Przeszłam całą kawiarnię i spojrzałam jeszcze z nadzieją na toaletę, ale wyszła z niej jakaś nastolatka. To nie złudzenie, naprawdę go nie było. Poczułam, jak rozszarżona kula z okolic, które Claudynka nazwała centrum dowodzenia, wzbija się w górę. Jak mnie parzy, osadza się na wysokości gardła i tam grzęźnie, jeszcze niegotowa, by eksplodować z dzikim hukiem na zewnątrz. Nie zamówiłam espresso, nie usiadłam, wyskoczyłam jak torpeda na ulicę. Prawie biegłam. Zatrzymałam się dopiero przed witryną kwiaciarni. Piękne żółte anemony w oknie sprawiły, że wzięłam głębszy oddech i weszłam do środka. Kupiłam cztery, po jednym na każdą stronę świata. Nie mam jak Wera numerologicznej obsesji, po prostu lubię przyporządkowywać do liczb jakieś symbole. Nie wiem, dlaczego w moim domu mówiło się na te kwiaty zawilce. Dopiero po latach usłyszałam gdzieś nazwę „anemony”. Zachwyciła mnie. Nie mam pojęcia, gdzie matka je wynajdywała, ale pamiętałam z dzieciństwa, że często wiosną stały u nas w wazonie. Tak miło mi się kojarzyły.

Z nostalgicznego rozczulenia wyrwał mnie dźwięk Messengera. *Gdzie jesteś? Nie widzę cię.* Znowu poczułam gorąco. Za kogo on się uważa? Było dwadzieścia pięć po. Po chwili strasznej szamotaniny odpisałam: *Kto późno przychodzi, ten chodzi... na sąsiedni plac.*

Wiedziałam oczywiście, że mężczyzna może dostać drugą szansę tylko od drugiej kobiety. Dlaczego więc w jednej chwili uległam? Na to pytanie wolałam sobie nie odpowiadać. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Napisał, że zaraz będzie, a ja usiadłam w kawiarni tuż obok miejsca, gdzie kupiłam anemony, i mierzwiłam sobie włosy, żeby wydawały się choć trochę gęstsze. Poły płaszcz w jodełkę rozwiewały mu się na boki. Musiał pędzić, bo był nieco zaczerwieniony na twarzy. Pierwszy wdech zalał mnie jak ożywczy powiew gorącego wiatru. Pachniał tym, co poprzednio, ale mocniej. Zielonkawy akord świeżości wymieszanej z piżmem. Spojrzał na anemony i wyrecytował:

Wyszła tego dnia z bukietem żółtych kwiatów właśnie po to, bym ją

wreszcie odnalazł, i gdyby tak się nie stało, otrulaby się, bo jej życie było pozbawione sensu.

Jeszcze tego tylko brakowało, żeby miał duszę poety — pomyślałam, uśmiechając się. A on ani mnie nie pocałował w policzek, ani nie przeprosił za spóźnienie, za to tak czule na mnie spojrzął. Zdjął płaszcz i usiadł naprzeciwko. Uśmiechnął się tak szczerze, przeszywająco, że zupełnie odjęło mi mowę.

— Mój ulubiony cytat z *Mistrza i Małgorzaty*. Lubisz ten rosyjski klimat? — zapytał.

— Przyjemność czytania powieści porzuciłam na rzecz bardziej praktycznych lektur — odpowiedziałam, nawet nie zająknąwszy się na temat jego spóźnienia. Czułam, jak robi mi się przyjemnie i ciepło.

— No cóż, życie wymaga wyrzeczeń. Ja bym coś zjadł, a ty?

— Może omlety z kozim serem i figami? — zaproponowałam, zerkając w kartę.

Zgodził się bez sprawdzania pozostałych opcji. Nie przywiązuje wagi do tego, co je? Czy może raczej to przez uprzejmość? Rozstawił kolana jak zdobywca, a ja uśmiechnęłam się. Gdy podszedł kelner, Cezary zamówił dla nas dania, soki i kawę. Zapytał, czy nie jest mi zimno. Uwaga, opiekuńczy! Czy *podać cukier?* Madonno, jaki uważny. Jak mi dobrze teraz, tutaj, w tej właśnie chwili! Rozsiadł się wygodnie na krześle. Czy to znak, że bezpiecznie się czuje w moim towarzystwie? Rejestrowałam wszystkie detale, jak kolekcjoner drobnych nadziei. Nie rozumiałam tylko, dlaczego jestem taka speszona. Cały mój animusz, zdolność opowiadania anegdotek, moje dowcipne riposty jakby nagle zapadły w sen. Czułam się naga, zaskakująco bezbronna. Co najdziwniejsze, sprawiało mi to przyjemność. Chciałam go tylko słuchać i na niego patrzeć. Właściwie robiłam to, co radzą w podręcznikach inicjowania poważnych relacji. Dawałam mu szansę się zaprezentować. Nie popisywał się sukcesami w pracy, mimo że wyglądał na kogoś, kto musi je mieć. Po prostu nadmienił, że prowadzi firmę eventową. Skromność miała swoje granice. Nie mieściły się w nich dzieci. Wysłuchałam o nadzwyczajnym guście jego córki i jej ambicjach zajęcia się modą na poważnie. Dzielnie zniosłam oglądanie stylizacji z jej modowego bloga, które on nazywał oryginalnymi. Powstrzymałam się od spostrzeżenia, że wyglądają jak stroje dziewięćdziesięciu procent dziewczyn w jej wieku. Obejrzałam też zdjęcia

synka, który jest najlepszy w grupie aikido juniorów. Nie, zupełnie mnie to nie nudziło. Coraz bardziej doceniałam, że oto wreszcie spotkałam mężczyznę, jakiego zawsze chciałam poznać — który nie jest zadufanym karierowiczem, tylko ciepłą i odpowiedzialną głową rodziny. Jedyne problem polegał na tym, że nie była to nasza rodzina, tylko jego. Co gorsza, wciąż nie wiedziałam, jaki jest jego aktualny status matrymonialny.

Kelner przyniósł wyciskane soki, a ja się wreszcie doczekałam. Wspomniał o tym, jak miło zjeść z kimś śniadanie, co rzadko mu się zdarza. Teraz to ja rozprężyłam się w fotelu. Czyli musi budzić się sam. Wyznał, że mieszka na Ochocie. Trzy ulice dalej od miejsca, gdzie spędzał dzieciństwo. To był przełomowy punkt. Rozczulił się. Z zaradnego, wygadane go supermena, który zapierał mi dech, zamienił się we wrażliwe zwierzątko. Marzyłam tylko o jednym — żeby go głaskać i szeptać mu do ucha, jak będzie pięknie tej naszej pierwszej wspólnej wiosny. Kto wie, jak daleko bym się posunęła, gdyby nie to, że wreszcie przynieśli nam zamówione dania. Posolił, popieprzył i zmienił temat. Zajął się omletem, komentując przy tym rozkwit warszawskiej gastronomii. Po dwóch minutach wytrzeszczałam oczy ze zdumienia. Po trzech byłam kompletnie załamana. Jak miałam uwierzyć, że mężczyzna, który wsadza widelec do ust z częstotliwością dziesięciu ruchów na minutę, będzie mógł cokolwiek zaproponować w łóżku poza wytryskiem po krótkiej chwili łupania. Skończył jeść, zanim przeżułam pierwszy kęs.

— Nie smakuje ci? — Zainteresował się.

— Lubię powoli — odpowiedziałam. — A ty zawsze tak szybko? — Wskazałam spojrzeniem na jego talerz, uśmiechając się.

— No, wiem, wiem, że to niezdrowo, ale ciągle jem w pośpiechu.

— Wszystko robisz w pośpiechu? — piłowałam dalej.

— Owszem, jestem dość zabiegany, ale... — zawiesił głos — z tym się dziś wyrobiłem. — Wyciągnął z torby nieduże eleganckie pudełeczko i postawił je na stole.

— Cóż to?

— Koniec karnawału. — Uśmiechnął się triumfalnie, niczym samiec wracający z udanych łowów, i podsunął mi pod nos pudełko z dwoma pączkami.

Ich cytrusowy aromat obezwładnił mnie. Jeden był z nadzieniem cytrynowo-makowym, drugi z owocem mango. Przedzieliłam je na pół, tak żebyśmy obydwójmy mieli tę samą podwójną rozkosz w ustach. Miały dziurki i idealną

konsystencję, pulchne, lekko zapadnięte, otoczone jasną obwódką, dowodzącą świeżości tłuszczów, w których je skąpano. Soczysty miąższ z mango rozplątywał się leniwie w ustach. Cytryna przełamana makiem uderzała ożywym, przewrotnym akcentem.

— Wyborne! — miauknęłam po dwóch kęsach każdego z nich. — Musimy szukać w środku migdała. Podobno ten, kto w ostatki znajdzie go w pączku, będzie miał szczęście — powiedziałam, patrząc, jak zajada się drożdżowym ciastem, ale nie uszło mojej uwagi, że starał się, jak mógł, zwolnić tempo.

— Może na wszelki wypadek, żeby nas zabezpieczyć z tym szczęściem, zamówię jeszcze ciasto z migdałami? — zażartował.

Nie przesłyszałam się. Powiedział: NAS. Użył właśnie tego słowa. I to w kontekście przyszłości. Pamiętał o pączkach, żebyśmy razem mogli uczcić tłusty czwartek. Myślałam o tym przez całą drogę powrotną do domu. Żałowałam, że ich nie sfotografowałam. To byłby mój najpiękniejszy post. Cytrusowa dziurka jako gra wstępna... albo coś takiego. Wreszcie miałabym prawdziwy wpis o uczuciach. Miałabym pretekst, żeby puścić wodze fantazji. W głowie mieszały mi się aromaty przypraw i konsystencje potraw, które będę mu gotować, wrzucając je na bloga z opisami kolejnych kroków stawianych w świecie zmysłów. Przygotuję całą serię naszych pierwszych razów. Pierwszy pocałunek z odgłosem, pierwsze liźnięcie... Zatrzymałam się pod cukiernią, żeby kupić pączki. Bez dziurki, bez cytrusowych fantazji, za to z różanym i hibiskusowym nadzieniem. Trochę lukru i czerwieni. Mniam! Lubimy to! Jako słodki pomost między karnawałem i postem. Kupiłam je, żeby z Werą też dziś podzielić słodycz dnia. Choć na samą myśl o kolejnych kaloriach przypominałam sobie, że jeszcze dziś powinniśmy wykupić na marzec karnety na orgazmiczny pilates, a może i na coś jeszcze? Perspektywa zaprezentowania się niebawem przed Cezarym w moim zestawie Agenta Provocateura przeszła mnie dreszczem równie podniecającym, co... niespokojnym.

Dolcevito nie rzucił się na mnie od progu, tylko dziwnie się kręcił. Po chwili poznałam przyczynę psiego amoku. Słodziak też miał dziś tłuste chwile, zeżarł

kawałek fotela. Pozamiatałam, zupełnie nie czując na niego złości. Ciekawe, co powie Wera. Miałam w głowie taką gonitwę myśli, że musiałam ją rozchodzić. Wsunęłam buldożka w obrozę i ruszyliśmy na Pola Mokotowskie. Wiatr osuszył ślady porannego deszczu. Wydawało się nawet, że gdzieś za bladą powłoką nieba czai się słońce. Było przyjemnie. Zamarzył mi się już rozkwit krzewów forsycji, ale te na polach kuliły się jeszcze leniwie w gołych brązowych pędach. Rozglądałam się za ptakami, ale nie była to najwyraźniej ich pora. Tęskne spojrzenia zawieszane na drzewach w poszukiwaniu oznak życia udzieliły się i innym. O tej porze spacerowały tu głównie ukraińskie opiekunki z wózkami i staruszki. Zdarzali się też biegacze. No i psiarze. Dolcecito odsłonił przede mną zupełnie nowy wymiar kontaktów wspólnotowych. Człowiek spacerujący z psem zręcznie pokonuje barierę inicjowania rozmowy z drugim człowiekiem. Zwraca się do obcego psa: ciu, ciu, ciu, ślicznotku, tere-fere... i czeka, czy właściciel odwzajemni słodycz. W ten sposób nawiązywały się niezobowiązujące dialogi.

Doznałam olśnienia. Od kiedy mężczyźni nauczyli się zdobywać pokarm erotyczny, czyli relacje z kobietami, w sieci, zupełnie utracili instynkt łowcy w realu. Być może właśnie przynależność do psiej społeczności to w aglomeracjach miejskich jedyna szansa na reaktywację klasycznych form flirtu. Wera miała rację z tym psem. Mając Dolcecito, otworzyła się na zupełnie nowe możliwości poznawania mężczyzn, i to wrażliwych, opiekuńczych, mających jak my nadzieję, że spacerując z pieskiem, można poznać wrażliwą, opiekuńczą, zrównoważoną emocjonalnie i poszukującą miłości istotę. Gdyby nie fakt, że Cezary uosabiał właśnie to, czego szukam, sama ciągałabym tu Dolcecito dwa razy dziennie. Chociaż, sądząc po średniej wieku spacerujących psiarzy, chyba nie o tej porze dnia.

— Pies czy suka? — usłyszałam z boku groźnie brzmiący ton.

— Pies — odpowiedziałam.

— Proszę wziąć go na smycz, bo nie chcę, żeby mi się rzucił na sukę — grzmiał całkiem przystojny blondyn, odbiegający średnią wieku od pozostałych przechodniów.

— Ale to jeszcze zupełne dziecko, jest niegroźnym fajtłapą.

— Pies to pies. Domeną męskości jest temperament, to nie kwestia wieku — orzekł blondyn.

— Temperament to nie jest kwestia płci.

— Niech pani nie liczy, że się zgodzę w ramach durnej *political*

correctness. Te gadki równouprawnieniowe już bokiem ludziom wychodzą. Zwierzęta najlepiej pokazują, że biologii nie da się oszukać.

— No to niech pan spojrzy, pańska suka wyrywa się w stronę mojego psa jak szalona, a on w ogóle na nią nie leci, po prostu gryzie sobie kijek w najlepsze.

— To właśnie najlepiej obrazuje patologie naszych czasów, które przechodzą już na zwierzęta. Pies nie leci na sukę, która leci na niego — odszczeknął blondyn.

— Bedę *politically correct* i nie zapytam, dlaczego to pańska suka leci na mojego psa, a nie odwrotnie.

Od wiecznie nierozstrzygalnych dylematów nudniejsza jest tylko wieczność, w której wszystko już rozstrzygnięto. Próbowałam się tak pocieszać, mierząc kolejny raz jakąś sukienkę i zaraz potem ją zdejmując, by zmierzyć inną. Wera drugi dzień z rzędu zupełnie przepadła. Wychodziła o świcie, wracała bardzo późno. W przelocie wspomniała mi tylko, że Julian kupił apartament, a ona ma niesamowicie korzystny układ planet i mnóstwo oglądających mieszkania. Nie mogłam więc liczyć na jej wspaniały gust i podpowiedź, w czym lepiej wyglądam. Nie miałam też szansy zrelacjonować jej dynamiki rozwoju zdarzeń. Zwłaszcza tego, że dziś wieczorem Cezary zaprosił mnie na jakiś event, który organizuje jego firma, co powinno rozwiać wszelkie jej podejrzenia, że coś sobie wymyślam. Czy facet zaprasza tak po prostu niedawno poznaną kobietę na przyjęcie, na którym będą jego współpracownicy? W tym przypadku obserwacje pana psiarza z Pól Mokotowskich, że pies nie leci na sukę, która leci na niego, mają się nijak do rzeczywistości — pomyślałam i uśmiechnęłam się do lustra. Żeby ochłonać z podniecenia, postanowiłam udostępnić go trochę innym. Usiadłam do komputera. Czy to spacer wśród drzew skierował moją wyobraźnię ku ptakom, czy myśli o Cezarym krążyły wokół gniazda, nie miałam pojęcia. Zaczęłam pisać post...

Jeśli ktoś zaoferuje wam wschodni kawior, nie myślcie, że ma on coś wspólnego z tym rosyjskim, poza tym, że słono trzeba za niego zapłacić.

Przygotujcie się na mocne wrażenia. Chiński rarytas, o którym mówię, to zupa z gniazd zbudowanych ze śliny wydzielanej przez ptaki z gatunku jerzykowatych. Przez kilka stuleci serwowano ją tylko na królewskich stołach, bo wierzono, że podnosi libido. Dzisiaj można ją znaleźć w kuchniach ekskluzywnych azjatyckich hoteli. Jeśli jednak nie macie ani ptasich gniazd, ani rybiej ikry, zawsze możecie zrobić kawior z bakłazana.

Zaryzykowałam średnią fioletową, niezbyt dopasowaną. Wybrałam tę sukienkę zainspirowana swoim bakłazanowym przepisem, który przed chwilą zamieściłam w poście. Cezary przyjechał po mnie taksówką. Miał nawet krawat. Dlaczego szary do szarej marynarki? Był wyraźnie spięty. Pachniał tak jak ostatnio. W eleganckiej sali zaraz przy wejściu przedstawił mnie jakiemuś panu i gdzieś pobiegł. Mężczyzna milczał, a ja się rozglądałam. Było wytwornie, ale rozmowa się nie kleiła. Wreszcie wrócił Cezary. Był czymś zaaferowany. Odebrał telefon, jeden, drugi, w końcu złapał oddech. Objął mi, że najpierw będzie *wine tasting* i promocja serów, a potem kolacja z producentami. Brzmiało dobrze. Pachniało znakomicie. Gdy tylko zanurzyłam nos w woniach Doliny Rodanu, szepnęłam:

— Wypluwaj, bo dużo jeszcze przed nami i nie chcę, żebyś poczuła dyskomfort.

— Łatwo ci mówić — szepnęłam do siebie i spojrzałam na niego.

Madonno! Jak on pięknie pluł. Dostojnie! Z wysoka. Tak subtelnego wyplucia nigdy nie widziałam. Dopięłam Dolinę Rodanu, pewna, że po jego rasowym wypluciu w życiu nie odważę się na własne. Zawsze miałam z tym problem. W krainie Bordeaux też nie splunęłam. Do trzech razy sztuka — pomyślałam. Rozejrzałam się po sali. Wszyscy spluwali, z mniejszą lub większą wprawą, bez wahań. Cezary znów wypluł i zawołany przez kogoś, znów popędził do sąsiedniej sali. Zostałam sama przy kolejnej spluwaczce, z której nie odważyłam się skorzystać. Połknęłam wino, a resztę wylałam. Przy mineralnych też łykałam. Akurat tam spluwaczka była wyjątkowo niefortunnie ustawiona, więc nawet nie próbowałam się do niej zbliżyć. Żeby zyskać na czasie, wdałam się w rozmowę o kwasowości i biodynamice. Niestety tę biodynamikę też dopięłam. Cezary nie wracał, a ja zorientowałam się, zatrzymawszy się w Burgundii, że style wypluwania mają jakiś związek z osobowością. Niektórzy wypluwają pospiesznie, dość gwałtownie. Inni

bardziej analitycznie, widać, że mają to przemyślane. Zdarzają się i tacy, którzy plują zachowawczo, trochę się przy tym krygując. Znów zabełtałam kieliszkiem, już nawet nie słysząc nazwy tego, czym nie splunę. Przełknęłam. Zauważyłam, że pociągnęła twarz sommeliera trochę się wydłużyła, a potem jakby zaczyna zwięzać. Czy może to ja się lekko odchyliłam? Poczułam ucisk pęcherza, a potem kołysanie w głowie. Cezarego wciąż nie było. Ustalenie, gdzie jest łazienka, graniczyło dla mnie z cudem. Niby skręcałam tam, gdzie chciałam, ale potem orientowałam się, że jestem w tym samym miejscu.

— Może pani pomożę? — zagadnął mnie jakiś wybawca w muszce.

Kiedy lekko się wsparłam na jego ramieniu, gotowa iść gdziekolwiek, byle tylko dłużej nie musieć już stać na tych ruchomych piaskach, na które wjechały moje obcasy, wyrósł przede mną Cezary. To było naprawdę miłe z jego strony. Bez słowa przesunęłam rękę z nieznanego ramienia pod ramię Cezarego, które może nie było do końca znajome, przecież dotykałam go po raz pierwszy, ale czułam, że otwiera przede mną szersze perspektywy. Jeśli nie na życie, to przynajmniej na łazienkę. Marzyłam o niej, czując, że dobić tam zaraz to dla mnie sprawa życia i śmierci.

Obudziłam się z trudem. Sunęłam wzrokiem po ścianach jak czołg po polu minowym. Ociężała. Najpierw gotowa zamordować sąsiada za to, że wierci nade mną wiertarką, a potem samą siebie za to, że tą wiertarką wierciłam sobie własnoręcznie w środku głowy. Wera wparowała z mokrym ręcznikiem i ułożyła mi go na głowie.

— Moja ty anyżkowa królowo winiarstwa! — przywitała mnie z uśmiechem. — Kefirku?

— Si!

— Kimkolwiek był ten pan, który cię wyłożył nocą na sofę, naprawdę doceniemy jego klasę, nawet cię nie napoczął — powiedziała rozbawionym głosem.

— Madonno! — mruknęłam do siebie. — Był tu? Widziałaś go?

— Nie!

— Jak to?

— To znaczy był, ale siedziałam jak trusia w sypialni, gdy usłyszałam, jak weszliście. Bałam się go spłoszyć. Nie wiedziałam, jaki będzie rozwój akcji.

— O, w mordę jeża! Co robiłam? Co on mówił? — Podniosłam się z łóżka podenerwowana.

— Dialog to się wam raczej nie kleił. On powtarzał coś o herbacie, a ty, że herbata nocą pobudza.

— Co?

— Na mur beton, mimo przejściowych trudności z elokwencją powtarzałaś tekst o pobudzeniu.

— Co wtedy zrobił?

— Nie napierał, coś tam jeszcze do ciebie mówił, a potem poszedł. Chyba sama mu to zaleciłaś. — Wera naprawdę dobrze się bawiła, ja trochę mniej.

— Dżizys...

— Czy to był tylko taksówkarz, czy bohater twojego wieczoru?

— Wera! To on. Popełniłam błąd mojego życia.

— Kochanie, jeśli wczoraj go poznałaś, to dziś o nim zapomnisz. Przecież tłumaczę ci, że do niczego nie doszło. Owszem, byłaś sfatygowana procentowo, ale garderoba nienaruszona. Zrobiłam obdukcję w minutę po jego wyjściu. — Wera podała mi jakiś napój. — Wzmocnij się, kochanie.

— Co za żal! Wera, to był mężczyzna mojego życia. Słyszysz?

— Dziś się zorientowałaś?

— Nie! Chciałam z nim dzielić prześcieradło, patelnię, a może nawet marynaty w wekach i sadzonki w ogrodzie — zajęczałam. — Jestem katastrofą! Claudynka ma rację, mam jakiś konflikt wewnętrzny. Albo i zewnętrzny. I na pewno macicę odłączoną od serca, a może nawet kaczy kuper.

— Lukrusiu, masz dzisiaj sporą skłonność do poezji.

— Wera, jest już po mnie.

— Po każdym mężczyźnie życia pojawia się albo nowy mężczyzna, albo nowe życie. Luz blues, wypij to i leż. Gdybyś miała umrzeć, zawiadom, ale teraz muszę lecieć! — wysłała mi całusa i popędziła.

Grawitacja przypomniła mi o swoim istnieniu. Osunęłam głowę na poduszkę. Przez otwarte w salonie okno wdzierał się wiatr. Szumiało coraz mocniej, jakby zbierało się na wicher. Nadciągnęły ciemne chmury. Szum narastał. Zbiegłam na dół i chwyciłam płaszcz z kapturem. Szłam bardzo szybko. Wiatr nie ustawał. Ludzie przyspieszali kroku. W Łazienkach było

pustawo. Ptaki podrywały się do lotu. Widziały niepokój nieba. Nagle na ławce zobaczyłam jakąś parę. Wtuleni w siebie. Mocno. Bardzo mocno. Poczułam zielonkawy aromat przełamany lekkim kadzidłem. Znałam ten zapach. Boże! Podeszłam bliżej. To był on. Nie widziałam jego oczu, ale to na pewno on. Kątem oka zdołałam dostrzec ich twarze. Sklejone. Poruszające się łapczywie. Jak fala. Splecione dłonie, które się zaciskały. Serce mi waliło. Chciałam wrzasnąć, ale ta gula w gardle... Nie mogłam wydobyć z siebie dźwięku. Łzy zalewały mi oczy. Wiatr wiał coraz mocniej. A oni na tej ławce... Jak jedno ciało. Ptaki świszczą. Zataczały koła. Niebo poczerniało. Silny podmuch uderzył mnie w twarz. Obudziłam się...

Salon rozświetlało południowe słońce. Zastona poruszyła się lekko na wietrze, który wpadał przez otwarte okno. Odetchnęłam z ulgą. Przeciągnęłam się i ruszyłam do boju. To znaczy do lodówki. Koktajl z jarmuzu i jagód goji postawił mnie na nogi. Wygrzebałam na YouTube *Girls just want to have fun* Cyndi Lauper. Snując się po domu, zaczęłam się przekształcać ze skacowanej larwy w karmionego superfoodami motyla. Docierały do mnie wspomnienia minionego wieczoru. Dlaczego nie wyszłam do łazienki od razu, gdy poczułam pierwszy zew? Błąkająca się po głowie myśl wróciła jak odłamek pocisku. Skoro coś we mnie nie chciało spluwać, po co się tym stresowałam? Jestem za ambitna. To stres mnie wykończył, a nie brak umiaru. A poza tym — gdzie on się podział? Zostawił mnie na środku Doliny Rodanu i się ulotnił. Za kogo on się uważa? Niby co miałam ze sobą począć? Dobrze wychowany mężczyzna towarzyszy kobiecie, jeśli widzi, że ona nie spluwa wtedy, gdy lepiej spluwać, *sorry*. Przełamam jarmuzowy koktajl do kieliszka od szampana. Raz się żyje! Na samą myśl, że nie muszę pędzić w tym stanie do żadnego korpo, gotowa byłam wznieść toast do nieba. Odbity w lustrze blask słońca rzucał piękną smugę na stół. Wino, ten przereklamowany nektar bogów i zguba śmiertelników... Nie, tak nie mogłabym zacząć wpisu. Czy jest sens nawiązywać na blogu do swoich klęsk i przestrzegać przed nimi innych? Świat ledwo zipie od ciągłych pouczeń i ostrzeżeń. Basta! Sięgnęłam po laptopa i rozsiadłszy się w fotelu, zaczęłam pisać...

Jedzenie, tak jak erotyzm, najpierw przyciąga wzrok. Inaczej bywa z winem. Są trunki, których odcienie nie mają w sobie nic zaskakującego, a one i tak dostarczają niezapomnianych wrażeń. Istnieją też trunki do wrażeń specjalnych. Należy do nich wywar

z jaszczurek z rodziny scynkowatych. Podobno już w starożytnej Grecji głowę i odnogi jaszczurki zalewano winem i podawano ten trunek jako silnie wzmagający popęd płciowy. Dziś pija się go podobno głównie w Afryce Północnej, nie musimy się więc obawiać, że ktoś zaserwuje nam ten specyfik bez uprzedzenia na jakimś przyjęciu, ale...

Chciałam właśnie przejść do innych zagrożeń, jakie niesie ze sobą wino, gdy zaświszczał mój Messenger. *Jak tam, żyjesz?* — pytał. A jednak! *Zawsze wmawiaj sobie, że sprawy wyglądają znacznie lepiej, niż mogą wyglądać* — powiedziałam do siebie na głos. Albo Wera dorzuciła mi coś rano do kefiru, albo odbijała mi plama. Podrygując niemrawo, w rytm oldschoolowych przebojów, odpisałam: *Żyję, masz w tym chyba pewien udział, dziękuję. A ty? Całuję czule.* Przygotowałam jagłankę i, podjadając ją, wróciłam do kończenia posta. Szybko jednak złakniony atrakcji DolceVito przypomniał o swoim istnieniu. Wykąpałam się i wyszliśmy na spacer. W powietrzu czuło się wilgoć budzącej się ziemi. Włosy kołysały się na wietrze, a rozpięte poły płaszcza dawały przyjemne poczucie otwartości. Pomyślałam o cieńszych sukienkach, w których już niebawem będę przechadzać się ulicami. Nagle dopadł mnie dziwny skurcz. Najpierw objął brzuch, a potem poszybował do góry, zatrzymując się w gardle. To był strach. Dotarło do mnie, że kolejny tydzień koczuję na sofie Wery i fantazjuję o zmysłowych kolacjach na tarasie gościa, który nawet nie wie, że jest częścią tego planu. Zrobiło mi się zimno. Przyspieszyłam kroku. DolceVito był w wyjątkowo towarzyskim nastroju, zaczepiał, kogo się dało. Zaczęłam wpatrywać się w okna mijanych budynków. Muszę wynająć mieszkanie, muszę zacząć zarabiać, muszę działać — powtarzałam jak katarynka. Lukrecjo, do boju! Jakiś podszept z tyłu głowy mówił: *jakie „muszę”?* *Niczego nie musisz. Nie używaj słowa „muszę”. Chcę. Pragnę. Zamierzam — proszę bardzo... Ale żadnego „muszę”.* Sformatowane zdania z moich kursów samorozwoju dobijały się o uwagę.

Zrobiłam zakupy. Zaplanowałam krem z selera z tymiankiem i orzechami włoskimi, a na drugie danie cieciorkę ze szpinakiem w przyprawach

korzennych z komosą ryżową. Gotując, zajrzałam na portale z nieruchomościami. Ceny mieszkań w Śródmieściu zmusiły mnie do otwarcia chardonnay. Czułam przerażenie. Sączyłam mieniące się w słońcu wino, próbując złapać dystans. Klikałam w kolejne oferty. Warszawie wyraźnie przewróciło się w głowie. Wynajęcie kawalerki w centrum oznaczało splukanie się z całych oszczędności najdalej do sierpnia. A co, jeśli nie zacznę do tego czasu sensownie zarabiać? *Uno... due... tre...* Próbowałam głębiej oddychać.

Wera zaanonsowała na kolację Juliana. Nawet mnie to ucieszyło. Cały ten Julian dawał się jednak lubić. Poza tym naprawdę przyjemnie się słuchało jego opowieści na temat potraw. Fakt, że podróżował po całym świecie, dawał mu dostęp do wielu dań, które znałam głównie z uważnych lektur egzotycznych książek kucharskich. Tymczasem Cezary nie odpisywał i zaczynałam już czuć niepokój. Może dopiero teraz dotarło do niego, że zrobiłam mu straszny obciach na degustacji? Może przesadziłam z tym „Całuję czule” i pomyślał, jak tamten facet spotkany na Polach Mokotowskich, że psy nie lecą na suki, które lecą na psy? Może zamilkł na zawsze... Kolejne pytania nadlatywały jak bomby. A jeśli tarocistka miała rację? Mam uśpione serce i ściągam tych, którzy nagłym wybuchem je przebudzają, ale każdy wybuch trwa tylko chwilę i z hukiem się kończy. W tym przypadku nawet ryzyko przepalenia wątroby wydawało się sensowne. Siedlisko złości jest właśnie tam. Tylko gdzie podziały się czerwień, pomarańcz, złoto i cała ta forsa płynąca z układu trawiennego? Wypiłam kolejny kieliszek chardonnay.

— Za ziemię przodków! — wzniosłam toast sama do siebie. — Niech będzie dla mnie łaskawsza.

Odsłuchałam z dyktafonu w telefonie cały wywód wróżki. Przecież on miał być blondynowaty. Nawet to nie pasuje do Cezarego, nie mówiąc o całej reszcie. Pozostawało mi już tylko rozsmakować się w warzywach, które szykowałam na kolację. Nieopacznie mój wzrok padł na pudełko z tarotem. Wyciągnęłam kartę. Numer dziewięć, Pustelnik. Samotny starzec, idzie naprzód, przygarbiony. Lampą oświetla sobie drogę. Nie widzi tego, co dzieje się dookoła, patrzy w ziemię. Ma w sobie mądrość, którą chce dzielić się z innymi. Karta Pustelnika symbolizuje odwagę i dojrzałość w wyborach życiowych, spotkanie mistrza. Może już lepiej nastawię pranie — pomyślałam zrezygnowana, odkładając karty i książkę z interpretacjami.

Rozdział 8

Albo ktoś łamie ci serce, albo to ty jesteś pochłaniaczem serc

Koniec snów, marazmu, dziecinady, głupoty. Podobno chiński Rok Koguta to czas, by z pasją wziąć się do pracy. Potraktowałam to serio. Pierwsze dni marca przyniosły cieplejszy powiew. Ogrzały ziemię. Zbudziły mnie na dobre do nowego życia. Zaczęłam wstawać o siódmej, robić sto brzusków i zaraz po skończeniu wszystkich rytuałów, z zestawem oddechów włącznie, wychodziłam na poranne espresso, by napisać kolejny post. Za każdym razem po przyjsciu do kawiarni doznawałam lekkiego bulgotu w brzuchu, a potem przez kilka minut praktykowałam technikę uwalniania się od natarczywych myśli, której ostatnio nauczyła mnie Claudynka. Staczałam ze sobą codzienną wojnę, by nie sprawdzać jego facebookowej tablicy. Cezary ani się nie zjawiał, ani nie pisał. Nie miałam odwagi kolejny raz inicjować kontaktu, po tym, jak któregoś dnia w chwili desperacji wysłałam mu wiadomość: *Jak życie? Może kawa, zaraz? Nudno bez ciebie...*, i dostałam odpowiedź: *Niestety nie dla mnie to zaraz, pozdrawiam.*

Na szczęście liczba lajków na moim blogu rosła, komentarzy przybywało, pojawiły się pytania, a ja wreszcie złapałam wiatr w żagle. Wpis zatytułowany *Co powiecie na jądra rozdyмки?* zebrał rekordową liczbę kliknięć. Choć wyglądało to na metaforę perwersyjnego aktu, odnosiło się po prostu do wyuzdanych fantazji kulinarnych Japończyków. A ściślej — do spożywania niebezpiecznej ryby fugu, która zawiera mnóstwo trujących substancji, ale jest silnym afrodyzjakiem. Zwłaszcza wspomniane jądra,

słonawe w smaku, zawierające mleczny płyn, potrafią podobno przyczynić się do niezapomnianych przeżyć erotycznych. Po tym rekordzie lajków i komentarzy w pomarańczowym notesie z kolorową mandalą na okładce sformułowałam swoją misję:

Praca to wszystko, co robię, myślę, mówię i co zamierzam. Pasja jest tym, co sprawia, że coś robię, myślę, mówię, że czegoś pragnę. Skoro praca jest pasją, nigdy nie jestem w pustce, zawsze idę ku pełni.

Moje wędrówki przez bazyry miejskie, gdzie wyszukiwałam najróżniejsze produkty spożywcze, odwiedzanie miejskich knajpek, w których testowałam smaki, pochłaniały codziennie ponad połowę mojego dnia. Drugą używałam na eksperymenty kulinarne i przygotowania do pierwszej kolacji dla singli, którą chciałam zorganizować w kwietniu, zaraz po Wielkanocy. System motywacji działał. Zapisałam się nawet na orgazmiczny pilates, mimo że Wera nie podjęła wspólnego wyzwania, tłumacząc się wzmożonym ruchem w interesach. Dwa razy w tygodniu przez godzinę czułam, jak uruchamiam mięśnie, o których istnieniu w moim ciele nie miałam nawet pojęcia. Po każdym zajęciach wychodziłam lżejsza i bliższa sobie niż kiedykolwiek.

Tymczasem zbliżał się Dzień Kobiet. Obiecałam Werce, że z tej okazji pójde z nią po południu na manife. Nie liczyłam jednak na wspólny wieczór i celebrację naszej kobiecości. Przeczynałam, że porwie ją Julian, który wczoraj wrócił z kilkudniowej podróży po Bliskim Wschodzie i zdążył już zaanonsować jej ten fakt. By zawczasu stawić odpór potencjalnemu *melancholikus samotnikus* lub nieujarzmionej potrzebie wysłania wiadomości do milczącego od wielu dni Cezarego, zarezerwowałam sobie na wieczór hawajski masaż. Kiedy naenergetyzowana porannymi rytuałami szłam właśnie na swoje espresso, zadzwoniła Wera.

— *Bella*, czas na poranną celebrację kobiecości, co ty na to? Gdzie jesteś?
— zaćwierkała.

— W drodze na espresso, przybawaj na plac! — Ucieszyłam się.

— Frunę!

Ledwo zdążyłam się usadowić i rozejrzeć po twarzach, z których część znałam już z widzenia, co dawało mi z jednej strony przyjemne poczucie przynależności, a z drugiej w dotkliwy sposób przypominało, że nie ma tu tej, na którą tak bardzo czekam, wparowała Wera. Nim usiadła, wszedł Julian

z dwoma ekscentrycznymi bukietami. Nie zdążyłam o nic zapytać, ale zorientowałam się, że był zapowiedzianą częścią naszej celebracji kobiecości przy kawie.

— Można święto obchodzić, można je ignorować, ale kwiaty trzeba przyjąć — przywitał się, wręczając nam obezwładniające zapachami kompozycje.

— Zjawiskowe! — nie mogłam powstrzymać zachwytu. — Czyżby groszek? — odkryłam, zanurzając nos w bukiet.

— Owszem, on jest tu królem, otoczonym przez jaskrowe nałożnice. — Uśmiechnął się Julian i uniósł swoim zwyczajem brwi.

— Pozazdrościć nałożnicom — miauknęła Wera, puszczając do mnie porozumiewawcze oko.

— To one mogą wam pozazdrościć, bo na groszku przyjemność się nie skończy, ale o tym za chwilę... — zawiesił głos i zamówił dla nas wszystkich po kawie.

Podeksytowanie Wery przybrało na sile. Jej wzrok przylgnął do sylwetki Juliana, czekającego przy barze, z tak magnetyczną siłą, że zaczęłam się zastanawiać, czy sprawy nie posunęły się już o wiele dalej, niż sądziłam. Julian ustawił przed nami kawy. Kiedy posypywałam jak zwykle swoje espresso cynamonem, zaczął szukać czegoś w torbie.

— Lukrecjo, czy ten cynamon to twoje drobinki złota? — rzucił, zerkając na moją filiżankę.

— Lubię ozłacać sobie życie. — Roześmiałam się.

— W Hongkongu piłem kiedyś kawę z prawdziwym złotym pyłem. Szalenie podnosi energię. Cynamon też ma tę moc? — zapytał, wyjmując z torby dwa pudełeczka w kolorze złota.

— Ma dużo chromu, który redukuje łaknienie słodocy, poza tym zawiera taniny, flawony i inne skarby wiecznej młodości.

— *Voilà*. Prezenty w hołdzie waszej młodości, a zwłaszcza kobiecości. — Podał nam pudełka, dla mnie ze wstążką zieloną, a dla Wery z czerwoną.

Otworzyłam wieko. Z kawałka złoconego jedwabiu wysunął się naszyjnik w kształcie dużej kuli. W transparentnej masie zatopiona była tajemnicza forma. Słońce wpadające przez okno wywołało efekt lekkiego migotania. Wpatrywałam się w to tajemnicze zjawisko zupełnie obezwładniona jego nieoczywistym pięknem. W głębi dostrzegałam perłę, ale nie mogłam rozpoznać, co jest obok niej.

— To perła, prawda? — zapytałam zaintrygowana.

— Perła rodzi się w bólu. Ziarno piasku albo jajo jakiegoś pasożyta napiera na delikatny nabłonek mięczaka. Mięczak, broniąc się, otacza ciało obce wapienną powłoką, twardnieje. To, co widzisz, to perła, a obok leżą jaja pasożytów, które nie dotarły do nabłonka.

— Prawdziwe jaja pasożyta? — Zatkanło mnie.

— To przegrani, obok zwycięzcy. Mam nadzieję, Lukrecjo, że będzie cię to inspirować — wyjaśnił Julian.

— A mój prezent? To jest jeszcze większe dziwactwo — stwierdziła pytająco Wera, wciąż jak zahipnotyzowana wpatrując się w swoją kulę.

— *Tenodera sinensis* w momencie nasycenia — odpowiedział triumfalnie Julian.

— Co?! — krzyknęłyśmy jednocześnie.

— Modliszka chińska tuż po kopulacji, zżerająca swoją ofiarę, która dostarczyła jej rozkoszy — wyjaśnił rzeczowo.

— Owad zatopiony żywcem? To okropne — jęknęłam, patrząc na Werę, która co prawda nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale na jej twarzy malowało się przerażenie.

— W tych wisiorach jest zatopiona metafora naszego życia — odpowiedział przesadnie lirycznym tonem Julian.

— Naszego? — powtórzyła Wera.

— Tak, droga Wero. — Nachylił się nad nią prowokacyjnie, patrząc jej w oczy.

— Przepraszam na chwilę — rzuciłam i wysunęłam się z za stolika, kierując się w stronę toalety.

Poczułam nie tylko sygnał wysyłany z pęcherza, ale też pilną konieczność zostawienia ich sam na sam. Nie rozumiałam, co się między nimi rozgrywa. Gdzie kończą się granice zabawy w uwodzenie słowami, a zaczynają marzenia o wyrefinowanej seksualności. Może najgorsze w tym wszystkim było to, że byłam już prawie pewna, iż Wera jest w nim zakochana. Im mniej mi się ostatnio zwierzała, tym bardziej utwierdzałam się w moim przeczuciu. Ciało nigdy nie kłamie. Język często powtarza rzeczy, które chcielibyśmy oglądać, ale to ciało można zobaczyć naprawdę. Ciało Juliana w jakiś sposób pożałowało Wery, ale nie potrafiłam w pełni pojąć tego mechanizmu. Miałam wrażenie, że serce w jego ciele, mimo wszystkich inklinacji ku subtelnym zjawiskom, było kompletnie nieruchome. Ogarnął mnie nagły smutek. Nie wiedziałam, czy to lęk o uczucia Wery, które niebawem mogły zostać wypatroszone jakimś

niezręcznym, nagłym ukłuciem, czy może dopadała mnie obawa przed tym okropnym momentem, który nastąpi dziś wieczorem, pomiędzy masażem a snem. Zacznę sobie wtedy wyobrażać te wszystkie szczęśliwe kobiety na świecie wtulające się właśnie w ramiona swoich mężczyzn, już gotowych, by tej nocy złożyć w ich łonach szczególny hołd ich kobiecości.

— *Bella!* Mamy dla ciebie niespodziankę — krzyknęła Wera, gdy wreszcie poprawiłam rzęsy rozmazane tuszem przez łzy i wynurzyłam się z łazienki.

— Tylko błagam, żadnych żywych istot unieruchomionych podczas seksu za pomocą żywicy — próbowałam zażartować.

— Lukrecjo, wiem od Wery o twoich planach organizowania kolacji dla singli, a jako wierny czytelnik twojego zmysłowego bloga byłbym zaszczycony, gdybyś pierwszą taką imprezę zorganizowała w moim nowym apartamencie — zakomunikował Julian uroczystym tonem.

— Co takiego? — wyszeptałam.

Chciałam pisać ze szczęścia, ale zupełnie odjęło mi mowę. Patrzyłam to na Werę, to na Juliana i nie wiedziałam, któremu z nich rzucić się na szyję. Byłam pewna, że Wera maczała w tym palce, że w swój pokręcony uwodzicielski sposób naprowadziła Juliana na to, żeby z jego ust padła ta propozycja. Za dobrze ją znałam, by uwierzyć, że był to jedynie jeden z tych niezwykłych dowodów na działanie prawa przyciągania, które ściąga do ciebie dokładnie to, czego pragniesz, pod warunkiem że robisz to naprawdę intensywnie. Przecież nawet jeszcze nie zaczęłam na dobre marzyć o tym sławnym apartamencie.

— Dzień Kobiet to jest to! — krzyknęłam

— Masz dziś świetny układ planet, *bella*, bądź czujna! — Uśmiechnęła się Wera.

— Dziękuję wam! Julianie, nawet nie wiesz... — zaczęłam.

— Cała przyjemność będzie po mojej stronie. Już nie mogę się doczekać, co tam zjem i kogo poznam — powiedział Julian.

Przeszył mnie dreszcz. Spojrzałam na Werę, ale ona jakby tego nie dosłyszała i zaczęła wkładać płaszcz, wyjaśniając, że zaraz ma prezentację mieszkania. Julian zaproponował, że ją podwiezie. O manifie wspomniała tylko mimochodem, mówiąc, że nie wie, czy się wyrobi. Da znać.

Po co on to w ogóle powiedział? Zwykła odruchowa prowokacja czy może on tylko zabawia się Werą, a tak naprawdę szuka sobie jakiejś laski do dymania? Byłam zdezorientowana. Pożegnałam się z nimi i zamówiłam sok

z grejpfruta, żeby się podładować. Otworzyłam laptopa i zaczęłam pisać post o żeńskiej energii, perle, jaju i tym wszystkim, czym rozpoczął się ten dziwny dzień. Po chwili zadzwieczał mój Messenger: *Zapraszam na kolację dziś o siódmej. Albo żeby uczcić Święto Kobiet, albo żeby mu zaprzeczyć.*

Zrobiło mi się gorąco. A więc jednak. Chyba rzeczywiście mam dziś układ planet, jakiego od dawna nie miałam. Już odprawiłam w myślach ze dwa pogrzeby Cezarego, a tu nagle takie zmartwychwstanie. Oczywiście zamierzałam dać mu do zrozumienia, że nie jestem dziewczyną na telefon, która nie ma planów na wieczór taki jak ten. Chciałam go potrzymać w niepewności przynajmniej do szesnastej, ale skończyło się na tym, co zwykle. Złapałam za komórkę i napisałam: *Zawsze czcić. Gdzie dzisiaj?* Dopięłam sok i zwinęłam się z kawiarni. Teraz, kiedy wiedziałam, że jestem o krok od triumfu — miałam już lokal, a w głowie ustaliłam nawet kwietniowy termin spotkania — naprawdę czułam, że dzieją się wielkie rzeczy. Niezwykłe rzeczy! Mogłam spokojnie pozwolić sobie na inwestycję na poczet triumfu wieczornej kolacji. Poszłam kupić sobie sukienkę. Czułam, że to moje „żyć albo nie żyć”, więc muszę włożyć na siebie coś, w czym nigdzie jeszcze nie byłam, co z niczym, a zwłaszcza z nikim mi się nie kojarzy.

Dwie i pół godziny, które zużyłam nie na demonstracjach w obronie kobiecych praw, lecz na mierzeniu ciuchów i oglądaniu siebie w lustrach, sprawiły, że jedyne, czego teraz pragnęłam, to zamienić się w chińską modliszkę. Taką, która bezceremonialnie zjada swojego kochanka, bo ma ku temu możliwość, niezależnie od tego, w jaką sukienkę się wcisnęła. Nie wiem, czy gdzieś na świecie jest mniej korzystne oświetlenie w przebieralniach dla kobiet niż w Warszawie. Wątpię, by to było możliwe. To, czego na pewno się dowiesz, mierząc cokolwiek w tym mieście, to — jak bardzo odwodniona jest twoja skóra na twarzy, bo przecież z czegoś wynika jej szary kolor w lustrze. Przekonasz się, że jesteś grubsza, niż kiedykolwiek myślałaś, i że w każdym kolorze wyglądasz blado. W mękach zdecydowałam się na granatową zwiewną żorzetę w czerwone wzory, odciętą w pasie, z lekkim wycięciem w szpic na plecach.

Czas mijał powoli. Zdążyłam nawet zakręcić papiloty i uzyskać efekt nienatarczywej fali. Zanim wyszłam z domu, zrzuciłam nabytą na ten wieczór kreację, czując, że przedziera się przez nią jakaś pańciowata część mojej natury. Wbiłam się w obcisłe dzinsy, prześwitującą, odsłaniającą ramię bluzkę w odcieniu maliny i naszyjnik z ekscentryczną kulą od Juliana. To było to!

Nie mogłam przełknąć zdziwienia, gdy pojawiłam się w restauracji pięć po siódmej, a on już czekał. Pierwszy raz przyszedł o czasie. Pachniał delikatniej niż poprzednim razem. Wstał. Pocałował mnie w policzek. Był trochę spięty, choć nie bardziej ode mnie. Delikatnie musnął moją rękę. Wpatrywał się we mnie rozanielonymi oczami.

— Stęskniłem się trochę — rzucił na powitanie.

— Ja więcej niż trochę, ale mniej niż bardzo — zażartowałam.

— Mam nadzieję, że italofilka może również być iberofanką — zagaił z uśmiechem.

— Dzięki temu coś więcej nas połączy, jak rozumiem?

— Owszem, wybrałem na dziś tę tawernę, bo uwielbiam i hiszpańskie jedzenie, i hiszpańskiego ducha. — Ożywił się. — Ale przyznam, że czekając, zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem wybrać dla ciebie czegoś włoskiego.

— Lubię zmiany, nowości, a zwłaszcza bycie gdzieś po raz pierwszy i poznawanie nowych smaków — odpowiedziałam.

Starął się. Czuałam to. Zaczęliśmy od gazpacho. Krwisty aromat warzyw zakręcił mi w nosie. To była najlepsza wersja tej zupy, jaką kiedykolwiek jadłam, a może nawet — jaką miałam jeszcze kiedykolwiek zjeść. Cezary za każdym razem, gdy dostrzegał moje wolne tempo jedzenia, próbował się do niego dostosować. A ja odzyskiwałam nadzieję, traconą przez ostatnie dni. Wróciła spotęgowana do kwadratu. Słuchałam relacji z jego wyjazdu narciarskiego z synem, z którego właśnie wrócił, jak relaksującej medytacji. Oddychałam z ulgą. Nie mogłam już wątpić w powagę jego uczuć, skoro w taki symboliczny dzień właśnie ze mną jadł (niemalże w moim tempie!) gazpacho, które uwielbiał i którego kolor mógł się kojarzyć tylko z jednym. Robił to, mimo że dziesiątki zaległych spraw zapychały zapewne jego mailową skrzynkę, telefon i biurko. A jutro czekał go kolejny wielki event. Potem zamówiliśmy tortillę. Trochę przesoloną i zbyt wypieczoną, ale czy komukolwiek w takiej chwili mogło to przeszkadzać? W jego szaroniebieskich oczach było tyle ciepła i spokoju, że czuałam, jak przebywając tuż przy nim,

osiadam na ziemi moich przodków, zapuszczam w niej korzenie i już na zawsze do czegoś przynależę. Gdy wspomniał o tym, że odkąd przeniósł się do mieszkania na Ochocie, najbardziej brak mu możliwości popatrzenia rano na zieleń przed domem, wyobraziłam sobie nasz ogród. Drzewa magnolii, które wiosną będą nas doprowadzać do obłędu podczas śniadań. Hortensje, które zasadzimy w trzech kolorach. Lewkonię długopłatkową w odcieniach lila i różu, pnącą się pod oknami, która posłuży za wonny akompaniament naszych letnich nocy.

— W tym świecie nie ma już nic trwałego — powiedział w pewnej chwili, patrząc na lekko sfatygowaną różę wazonie na sąsiednim stoliku.

— Są rzeczy trwalsze od kwiatów. Drzewa, więzi z drugim człowiekiem — zaczęłam nie do końca pewna gruntu, po którym stąpam.

— O, akurat więzi to największa katastrofa. Człowiek się w coś angażuje, buduje dom i zakłada ogród, sadi w nim drzewa, kosi trawę, a potem wszystko się rozlatuje jak domek z kart.

— Czasem dom wymaga tylko przebudowy. — Mówiąc to, wiedziałam, że błędę, ale miałam pustkę w głowie, czułam, jak ściska mnie w żołądku. A może to nie był żołądek, tylko raczej moje miedniczne centrum dowodzenia.

Już po chwili słyszałam, jak kwili mi serce, gdy Cezary napomknął, że właśnie wyprowadził się od swojej drugiej żony, bo nie mógł już znieść patrzenia na to, jak zniszczyła ich małżeństwo, wdając się w romans z kolegą z pracy.

— Czy matka może bardziej skrzywdzić dziecko, niż niszcząc mu bezpieczną przystań w postaci rodziny? — zastanawiał się na głos Cezary.

— Dzieci najbardziej odczuwają takie rzeczy, ale można próbować je ocalić — wymamrotałam.

— Niczego nie da się ocalić, zawsze już pozostanie odium winy — wydukał.

Byłam nie tylko zjednoczona z nim w każdej myśli i towarzyszących im uczuciach, ale nie mogłam wyjść ze zdumienia, jaką trzeba być egoistyczną, narcystyczną i bezmyślną wariatką, by zniszczyć życie z takim mężczyzną jak Cezary. Nawet kolejny kieliszek wytrawnego monastrella nie wydobyl mnie z głębin poruszenia. Pewną rolę odegrała w tym dopiero wyśmienita czekoladowa tarta. Cezary, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, nie użalał się nad sobą, szybko więc przeszedł do opowieści o jutrzejszym evencie, a potem zawiesił wzrok na mojej ekscentrycznej kuli.

— To jakiś talizman czy conceptualna sztuka nowoczesna? — zapytał, zbliżając dłoń do naszyjnika i delikatnie muskając przy tym palcami mój dekolt.

— Wszystko naraz. Przyjmijmy, że przede wszystkim jest to perła, która przyniosła mi dziś szczęście — odpowiedziałam, wpatrując się w jego oczy, które w świetle chłodnawych lamp wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

— Padł rekord wejść na bloga czy dostałaś życiową propozycję, by poprowadzić kulinarny show? — zażartował, dolewając mi wina.

— Dostałam coś więcej — powiedziałam. — Ale cii. — Przyłożyłam palec do ust, uśmiechając się tajemniczo.

— Muszę przyznać, że zawyżam ci klikalność. Czytam twoje teksty regularnie i aż chce mi się popróbować wszystko, co tam opisujesz — powiedział, dotykając mojej ręki.

— Dam ci szansę — odpowiedziałam, gładząc jego dłoń.

Jak przystało na człowieka przedsiębiorczego, zaczął podsuwać mi inspirujące linki ze świata eventowej gastronomii. Stawiał rzeczowe pytania, jak sobie wyobrażam rozwój własnej marki. Jak chcę kreować swój wizerunek. Byłam coraz bardziej podekscytowana. Myśli pędziły jak strzały. To on! Mężczyzna z ziemi moich przodków. Czuły i zaradny. Odpowiedzialny i wrażliwy. Znalazłam go. Związałam się z człowiekiem, którego zawsze szukałam, z kimś, kto będzie dla mnie prawdziwą inspiracją. W pewnej chwili przypomniał sobie, że ma w domu świetną książkę jakiegoś stratega z branży kulinarnej, którą powinnam natychmiast przeczytać.

Dzięki temu niewinnemu pretekstowi pół godziny później spoglądałam przez okno na duży dziedziniec rozciągający się wokół budynku przy ulicy Filtrowej i dzieliłam się z Cezarym spostrzeżeniami, jakie można by zasadzić tam rośliny, by poczuł latem przyjemne zapachy. Nie, nie planował tam niczego sadzić, bo nie planował mieszkać tam wiele dłużej. To budziło we mnie jeszcze więcej nadziei. W mieszkaniu czuć było zresztą aurę przejściowości. Nierozpakowane walizki stały obok pustej prawie szafy. W lodówce oprócz kilku butelek hiszpańskiej cavy i białego wina były tylko jogurty i kawałek goudy. Pewnym zaskoczeniem okazała się łazienka. Półka pod lustrem zapełniona była pięcioma opakowaniami ekskluzywnych kremów. Co prawda wyglądały raczej na linię męską, ale dość rozbudowaną. Obok kremu na dzień i na noc stał jeden pod oczy, do tego maseczka i coś w rodzaju serum. Czy to możliwe, że Cezary miał obsesję na punkcie upływu czasu? — przebiegło mi

przez myśl, gdy myłam ręce, ale było zbyt pięknie, by dręczyć się wątpliwościami. Nawet jeśli miałyby to być prawda, to już chyba lepszy mężczyzna, który o siebie dba, niż abnegat.

Siedzieliśmy na łóżku z winem w dłoniach. Cezary pokazywał mi na swoim tablecie zdjęcia z organizowanych przez siebie imprez. Coraz bardziej się nade mną nachylał, a nasze zapachy mocniej się przenikały. Powiedział, zerkając na mnie trochę nieśmiało, że piękne jest to coś, czym pachnę, cokolwiek to jest. A potem musnął nosem moją szyję. Odwdzięczyłam mu się tym samym. Może odrobinę natarczywiej. Cofając się, zatrzymałam usta na wysokości jego oczu. Pocałowałam go w powiekę. Potem w drugą. Zanim zdążył złapać oddech. Otworzył oczy. Popatrzył na moje usta. Zbliżył się i delikatnie mnie pocałował. A potem stało się coś, czego nigdy w ten sposób nie ośmieliłabym się zwizualizować. Popchnął mnie lekko na oparcie sofy, chwycił w pasie, wymacał suwak, rozpiął go i zdarł ze mnie te z takim trudem wciśnięte dzinsy ruchem tak gwałtownym, że wstrzymałam oddech. Zanim wypuściłam powietrze, ściągnął swoje spodnie, zsunął mi majtki i wpakował się we mnie swoją sztywną wypukłością, nie dając mi szansy go zobaczyć. Nie sprawdził nawet dłonią, co go czeka. Od razu wrzucił piąty bieg, a mnie stanął przed oczami nasz pierwszy wspólny omlet z kozim serem, który wchłonał z częstotliwością dziesięciu ruchów widelca na minutę. To był wstrząs z pogłosem. Jak upadek ze schodów. Zanim zdążyłam złapać powietrze, oderwał się ode mnie jak odłamek pocisku i wybuchnął na prześcieradle tysiącem białych odłamków. Przysunął się do mnie, lekko dysząc. Położył mi rękę na brzuchu i już po chwili jego oddech stał się miarowy, głęboki. Stopniowo przerodził się w chrapanie.

W chwilach takich jak ta niektóre kobiety podejmują decyzję o spektakularnej ucieczce, zacierając po sobie ślady raz na zawsze. Są i takie, które przypominają sobie złowieszcze przepowiednie własnych matek w stylu: *w życiu, córciu, nie możesz mieć wszystkiego, trzeba wybrać mniejsze zło*. Ale są przecież i takie, które wiedzą, że wszystko da się zmienić, wystarczą tylko odpowiednie zaangażowanie, wiara i wytrwałość. Nie po to przeszłam tyle kursów samorozwoju, abym teraz, leżąc u boku chrapiącego mężczyzny mojego życia, którego stosunek seksualny trwa poniżej pięciu minut, porzucić nadzieję, że może być pięknie. Powtórzyłam kilka razy afirmację: *Wszechświat może ofiarować mi tylko to, co pojawia się w mojej świadomości, a ja zawsze mogę stworzyć w niej coś więcej*. Ponieważ i tak

nie potrafiłam zasnąć, zajęłam się stwarzaniem tego „więcej”, a konkretniej wymyślaniem postu o związku prędkości jazdy z tempem kopulacji. Pytanie tylko, czy odważę się go jutro napisać, wiedząc, kto jest moim najwierniejszym czytelnikiem.

Kiedy otworzyłam oczy, słońce wdzierало się do pokoju, odbijając na ścianie geometryczne wzory zasłony. Czułam się na tyle lekka, że chciałam zerwać się do brzuszków, ale kiedy odwróciłam wzrok w prawo, zobaczyłam pogrążonego we śnie Cezarego. Jego ręka spoczywała ponad moją głowę na poduszce, a nasze nogi się dotykały. Myśl o tym, że zaraz zjemy razem śniadanie po pierwszej wspólnie spędzonej nocy, przeszła mnie dreszczem ekstazy. Poczułam przyjemne mrowienie na całej skórze. Robienie brzuszków w tej sytuacji było kompletnie nie na miejscu. Zdałam sobie sprawę, że odtąd nie będzie mi łatwo pogodzić moje poranne rytuały ze wspólnym życiem. Być może dla dobra naszego związku będę zmuszona ćwiczyć dopiero wtedy, gdy Cezary będzie wychodził do biura. Na razie zaczęłam zastanawiać się nad tym, co zaraz dla nas przyrządę. Owoce granatu i plastry gruszki z odrobiną syropu z agawy wydawały się właściwym zestawem do porannej jagłanki. Rozważałam właśnie dodanie prażonych migdałów, kiedy rozległ się przeszywający jazgot budzika. Cezary, nie otwierając oczu, zaczął macać ręką po poduszce. Natrafiwszy na moją głowę, podniósł się, wychylił poza łóżko, wygrzebał telefon i wyciszył go.

— Jak tam? — rzucił w moją stronę, otwierając oczy.

— *Buongiorno* — pocałowałam go w policzek.

— Niestety, trzeba się będzie ruszyć — wymamrotał.

— Wypałeś się?

— Nie bardzo.

— Ale dostaniesz w prezencie słońce.

— Może chcesz się pierwsza kąpać?

— Leż, ty śpiochu. — Roześmiałam się. — Ożywię dla ciebie morską falę.
— Cmoknęłam go w policzek i pomknęłam do łazienki.

Przeszłam samą siebie. Chyba chciałam się okazać najszybszą i najmniej problematyczną kobietą świata, z którą nigdy nie zazna typowej dla związków porannej wojny o łazienkę. Ominięłam swój zestaw naprzemiennych zimnych i ciepłych pryszniców. A może przesadzam? Aż tak nie powinnam się dostosowywać — pomyślałam. Kiedy pospiesznie nakładałam na twarz jeden z jego licznych kremików, przypomniałam sobie o składzie jego lodówki.

Zrozumiałam, że wspólne śniadanie po naszym pierwszym razie rozegra się w jakiejś pobliskiej kawiarni, bo pomysł zakupów nie wchodzi w grę. Nie tym razem. Gdy wyszłam z łazienki, Cezary siedział w majtkach przy stole i kończył jeść jogurt. Spojrzałam na niego osłupiała.

— Uwinełaś się — zauważył.

— To nie zjemy razem śniadania? — jęknęłam.

— Jak brałem jogurt, pomyślałem nawet, żeby poczekać na ciebie, ale dzisiaj mam takie urwanie głowy...

— To może zjedźmy go razem?

— Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja. — Uśmiechnął się i ruszył do łazienki, wyrzucając pusty pojemniczek do śmieci.

— Wypijemy chociaż wspólną kawę? — zaproponowałam, krzycząc przez ścianę.

— Kupię coś pod domem i wypijemy w samochodzie. Muszę być zaraz w biurze — odkrzyknął, a jego głos rozplynał się w szumie spływającej wody.

Życie! Grunt to akceptować różne jego przejawy i nie stawiać oporu tam, gdzie nie ma to sensu. Zwłaszcza na początku. Zmiana nawyków śniadaniowych Cezarego to tylko kwestia czasu. W ogóle zmiana jego podejścia do rozkoszy to będzie moje wyzwanie *numero uno* tej wiosny. Grunt to się nie zniechęcać. Przecież już wczoraj mnie uprzedzał, że dzisiaj ma bardzo ważny event i mnóstwo pracy. Czego mogłam się spodziewać? Realizm w romantyce miłosnej to podstawa udanego związku. Powinnam docenić, że mimo natłoku spraw i napięcia za najważniejsze uznał jednak spędzenie ze mną Dnia Kobiet. Musiało to być dla niego istotne. Nie było sensu czepiać się drobiazgów. Zwłaszcza w chwili takiej jak ta, kiedy udowodnił, że mu zależy. Tak bardzo wczoraj otworzył się przede mną. Czułam, że zrobiłam miłowy krok ku nowemu, wymarzonemu życiu. Wystarczyło tylko uzbroić się w cierpliwość, by moje dni mogły zaczynać się i kończyć tak, jak zawsze tego pragnęłam. *Praktyka wdzięczności to podstawa na drodze do udanego życia*, przypominałam sobie donośny głos z jakiegoś kursu pod hasłem *happiness*. Gdy tylko wrócę do domu, zrobię swoje oddechy, a potem, miksując warzywa na koktajl, będę powtarzać afirmację dziękczynną za to, że wreszcie znalazłam to, czego szukałam.

— O czym myśli mężczyzna na chwilę przed ważnym wydarzeniem w swoim życiu? — zapytałam, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

— O obcinaniu głów wrogom i paleniu wiosek, które stoją mu na drodze —

odpowiedział, uruchamiając wycieraczki, by przetrąły pojawiające się na szybie krople deszczu.

Rozdział 9

Szczęście wisi w powietrzu, więc nie wahaj się go użyć

*Obfitość wszechświata jest dostępna dla każdego. Najnowsza kartka przyczepiona przez Werę na lodówce nie dawała jasnych wskazówek co do jej aktualnego stanu ducha, ale odzwierciedlała dokładnie to, co w tej chwili czułam ja. Wykonałam swój zestaw ćwiczeń oddechowych i popijając zieleninę z młodego jęczmienia, poruszona swoim udziałem w rzeczonyj obfitości wszechświata, na wydartej kartce zapisałam datę ósmego marca — pierwsza kolacja we dwoje i seks z Cezarym, początek naszego związku. Zwinęłam ją w rulon i wrzuciłam do swojego pudełka z napisem *Wdzięczność*. Zajęłam się nowym wpisem na bloga — na temat chronotypów.*

Większość ludzi kocha się około godziny dwudziestej trzeciej. Tymczasem jest to pora, gdy wzrasta poziom melatoniny, a pozostałych pożądaných do seksu hormonów: testosteronu, progesteronu, estrogeneru, adrenaliny i kortyzolu — ubywa. Lepiej więc zbadać swój chronotyp, czyli zegar biologiczny, bo jeśli jesteśmy skowronkiem, a nie sową, lepsza miłość czeka nas o poranku. Nie inaczej jest z serwowaniem zmysłowego posiłku ukochanemu lub ukochanej. Rozmiar ma znaczenie i pora również...

Telefon od Wery przerwał mój wywód prowadzony w pliku roboczym.
— *Bella*, jak samopoczucie? Mam coś dla ciebie — zaświergotała, a stukot

obcasów w tle sugerował, że znowu gdzieś pędzi.

— Wspaniale, doradzam właśnie czytelnikom, co jeść na śniadanie po udanym seksie, i marzę o tym, by wreszcie go doświadczyć — westchnęłam.

— Hm... Mam przez to rozumieć, że nocowałaś wczoraj u swojej matki czy też jakiś pan okazał swoją niemoc? — Zachichotała Wera.

— A jaki, Werciu, był finał twojego celebrowania kobiecości? — odbiłam piłeczkę, pod żadnym pozorem nie chcąc wracać myślami do drobnego niewypału, który przydarzył się na początku mojej romantycznej relacji z Cezarym.

— Julian zabrał mnie na kolację z jego ekscytującymi przyjaciółmi. Był tam taki jeden, który według mnie może zrewolucjonizować twoje wpisy o seksie i w ogóle twój seks — powiedziała bardzo podekscytowana. — Czytaliśmy twojego bloga i on się tobą totalnie zajarał, chce cię poznać. Ma oczy jak soczyste jagody. Już od samego spoglądania można dostać orgazmu.

— Jagodowe oczy? Nie znam, ale już uwielbiam, no a jaki był finał twojej nocy?

— Cóż, po kolacji Julian wsadził mnie w taksówkę, bo dziś bladym świtem wylatywał na Kaukaz, tak że sama rozumiesz.

— Nie całkiem, ale...

— W każdym razie rzuć okiem na mojego fejsa, wrzuciłam klimatyczną fotkę z kolacji na ostatnim piętrze wieżowca, gdzie wczoraj byliśmy. Facet, który wyda ci się najprzystojniejszy na zdjęciu, to twój nowy adorator. Muszę pędzić na spotkanie, czekam na twoje wrażenia, *bella*. Pa!

Możliwości są dwie. Albo Wera za dużo pracuje i jest przemęczona, albo obsesyjne uczucie do Juliana zakłóca jej odbiór rzeczywistości. Aż tak się odrealniamy pod wpływem serotoniny? Jak mogło jej przyjść do głowy, że zainteresuję się jakimś przypadkowym Banderasem z wybielonymi zębami, po którym na kilometr widać, że ambicją jego życia jest przelecieć trzysta sześćdziesiąt pięć kobiet rocznie? Owszem, nie widziałyśmy się od wczorajszego ranka, Wera nie może więc wiedzieć, jak radykalnie zmieniło się moje życie i jak bardzo zbliżyłam się do tego, czego od dawna szukałam, ale gdyby nawet nic się wczoraj nie wydarzyło, jak mogła pomyśleć, że ja, dobiegająca czterdziestki kobieta, która wreszcie wie, czego chce, mogłabym reflektować na takiego figo-fago? Swoją drogą, jeśli to mają być ekscytujący znajomi Juliana, to może nic dziwnego, że wciąż nie znamy branży, w której robi swoje światowe interesy. Na szczęście zaraz wyświetliła mi się na wallu

zniewalająca fotka Claudynki. Już miałam chwytać za telefon, by skomplementować jej boską stylizację w uwodzicielskim szafirze, gdy zjechałam kursorem w dół i ciut niżej zobaczyłam grupkę ludzi z górskim widoczkiem w tle. Na zdjęciu oznaczono Cezarego. Wstrzymałam oddech. Tuż obok niego siedział chłopiec, sądząc po rysach — jego synek, a naprzeciwko wpatrzona w nich jakaś laska, obok inna, z dzieckiem i jakimś facetem. Nie ulegało wątpliwości. Ta pierwsza była z nim. Poczułam, jak wzburzona krew pędzi moimi tętnicami, gotowa roztrzaskać ich ścianki i trysnąć na laptop. A wraz z nią wszystko w jednej chwili rozbryzguje się po ścianach. Ten ogród, w którym sadzę hiacynty, które miały nam pachnieć w letnie poranki, jarmuż, który miałam miksować na nasze śniadaniowe koktajle, owoce granatu, które układałabym na pieczonych bakłażanach, hamaki, w których bujalibyśmy się podczas wakacji na kokosowych plażach, szampańskie toasty, które wznosilibyśmy z okazji naszych rocznic. Wszystko chuj strzelił.

Zawołałam Dolcevita i wybiegłam na spacer. Już na Polach Mokotowskich zauważyłam, że odruchowo pokonałam tę samą drogę, co zawsze. Kimkolwiek jesteś, kobietą czekającą na pierwszą noc z mężczyzną, o którym ciągle myślisz, czy tą, która ma to już za sobą i chce jak najszybciej zapomnieć, wybierasz tę samą drogę. Życie jest beznadziejne, a ty się do tego przyzwyczajasz — w tym samym stopniu do drogi, którą chodzisz, i do marzeń, którymi się faszerujesz. Niby już wiesz, że jest zupełnie inaczej, niż myślałaś, ale i tak, wodząc oczami po kawiarnianych stolikach, wyobrażasz sobie siebie z nim. Ty jesteś w niebieskim, on też ma akurat na sobie coś niebieskiego. Choćby te swoje oczy. Potem idziesz przez alejki Pól Mokotowskich i chociaż wiesz, że go tu nie spotkasz, myślisz, że może akurat zadziała jakiś zbieg okoliczności, ciągle oglądasz się więc za ludźmi. Szukasz jego twarzy.

— Piękny kapelusz — skomplementowałam jakąś panią, by przez chwilę nie myśleć o nim jak o swojej kolejnej kłęsce.

— Lubię mieć przy sobie dach nad głową — odpowiedziała kobieta w czerwieni. — A poza tym kapelusz chroni od słońca. Okularów przyciemnianych nie noszę, bo wolę dobrze widzieć, wtedy nie trzeba słuchać.

— Nie lubi pani, jak ktoś ją zagaduje? — zapytałam zupełnie już wybita z natłoku myśli.

— Nie w tym rzecz. Lepiej wyłącznie patrzeć, bo człowiek z wiekiem i tak słyszy tylko to, co chce — odparła staruszka i nawołując swojego yorkshire terierka, oddaliła się.

Przynajmniej na marcowym słońcu można dziś polegać — pomyślałam. Świeci konkretnie i jednoznacznie, nie uciekając się do żadnych metafor. Przy placu Zbawiciela wstąpiłam na kawę. Ledwo przekroczyłam próg, jakaś hipsterska młoda mamusia pouczyła mnie, że z ubłoconym psem nie wchodzi się do kawiarni. Żeby odreagować, sięgnęłam po komórkę i weszłam na bloga. Codzienna dawka lajków dodała mi jak zwykle energii. Oprócz nich czekał dziś jednak na mnie długi komentarz jakiejś zniesmaczonej czytelniczki, która w siedmiu punktach argumentowała, dlaczego mój blog jest w złym guście i że wciskanie tematu seksualności do kulinariów jest wulgarne. Kiedy nabuzowana miałam jej właśnie odpisać, że nie musi go czytać, zadzwoniła matka. Jej świergotliwy głos wywołał we mnie lekki niepokój. Trajkotała o nowych sadzonkach do ogrodu z takim entuzjazmem, jakby chodziło co najmniej o flancowanie diamentów. Czułam, że coś się święci, i nie musiałam długo czekać. Matka od spraw ogrodniczych przeszła niespodziewanie do konfekcji i w pewnej chwili wypaliła z pytaniem:

— Córuś, czy ty możesz mi pożyczyć tę swoją torebkę ze skóry węża, tę kwadratową, wiesz którą?

— Mamo, ale przecież mówiłaś, że ta torebka to szczyt pretensjonalności — odpowiedziałam, czując małą satysfakcję.

— Nic takiego nie mówiłam — zachnęła się. — Może chodziło o jakieś niefortunne zestawienie z sukienką, która była dla ciebie za obcisła, albo coś takiego?

— No, powiedzmy. — Odpuściłam, bo kłótnia z nią byłaby dzisiaj moim gwoździem do trumny. — Wybierasz się na jakiś bal? — zapytałam zaintrygowana.

— Córeńko, w poście nie urząda się balów, idę do opery — powiedziała matka takim tonem, że nietrudno było zgadnąć, jaka to poważniejsza sprawa.

— Rozumiem, że zaprosił cię co najmniej jakiś włoski ambasador — zażartowałam.

— Mieczysław — odparła matka i zawiesiła głos.

— Kto?

— Gdybyś mnie posłuchała, twoje życie też mogłoby już wyglądać inaczej. Dziesięć dni temu byłam w Bydgoszczy u tego uzdrowiciela, a w dwa dni później poznałam Mieczysława.

— Mamo, ty sobie robisz ze mnie jaja?

— Skąd. Następnego dnia umówiliśmy się na kawę i teraz dzień w dzień do

mnie wydzwania, a dziś rano byliśmy na kawie u Bliklego. To już trzecia w tym tygodniu. No i zaprosił mnie do opery. On jest, Lukrecjo, prawdziwym melomanem, nie masz pojęcia, jak pięknie opowiada o muzyce.

To już był szczyt wszystkiego. Trzy kawy w pierwszym tygodniu znajomości? Jeszcze tylko niech mi powie po tej operze, że okazał się wspaniałym kochankiem, który dostarczył jej trzech orgazmów z rzędu. Czy naprawdę sprzysięgły się dziś przeciwko mnie wszystkie złe siły? A może jednak obfitość wszechświata jest dostępna tylko dla wybranych? Dla doskonalszych. Patrząc na Dolcevitę, który strząsnął już z siebie prawie całe błoto i próbował wepchnąć się w wąski klin między nogą taboretu a ścianą, nie przejmując się przy tym faktem, że dąży do niemożliwego, odetchnęłam. Zupełnie jakby chciał mi pokazać, że odwaga popełniania błędów jest *cool*. Nie musimy się mieścić w to, w co próbujemy się wpasować. A mimo to możemy próbować. W tej nieporadności, niedoskonałości jest przynajmniej autentyczność i chwila to radości, to znów nadziei albo beznadziei i płynącego z niej smutku.

Telepatyczny system przyjacielskich pocieszeń ściągnął do mnie myślami Claudynkę. Po tęsknym westchnieniu, że jesteśmy tak daleko od siebie, przeszła od razu do dobrych wiadomości. Właśnie postanowiła stworzyć nową markę bieliznianą dla odlotowych kobiet: Miss Boomboom. Pozyskała już inwestora, który zachwycił się jej wizją i strategią. Zaraz uruchamia całą manufakturę. Słuchałam oniemiała z zachwytem.

— *Bella*, to będzie rewolucja, a ty będziesz moją ambasadorką! — zawyrokowała podekscytowana.

— *Madonno!* Muszę chyba wprowadzić od jutra reżim żywieniowy — zażartowałam.

— Ani mi się waż! To bielizna dla seksownych kobiet, które kochają swoje ciała, a nie dla ofiar reklamowej anoreksji! Właśnie opracowujemy wzory i dzisiaj, uwaga, uwaga... w tę magnetyczną pełnię księżyca pozostającego w znaku Panny, przy słońcu w Rybach, korzystając z idealnej konfiguracji idealizmu i pragmatyczności, wypuszczam afirmację inicjującą.

— Claudynko, czyżbyś dla potrzeb biznesowych zaczęła wierzyć w astrologię?

— Wierzmy we wszystko, co wspiera nasz sukces! — krzyknęła Claudia entuzjastycznie.

— To chyba też zaraz poafirmuję...

— Koniecznie. Słońce będzie połączone z Chironem, a Chiron to nasz Wewnętrzny Uzdrowiciel. Nie ma żartów, możemy dotrzeć do naszych uzdrawiających mocy i ożywić to, co zamarło — wyjaśniła rzeczowo, jak przystało na analityczny umysł.

Wygląda na to, że łatwiej zbudzić bojowego ducha wyobrażeniem, że sprzyjają nam planety, niż go trwale pogrzebać niefortunnym zestawem przypadków. Wystarczy dobra przyjaciółka, zawsze gotowa wzniecić ogień, gdy stygniesz. Claudyna nie tylko dodała mi nowego napędu do zmysłowego podboju kulinarnej rzeczywistości, ale przy okazji rozniosła w drzazgi moją koncepcję poligamii Cezarego.

— Wyluzuj się, *bella*, to nie była kochanka, tylko matka chłopca.

— Ale ona ma już nowego faceta, po co by jechała z Cezarym?

— Dla dziecka.

— To absurdalne!

— Nie, to naturalne, że zaraz po rozstaniu jedzie z żoną na narciarską wycieczkę ich syna. Po prostu organizują dla niego łagodne przejście.

— Ale po co?

— Żeby czuł, że choć tata już nie mieszka w domu, to i tak go kocha, a mamusię szanuje.

— No, plus minus, powiedzmy...

— Nie wkręcaj się, Lukrecjo! Eksperymentuj!

— Wiesz, że jesteś moim słońcem?

— Wiwat przyjaźń!

— Wiwat my! — krzyknęłam.

Lekka jak koliber w okresie godowym ruszyłam przed siebie. Żeby poczuć marcową aurę, rzucić okiem na kaczki, które wystawiają głowy ze stawu, powąchać ziemię, która była już coraz bliższa pierwszego uderzenia wiosny. Przyglądałam się kobietom z wózkami sunącymi w niespiesznym rytmie pod wiatr i małym dzieciom uszczęśliwionym widokiem podbiegających do nich wiewiórek. Wszystko nagle wydało się takie proste, współgrające z rytmem życia. Usiadłam na szczycie amfiteatru, przyglądając się, jak nisko zawieszony marcowe słońce oświetla kolumny na scenie. Zgodnie z zasadą, że nawet jeśli nie działa, to przecież nie zaszkodzi, przymknęłam oczy i zaczęłam szeptać afirmację:

W bezkresie życia, w którym jestem,

*Wszystko jest doskonałe, całkowite i pełne.
Jestem jednością z Potęgą, która mnie stworzyła.
Jestem otwarta na przyjęcie obfitego strumienia
Pomyślności, który ofiarowuje mi Wszechświat...*

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam małego chłopca z dużym słoikiem. W środku trzymał złotą rybkę. Sądząc po torbie ze żwirkiem, którą niosła jego babcia, właśnie wracali ze sklepu zoologicznego. Złota rybka tuż przed pełnią księżyca, scena jak z filmu. Nie mogłam w to uwierzyć. Przypatrywałam się jej przez dłuższą chwilę. Na grację, z jaką wachluje ogonem. I wyobraziłam sobie, jak płynę w błękitnym akwenu, a tuż obok mnie... Chwyciłam za telefon i wysłałam do Cezarego SMS-a: *Może spontaniczny basen dziś wieczorem?* Chłopiec oddalił się. Barwa złoconych łusek ryby przemieściła się łagodnie na tarczę osuwającego się ku zachodowi słońca. Szłam ścieżką dookoła stawu tak lekka, jakby składała się jedynie z serca. Zdawało mi się, że tylko muskam stopami ziemię. To nie będzie zwykła pełnia. Poczułam to. Złota rybka wciąż lśniła mi przed oczami, przywołując bursztynowe korale ciotki Aurelii. Miała ich niezliczoną ilość. Nawet gdy byliśmy na wakacjach i szłyśmy na plażę, też je wkładała. Migotały w słońcu najróżniejszymi odcieniami. Po powrocie do domu zapragnęłam zapiec jabłka na złoty kolor.

Złota rybka w magiczny sposób łączyła się z pełnią księżyca, a złotawa skóra pieczonego jabłka stała się metaforą tego spotkania. Usiadłam do komputera. Myślałam, że zacznę od gwiazd albo raję. Tymczasem, wciąż mając przed oczami złoto, napisałam...

Trudno myśleć o namiętym pocałunku na widok kaszalota. Te największe mięsożerne istoty na świecie kryją się w ciepłych morzach, średnio raz na godzinę wynurzając się na powierzchnię, by zaczerpnąć oddechu. Wyrzucają wtedy z siebie strumień ciepłego powietrza na wysokość jednego metra. O paradoksie, najcenniejsze w kaszalocie jest to, co kryje się w jego przeciążonych i chorych jelitach. To powstająca wskutek niestrawności wydzielina zwana ambrą. Perfumiarze odkryli, że po lekkiej obróbce zyskuje ona ciepły, słodkawy i niezwykle intensywny aromat. Nazywają ją pływającym złotem. Znamcy sztuki miłosnej z Bliskiego Wschodu zaczęli dodawać ambkę do mleka z miodem, by stworzyć pobudzający napój. Podobno właśnie dlatego zabroniono

połowów kaszalotów — poszukiwacze namiętności mordowali je dla ambry. Złożony afrodyzjak świetnie by pasował do dzisiejszej pełni księżyca, ale nie tylko ambra uprzyjemni nam pobyt w miłosnym raju. Wiele może działać również odzwierciedlające kształt pełni pieczone jabłko w cynamonie, wanilii, z dodatkiem syropu z agawy i żurawiny. Zwłaszcza jeśli upiecze je kobieta dla swojego mężczyzny, bo jak mówią niektórzy, to Ewa zrodziła się w raju, a Adam tylko przyszedł tam na ucztę...

Skończyłam. Wzięłam głęboki oddech i poczułam zupełną gotowość na podziwianie dzisiejszej pełni. Zdążyłam jeszcze zmyć naczynia, a złota rybka zaczęła działać. *Basen niekoniecznie, ale może skoczmy do kina?* — napisał Cezary. Byłam gotowa skoczyć nawet na Kilimandżaro. Na szczęście nie musiałam. Umówiliśmy się o dziewiętnastej trzydzieści w Kinotece. Poszliśmy na irański film. Dobrze się zapowiadał i takim ostatecznie się okazał. Film, nie Cezary. On niestety zasnął mniej więcej w połowie i drzemał prawie bezgłośnie aż do napisów. Trzymaliśmy się za rękę, rozłączeni różnymi stanami świadomości. Nie, nie było mi przykro. W końcu to ja wybrałam taki mało dynamiczny film, a on miał prawo być zmęczony po organizacji tego wielkiego eventu. Pewnie wolałby jakieś kino akcji, a tylko po to, by sprawić mi przyjemność, przytaknął temu ambitnemu pomysłowi, którego nie uniosło jego ciało.

Zanim wyszłam do kina, na lodówce Wery przeczytałam kolejną złotą myśl wyrwaną z gazety: *Miłość trzeba pielęgnować jak dziecko, aby się nie zaziębiła, nie zwariowała, nie wyleciała przez okno jak ptak.* Ani przez chwilę nie mogłam o niej zapomnieć. Może dlatego poprawiłam mu odruchowo szalik i dopięłam górny guzik płaszcza, gdy wychodziliśmy na ulicę. Mimo tej dynamicznej pełni księżyca wszystko działo się w lekko zwolnionym tempie. Poszliśmy na hinduską kolację do knajpki na Emilii Plater. Zamówiliśmy pyszny palak paneer i curry. Jedliśmy, dzieląc się daniami. Ja bardzo powoli, on starając się być trochę wolniejszym niż normalnie. Podkład muzyczny nawiązywał do tempa filmu, a rozmowa trochę się rwała. Chyba rzeczywiście był przemęczony. Za dużo pracuje, źle się odżywia, do tego stresy emocjonalne — jak miałby być w formie? Spodziewałam się zupełnej klęski, to znaczy samotnej medytacji o północy na sofie Wery. Tymczasem zaraz po skończeniu kolacji Cezary zaprosił mnie do

auta, odpalił silnik i na wysokim biegu, nie stawiając żadnych pytań, pomknął od razu na Ochotę.

— Może wypijemy przed snem kieliszek Franciacorta? — zaproponował po zdjęciu butów i płaszczy.

— Z przyjemnością! Wznieśmy toast za pełnię.

— A to dlatego jest tak jasno — zauważył i zaciągnął zasłonę.

— Tak, duża moc.

— U mnie to działa chyba na odwrót. — Uśmiechnął się.

— Dla mnie dzisiejsza pełnia jest szczególnie łaskawa. Mocno oddziałuje na mój znak. Do tego wczoraj Wenus przesunęła się prosto na mój księżyc. Czekam bardzo pomyślny okres. W ciągu najbliższych tygodni będzie się działo. — Podekscytowałam się.

— No nie, ty wierzysz w astrologię? — powiedział lekko ironicznym tonem, który nie wróżył nic dobrego.

— Niespecjalnie. Ale podobno nawet jak się nie wierzy, to też działa — odparłam, mrużąc oko.

— Już to widzę.

— Jesteś sceptycznym racjonalistą? — zazartowałam, głaszcząc go po ramieniu.

— Moja pierwsza żona ciągle coś sprawdzała w horoskopach, ale jakoś nigdy nie przekładało się to na życie.

— Skąd wiesz?

— Fakty mówią same za siebie. Miałem mieć troje dzieci i świetlaną przyszłość z nią u boku. — Zaśmiał się.

— Jeszcze możesz mieć troje dzieci i świetlane życie, tylko w innej konfiguracji — szepnęłam.

— Już dwoje wymaga takiej logistyki, że ledwo się wyrabiam — rzucił, uśmiechając się.

— Jaki jest twój znak? — zapytałam

— Jestem bykiem. To dobrze czy źle?

— Każdy znak jest dobry — odpowiedziałam.

Dokładnie w tej chwili zagrzmiały mi w głowie słowa astrolożki, u której byłam kiedyś w Mediolanie, by zrobić sobie horoskop porównawczy z prawnikiem z Lambrate. Spojrzała na nasze kosmogramy, pokiwała przecząco głową i na wstępie orzekła, że niestety on jest bykiem, a energia byka to mój węzeł południowy, czyli to, przed czym w tym życiu powinnam

uciekać, bo już mi się do niczego nie przyda. Poczułam chłód, ale mój instynkt życia od razu szepnął mi, że byk bykowi nierówny, a Cezary to przecież Cezary. Mężczyzna, którego przepowiedziała mi tarocistka. Wzięłam głęboki oddech i napiłam się wina. Tymczasem mężczyzna mojego życia podszedł do lodówki. Wyjął z niej kawałek żółtego sera, pokroił go na plasterki i położył na talerzu. Uzupełnił wino w kieliszkach i włączył jakąś jazzową stację radiową. Po chwili zmienił na inną. Potem na kolejną. Wreszcie wrócił do tego, co na początku. Leciał Kurt Elling w utworze *Dedicated to you*. Zrobiło się nastrojowo. Franciacorta przyjemnie rozprężyła ciało. Siedzieliśmy na brzegu łóżka, przez chwilę w milczeniu słuchając ciepłego wokalu i kojących brzmień. Popatrzył na mnie. Wydawał się lekko senny. Odstawił swój kieliszek, a potem mój. Zaczęliśmy się całować. Wreszcie nigdzie się nikomu nie spieszy — przebiegło mi przez myśl. Rozprężył się. Poczułam jego rękę na plecach. Zwinne wsunięcie się pod bluzkę. Nieporadną szarpaninę z biustonoszem. Lekką kapitulację i pytające spojrzenie w oczach. Pomogłam mu. Poczułam przyływ prądu. Siłę tej pełni. A może własną. Pchnęłam go delikatnie, tak by położył się na plecach. Rozpięłam mu koszulę. Ściągnęłam ją gwałtownie. Potem spodnie. Był prawie bezwolny. Nagi. Jakby bezbronny. Usiadłam na nim.

— Lubisz przejmować kontrolę — szepnął.

— Lubię ciebie — miauknęłam.

Nie protestował. Poddął się chwili. Zaczęłam się po nim zsuwać. Bardzo wolno. Zostawiając językiem ślad. Jak gekon. Od ust w dół. Przez szyję. Obojczyk. Mostek. Zwalniając wokół sutków. Kręcąc okręgi, zniżając się, znów idąc w górę. Potem w dół. Na dłuższą chwilę zatrzymując się wokół pępka. I dalej w dół. Ciągle w dół. Spiał lekko uda. Czuję je pod swoim ciałem. Zeszłam niżej. Do kolan. Wróciłam. Do ud i w górę. Do niego. Zaczęłam go ssać. *Uno... due... uno... due...* W takt ósemek. Napinał nogi. Jakby się bał, że straci samego siebie. Przyspieszyłam. Jego oddech też. Poddawał się moim ruchom i spinał na przemian. *Uno... due... uno...* Nagle zacisnął brzuch. Jęknął. Wstrzymał oddech. Wyrwał się z moich ust. Zacisnął w dłoni jądra. Zrobił wydech i rozprężył się. Ale nie trysnął. Opadł. Twarz zmarszczyła mu się w dziwny sposób. A potem rozluźniła się. Mógł czuć wszystko, mógł nie czuć już nic. Nie umiałam go odczytać. Rozkosz nie różni się od bólu. Położył się na boku. Przymknął oczy. Po chwili jego oddech zaczął zwalniać. Patrzyłam na jego uchylone lekko usta. Gładziłam go po

plecach. Spał jak dziecko, z podkurczonymi nogami.

Zaświergotało. Odgłos budzika wydawał się subtelniejszy niż ostatnio. Czyżby go zmienił po tamtym razie? Nie otworzył oczu. Wsunął rękę i wymacał telefon przy łóżku. Wyłączył go. Obrócił się na bok. Znalazł moją głowę na poduszce. Pogładził moje włosy, a potem mnie objął. Wtulił się w moje ramiona. Oddychaliśmy w tym samym rytmie. Przez krótką chwilę — budzik znów zaświergotał. Ponownie wysunął rękę, ale teraz otworzył już oczy. Ziewnął. Uniósł się na przedramieniu. Przyglądałam się jego rysom. W świetle deszczowego poranka były o wiele łagodniejsze niż dotąd. Może dlatego, że wczoraj dokładnie się ogolił. Wreszcie widziałam kontur jego policzków.

— Pobudka — powiedział zaspanym głosem.

— Jeszcze chwilę — szepnęłam, gładząc jego brzuch w nadziei, że poranek jako pora wyższej witalności w życiu skowronka zadziała na moją korzyść.

— Ochotnicy do kąpieli, wystąp — rzucił.

— Brak — jęknęłam.

— Uuu, niedobrze. — Przewrócił się z boku na plecy i lekko uniósł na poduszce.

— Odwołać kąpiel — miauknęłam, wtulając się w niego.

— Wstawać! — zakrzyknął.

— Nie, przytulać! — powiedziałam prosząco.

— O tej porze?

— O każdej!

— Już późno — powiedział usprawiedliwiająco i wstał energicznie z łóżka.

Zza ściany dobiegał szum. Rytm spadającej wody zmieniał się. Wyobrażałam sobie ruchy jego rąk pod ociekającym strumieniem. Jak przesuwa energicznie słuchawką prysznic. Jak nabrzmiewa jego ciało, jak skóra nabiera lekko czerwonawej, żywej barwy. Wstałam. Na prześcieradle znalazłam kilka swoich włosów. Zostawiłam je, ścieląc łóżko. Niczym zwierzę, które znaczy swoje terytorium. Odgłos rozchlapującej się wody odbijał się echem. Tworzył przyjemne tło, swobodny rytm budzącego się życia. Zajrzałam do lodówki. Znów była prawie pusta. Resztki sera, otwarty karton mleka i dwa jogurty. Na szafce stało napoczęte pudełko kawy. Zamknęłam je, żeby nie wietrzała. Kilka brudnych naczyń w zlewie i pusty pojemnik po kefirze. Spojrzałam na zegarek. Dochodziło dwadzieścia po ósmej. Szum wody ustał. Byłam w gotowości. Chwyciłam sukienkę, ale

przeliczyłam się. Drzwi się nie otwierały. Czynności pielęgnacyjne zajęły mu jeszcze ponad dziesięć minut. Wreszcie wyszedł. Świeży i rześki. Musnął moje ramię. Stał przy szafie, gdzie wisiało kilka przyniesionych z pralni koszul. Chwilę się wahał. Wybrał niebieską. Wygrzebał z pudełka czyste skarpety. Brązowy pasek. Zaczął się ubierać. Wsunęłam się bezszelestnie do łazienki. Poczułam, że głowa mi ciąży. Chyba nie zmrużyłam oka przez całą noc. Na skórze czułam zapach jego ciała. Chciałam go zatrzymać, ale odkręciłam wodę. Nagle łzy napłynęły mi do oczu. Nie rozumiałam, czy to ze wzruszenia, czy może tak działa siła pełni. Puszczaliśmy raz zimną, raz gorącą wodę. Ożywiło mnie to. Olałam kremy, przeczesałam tylko włosy. Kiedy wyszłam z łazienki, już ubrany, zapięty, sprawdzał w telefonie pocztę. Pogłaskałam go po plecach. Chyba się uśmiechnął, ale nie podniósł głowy.

— Zdamy zjeść razem śniadanie? — zapytałam.

— Podwoję cię i może na Zbawicielu wstąpimy na jakąś kawę? — zaproponował.

— Bosko! — Pocałowałam go w głowę.

— Nigdy nie jesz śniadań?

— Kiedyś jadałem, ale dobre czasy się skończyły.

— To trzeba je wskrzesić! — zawołałam entuzjastycznie, w pełni gotowa do tej roli.

— Dobrze by było... — powiedział, parkując w alei Wyzwolenia.

Mniej mi trzeba do szczęścia, niż sądziłam. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie na taboretach przy oknie kawiarni, wpatrując się w siąpiący deszcz. Czułam się jak w kapsule do głębokiego relaksu. Było pustawo. On pił americano z mlekiem, ja espresso z cynamonem. Jedliśmy kanapki. On z indykiem, ja z serem. Nie byłam pewna, czy tak znacznie zwolnił, czy to ja nieświadomie przyśpieszyłam. W każdym razie jedliśmy w podobnym tempie. Przynajmniej ja tak to widziałam. A czyż nie jest właśnie tak, jak myślisz, że jest? Przypomniała mi się kartka, którą nosiłam w kalendarzu może rok temu, a może dwa? Tybetańskie przysłowie. *Mądrość pozbawiona miłości to czysta teoria, a miłość bez mądrości to czysta głupota.* Ideałem jest droga środka, spotkanie pomiędzy głową a sercem, w połowie drogi. Po tylu latach zwodniczych impulsów, błędnych wyborów, nieprzemyślanych zachowań wreszcie poczułam w sobie tę zdolność stania pośrodku. I było to wspaniałe, wypełniające mnie po koniuszki palców uczucie.

— Co będziesz teraz robić? — zapytał Cezary, dopijając resztkę swojej

kawy.

— Zrobię koktajl energetyczny, ćwiczenia oddechowe, potem przeczytam komentarze na blogu, sprawdzę pocztę, wyprowadzę psa.

— Życie jak w Madrycie.

— A za godzinę jestem umówiona z pewnym mężczyzną, który włoży mi coś twardego w usta i będzie tym poruszał — powiedziałam uwodzicielsko.

— Proszę? — odparł zbaraniałym tonem.

— A potem uzupełni ubytek w mojej dolnej piątce — dodałam szybko, bo dalsze budowanie napięcia i jakiegokolwiek wspomnianie o zmysłowej naturze doktora Teofila Byczki, sądząc po zdumionej twarzy Cezarego, byłoby zbyt ryzykowne.

Rozdział 10

Myśl, co chcesz, przestaniesz, kiedy przyjdzie pora

Kiedy już zdobędziesz to, za czym gnałaś, zaczynasz myśleć o każdym detalu, który tworzy twój świat wypełniony nową zdobyczą. Jakbyś poszczególne chwile nowego życia chciała wcisnąć na medalowe podium. Ten stan podniosłości i towarzyszącego mu odrealnienia wypełnia ciało, zalewa myśli. Traci się przez to czujność. Wera zarządziła dziś kobiecy wieczór ze swoją koleżanką Pauliną, zawiadamiając mnie, że czekają o dziewiętnastej w lokalu z ekscytującym widokiem na śródmiejskie dachy i jedzeniem, które zachwyci nawet najbardziej wybredne blogerki kulinarne w mieście. A ja zupełnie straciłam poczucie czasu.

— *Ciao*, dziewczyny, *pardon* za obsuwę. — Wbiegłam cała zdyszana do sali.

— Lukrecjo, ty i spóźnienie?! Świat się kończy. — Wera tryskała dobrym humorem.

— Musi za tym stać nowy kochanek albo stara miłość — zażartowała Paulina.

— Nie uwierzycie, zapomniałam o całym świecie, odpisując na komentarze na blogu.

— Musisz nam zaraz streścić swoje *know-how*. Jak to zrobiłaś, że już masz ponad tysiąc fanów? — rzeczowo wtrąciła Wera.

— Pojęcia nie mam.

— No właśnie, Paulina, a może ty też powinnaś założyć bloga, żeby

rozpropagować swoje szkolenia? Mogłabyś zacząć od komunikacji pozawerbalnej.

— Daj spokój, Wera, ja nie mam czasu się wydepilować, a ty mi tu o pisaniu. Lukrecjo, opowiadaj lepiej, skąd bierzesz tematy do tych erotycznych jedzonek. Czyżbyś je testowała z jakimś, hmm...? Jesteś tak wystrojona, że chyba coś musi być na rzeczy? — cisnęła Paulina.

— O, w mordę jeża, Lukrecjo, teraz to widzę, ty schudłaś! — krzyknęła Wera na pół sali.

— Owszem, tak. Trzy kilogramy w dwa tygodnie. — Zrobiłam triumfalną minę.

— Mów! — krzyknęły równocześnie.

O czymkolwiek rozmawiały przed moim przyjściem, sprawiały wrażenie, jakby wysnuły już kilka hipotez na temat mojego życia uczuciowego. Wyglądały tak pięknie i kobieco, że nie mogłam oderwać od nich wzroku. Obydwie w zwiewnych sukienkach, nad którymi unosił się duch nadchodzącej wiosny, liście, kwiaty, zielenie, żółcie. Wera na koturnach, Paulina w szpilkach. Rozparłam się w wygodnym fotelu i patrząc na emanującą z nich moc, w tym minimalistycznym, nieco skandynawskim wnętrzu, zorientowałam się, że uczucie, iż zaraz się obnażę, jednocześnie mnie przeraża, ale i sprawia mi przyjemność.

— Dziewczyny, to on — wyznałam, patrząc na ich twarze.

— Kto? — zapytały jednocześnie.

— Wreszcie spotkałam faceta, z którym chcę mieć regularne życie, dom, rodzinę...

— Gdzie? — wrzasnęła Wera, a jej oczy rozblysnęły jak dwie ledowe żarówki.

— Mówiłam ci o nim, czułam to od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam. To on.

— Ale kto to jest?! Mów! — Tym razem oczy rozszerzyła Paulina.

— To facet, którego przepowiedziała mi mediolańska wróżka.

— Jaka wróżka? — Zdziwiła się Wera.

— Sorry, tarocistka. Mówiła, że na ziemi przodkiń znajdę mężczyznę życia, że czeka mnie forsa i sukces w biznesie kulinarnym, i to się dzieje. Wszystko się zgadza — wyrzuciłam z siebie.

— Nie chcę cię martwić, ale one zawsze przepowiadają sukces zawodowy, forszę i wielką miłość w postaci przystojnego bruneta — ostudziła mnie

Paulina.

— Ten szczegół akurat nie pasuje, bo miał być blondynowaty, a ja poznałam szatyna — wtrąciłam ze śmiechem.

— No i jeszcze nie wiemy, czy znajdzie się ta forsa, chociaż nie, tu jednak mam jak najlepsze przecucia — dodała Wera, robiąc minę pełną uznania.

Pojawił się kelner, a we mnie zaświtała nadzieja, że może jednak zmienimy temat. Wstęp o przepowiedni to chyba nie był dobry pomysł. Dziewczyny wpadły w wyraźnie kpiarski ton, a ja trochę spanikowałam. Powtarzałam sobie co prawda, że trzeba ustawiać się twarzą do swojego lęku, a nie mu ulegać. W końcu z tego wyrasta odwaga do miłości, do robienia rzeczy, których się boimy, do odczuwania. Ale może to nie był najlepszy moment na takie poważne zwierzenia? Skoro wreszcie spędzam wieczór, celebrując wspólne jedzenie, z zabieganą ostatnio Werą i z Pauliną, której nie widziałam całe wieki, może lepiej przejść do lżejszych wątków? Może wreszcie czegoś się dowiem o tajemniczej naturze Juliana. Zamówiliśmy owoce morza, łącząc, jak przystało na kuchnię typu *fusion*, kontrastujące ze sobą dodatki. Do tego butelka włoskiego wina biodynamicznego, którego nazwę wszystkie słyszałyśmy po raz pierwszy. Na starcie dostałyśmy pierwszorzędną oliwę i wypiekane na miejscu pieczywo bezglutenowe. Smak włoskiej oliwy z kroplą truflowego *basilico* od razu wprowadził mnie w przyjemny nastrój.

— No, ale co z tym facetem? To perwersyjna osobowość albo może ma jakieś rozdwojenie jaźni, no wiesz, coś, co go czyni ekscytującym od pierwszego wejrzenia? — Nie dawała się zbić z tropu Wera.

— Nie, żadnych tendencji regresywnych w rozwoju osobistym, żadnych psychopatów, nałogowców. Dziewczyny, to mój pierwszy idealnie normalny facet.

— Tylko nie mów, że czujesz od pierwszej chwili, jakbyście się znali od kilku wcieleń, bo to gorsze od psychopaty.

— Obawiam się, że już to powiedziała. — Westchnęła Wera.

— Przy pierwszym jego załamaniu weźmiesz to na siebie — zawyrokowała Paulina.

— Ale on już jest po kryzysach, wychodzi właśnie na prostą.

— Jest na terapii? — Zaniepokoiła się Wera.

— Nie, jest dojrzały, bardziej świadomy, a do tego praktyczny i odpowiedzialny. Dziewczyny, dla mnie to ideał.

— Lukrecjo, to niemożliwe, żebyś miała w życiu aż takiego pecha, żeby

przydarzył ci się ideał — zaczęła Paulina.

— Oczywiście, masz bardzo złożoną osobowość, jesteś numerologiczną jedynką, masz naturę eksperymentatorki. Pomyśl tylko, jak mógłby cię dołować taki idealny mężczyzna. — Wera mówiła to pół żartem, pół serio, ale czułam w jej spojrzeniu, że do czegoś zmierza.

— Tak, możesz zacząć się kompulsywnie uidealniać, ludzie w związkach z czasem upodabniają się do siebie — dorzuciła specjalistka od komunikacji.

— A właściwie skąd wiesz, że to ideał, może ukrywa przed tobą jakąś żonę albo kochankę?

— Rozstał się właśnie z żoną, a na kochankę nie miałby czasu, ma firmę, ma syna, no i córkę z poprzedniego małżeństwa.

— Czyli zamierzasz być trzecią żoną? Ryzykowne... — przygasiła mnie Paulina.

— Na pewno będzie zwlekał. Kiedy się rozwiódł z drugą? — zapytała Wera.

— Nie rozwiódł się.

— Jak to? — Wera o mało nie zakrztusiła się winem.

— Formalnie jeszcze nie, ale nie są już razem.

Spojrzały na mnie jak na źle zaparkowany odrzutowiec w Śródmieściu. Jakby nie wiedziały, że każdy atrakcyjny mężczyzna około czterdziestki ma już jakąś żonę, aktualną, byłą albo jeszcze obecną, lecz nieaktualną. Po co tak komplikować sobie życie, by stało się udręką już na tak wczesnym etapie związku, i czepiać się cudzej przeszłości? Nie, nie rozumiałam, o co im chodzi.

— Najgorszy typ to czterdziestolatek, który nigdy nie miał żony — powiedziałam stanowczo. — Bo to znaczy, że boi się odpowiedzialności albo jest wiecznie niezdecydowany, albo jest poligamistą.

— Lukrecjo, prawie każdy mężczyzna jest poligamistą, nie demonizuj — stonowała mnie Paulina.

— Założmy nawet, że się rozwiedzie i że ci się oświadczy, chociaż to na pewno potrwa... — weszła jej w słowo Wera. — A jeśli on ma w swoim horoskopie urodzeniowym rozwodowość? No niby dlaczego się drugi raz rozwodzi, skoro jest taki odpowiedzialny i normalny?

— Wera ma rację, odpowiedzialny nie aspiruje do trzeciego małżeństwa.

— Dziewczyny, litości! Równie dobrze możecie spytać, jak ja się mogłam co chwilę z kimś rozstawać, skoro jestem normalna i pragnę stałego związku

— syknęłam.

Poczułam w sobie ogień. Wera spojrzała na mnie i spuściła wzrok. Widocznie moje wzburzenie objawiło się już błyskawicami w oku. Tymi, które płoną u rozjuszonych wojowników, gotowych połączyć wszystkie dostępne im moce i ruszyć do boju. Kto wie, czym by się to skończyło, gdyby Werze nie zadzwonił telefon. Nie musiałam czekać na to, co powie. Gest, jakim przystawiła słuchawkę do ucha, mówił sam za siebie. Nawet nie spojrzała na wyświetlacz. Zorientowałam się, że wybrała dla Juliana osobny sygnał dźwiękowy w komórce. Nie myliłam się, Wera przysłoniła słuchawkę i szepnęła do nas:

— Julian wrócił z Kaukazu, jest w okolicy z kolegą na drinku, pyta, co robimy i czy nie chcemy do nich dołączyć?

— Niech oni dołączą do nas. — Ucieszyłam się.

To było wspaniałe posunięcie, jakiś łut szczęścia wyzwolił mnie od drażenia tematu Cezarego. Nie musiałyśmy długo czekać. Julian z kolegą pojawił się, zanim jeszcze nasze dania wjechały na stół. Obydwaj wyglądali imponująco. Mieli na sobie muchy. Julian czerwonokrwistą z czarnymi motywami, jakby był tancerzem flamenco, a jego kolega ciemnozieloną w białe prążki. Marynarki w stylu brytyjskim, u Juliana koszula w bladym odcieniu różu, a u kolegi Piotra — klasyczna biała. Julian, który kochał swoją aurę tajemniczości i ciągle się nią bawił, nie ujawnił ani przyczyn założenia much, ani powodów, dla których był na Kaukazie. Wyraźnie podekscytowany zaczął za to opowiadać o wojowniczych narodach mieszkających na zboczach gór trudno dostępnych dla najeźdźców. To dzięki położeniu swoich wiosek te nacje skutecznie oparły się obcym wpływom, zachowując pradawne obyczaje i tradycje swojej kuchni. Gdy przeszedł do bogactwa aromatów i smaków, zupełnie się rozpląnął. Nasze wytwory morza w wersji *fusion*, które kelnerzy postawili na stole, wydawały się przez chwilę wypłowiałą wersją marnej rozkoszy w zderzeniu z tymi zapachami dymu i wędzenia, kwasowości, kiszienia, marynowania i najrozmaitszych użytych do tego ziół. Zapachniało chorowacem z baraniny w pomidorach i cebuli. Chaszem, który wydawał się dokładnie tym, co nasz gulasz. Dotarły do nas aromaty wieprzowiny w winogronowych liściach, czyli dolmy, którą my nazwalibyśmy gołąbkami. Julian zachwycał się nawet lawaszem — ormiańską świętością dnia powszedniego, plackami chlebowymi przyklejanymi do ścian pieca.

— Nie wiedziałam, Julianie, że masz aż taką mięsożerną naturę —

zazartowałam.

— Jestem otwarty na każdą skrajność, Lukrecjo, a krwistą w szczególności — odpowiedział, unosząc w charakterystyczny dla siebie sposób brwi.

— No a tutejsi ludzie? — zapytała Paulina.

— Otóż to! Wyraziste smaki to tylko cząstka rozkoszy — powiedział podniecony Julian. — Prawdziwą atrakcją jest sama sztuka biesiadowania.

— Która prowadzi do marskości wątroby? — zazartowała Wera.

— Do palpacji — szepnął Julian.

Lubił niedomówienia, ale w tym przypadku był bardzo konkretny. Chodziło mu o coś więcej niż tylko lejące się strumienie alkoholu. O wiele bardziej ekscytował się śpiewem, gościnnością, samą potrzebą ciągłego ucztowania, w której płonie wewnętrzny ogień spajający ludzi. Rozpalone oczy Juliana rzeczywiście odzwierciedlały zachwyty, którego musiał doznawać w ciągu tych kilku dni. Wera wpatrywała się w niego z takim pragnieniem, że chwilami zdawało się, jakby spijała każde jego słowo. Wstrzymywała nawet oddech. Obserwowałam to z zaciekawieniem. Do czasu, aż zabrzączał mój telefon. Czułam, że to Cezary. Nie mogłam się powstrzymać, by nie sprawdzić. Pytał tylko, co słyhać. Odpisałam od razu, licząc, że to jedynie przystawka, by rozbudzić mój apetyt. Nie myliłam się. Po chwili znów zadzwieczał SMS. Sięgnęłam pospiesznie do torebki.

— Lukrecjo, czyżbyś się z nami nudziła? — usłyszałam zaczepny ton głosu Piotra.

— Wiem, wiem, to barbarzyństwo naszych czasów — szepnęłam, odpisując na SMS-a z propozycją pójścia jutro wieczorem na koncert jakiegoś kolegi Cezarego. — Przepraszam, już kończę — usprawiedliwiłam się.

— Jesteś jak cząstka kwantowa. Wiemy, że istnieje, ale nigdy nie wiemy gdzie — podkreślił się Piotr.

— Może to kobieca tęsknota za byciem nieuchwytną? — podchwycił Julian.

— Bez przesady, kobiety wolą, by je chwytać, a nie ciągle tylko gonić — miauknęła Wera.

— A co, jeśli to lęk współczesnej kobiety przed przeżywaniem rozkoszy, która, jak wiadomo, wymaga pewnej uległości? — brnął dalej Piotr.

— Ależ ja właśnie ją przeżywam, nawet pisząc SMS-a — wypaliłam, lekko zniecierpliwiona.

— Kobieta, która przeżywa rozkosz ze swoim telefonem, a nie z facetem, to oznaka upadku cywilizacyjnego — orzekł Piotr.

— Ale upadku kobiet, czy raczej mężczyzn? — wsparła mnie Paulina.

— Podejrzewam, że telefon ma większe zasługi w szerzeniu rozkoszy niż viagra — powiedziałam może nazbyt bojowo.

— Skąd ta pewność? — zapytał Piotr.

Nieoczekiwanie Julian stanął na wysokości zadania. Sprytnie podjął temat rozkoszy, przekierowując rozmowę na wizje przyjemności, które planuje zapewniać na swoim nowym tarasie. Właśnie się przeprowadził i niebawem zrobi dla nas kolację powitalną.

— Co proponujecie jako danie otwarcia? — zapytał.

— Owoce morza? — rzuciła Paulina.

— Może szparagi? — zaproponowałam. — Zaraz zaczyna się sezon.

— Popieram szparagi — krzyknęła Wera.

— Ja też jestem za — dorzucił Piotr.

— I ja, i ja — dołączyła Paulina.

— A więc szparagi, falliczne monumenty otwarcia.

— Za dwa tygodnie już będą dobre, pomogę ci je przyrządzić — zadeklarowałam ochoczo.

— Jestem zaszczycony. — Julian wzniósł toast: — Za nasz wieczór, ten i kolejne!

Stuknęliśmy się kieliszkami. Wera, która jak zwykle w obecności Juliana sprawiała wrażenie ciut odurzonej i nie do końca było wiadomo, kiedy słucha, a kiedy wyłącza się z rozmowy, teraz nieoczekiwanie, z typowym dla niej poczuciem konkretności, gdy chodziło o sprawy biznesowe, zmieniła temat.

— Julianie, a co z mieszkaniem, z którego się wyprowadziłeś? Może znaleźć ci lokatora? — zapytała.

— Do wakacji będzie stało puste, a jesienią zamieszka tam moja kuzynka, która przyjeżdża na studia do Warszawy. Możesz tam więc, Werciu, uwięzić sobie jakiegoś kochanka, którego chciałabyś w tajemnicy przed światem torturować i konsumować na różne sposoby — odpowiedział Julian, obdarzając nas najbardziej uwodzicielskim ze swoich spojrzeń.

Twarz Wery przybrała odcień bladozielonkawy. Na szczęście nie wszystkim było dane to zobaczyć, bo smuga rozpraszającego się na stole światła lampy sufitowej odgradzała ją od Juliana i Piotra. Dlaczego on jej to robił? Naprawdę nie czuł, że te prowokacyjne żarciki masakrują jej serce? Był aż tak nieświadomy, czy tak bardzo obojętny na płomień, który rozżarzał się w każdej części ciała Wery na jego widok?

— To może ja je od ciebie wynajmę do końca wakacji? Właśnie szukam czegoś dla siebie — zaproponowałam.

Powiedziałam to głównie po to, by ratować sytuację. Uwolnić wyobraźnię Wery od tych wszystkich myśli, które musiały, jak sądziłam, właśnie przetaczać się przez jej głowę. O potencjalnych zasznurowanych kobietach, które być może Julian przelatuje wtedy, kiedy do niej nie dzwoni. Kobietach, a może mężczyznach? Albo o trójkątach, czworokątach, w dowolnych konfiguracjach płciowych, w których mógł się odnaleźć każdy, ale nie pożądana go do szaleństwa Wera. Julian przyjął propozycję z wielkim entuzjazmem. Wera jakby z mniejszym. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście tak bardzo nie chce, żebym się od niej wyprowadzała, czy może ten koncept, że osadzę się nagle w przestrzeni, którą przez kilka ostatnich miesięcy zamieszkiwał Julian, wydał jej się zbyt dziwny. Kiedy wracałyśmy we dwie spacerem do domu, zrozumiałam jednak, że zdążyła się już przyzwyczaić do mojej obecności, dzięki której nie czuje się już tak samotna. Próbowałam obrócić to w żart.

— Werciu, wreszcie znów rozkwitnie twoje życie erotyczne.

— O czym ty mówisz? — zapytała.

— No wiesz, śpiąca na sofie przyjaciółka może ci odstraszać potencjalnych kochanków.

— Zwariowałaś?

— Przecież to działa jak energetyczna blokada. — Zaśmiałam się. — A poza tym tak mnie nastraszyłyście, że Cezary będzie się ociążał, że muszę przyspieszyć proces udomowienia go.

— Zamierzasz robić mu rosółki? — Zaśmiała się Wera.

— Rosółki, kotleciki i kanapki z wędlinką — wyliczałam, śmiejąc się na głos.

— Najlepiej z serduszkami z musztardy.

— Owszem, żeby w jego firmie wiedziały o nas wszystkie laski, które na niego polują.

— Może dodasz nawet termosik z herbatą.

— Albo z ziółkami na żołądek.

— Albo lepiej na tę twoją właściwą florę bakteryjną jelit — dorzuciła Wera.

Śmiałyśmy się obydwie jak wariatki. Jednak czułam, że pod tym śmiechem, który tak bardzo chciałam w Werze wywołać, skrywał się narastający smutek.

Ani mnie, ani Paulinie nie mogły umknąć drobne gesty przy stole, gdy Wera zbliżała ku Julianowi rękę, a on lekko się usuwał. Tym bardziej znacząca była chwila pożegnania, gdy Wera, całując go w policzek, chciała przyłgnąć do jego klatki, kładąc mu rękę na plecach, a on odruchowo się odsunął. Zablokował ramiona, jakby to byli waleczni strażnicy jego serca, którzy wystawili tarcze na znak, że nigdy tam Wery nie wpuszczą.

Zbliżała się północ. Moja przyjaciółka wyglądała na zmęczoną. Wzięła prysznic i po chwili światło w jej sypialni zgasło. Ja jeszcze wierciłam się w łóżku, myślami byłam już przy końcówce jutrzejszego wieczoru, w sypialni Cezarego. Nagle dopadło mnie dziwne przygnębienie. Galopada myśli rozpałała mi głowę. A jeśli żona zostawiła go dlatego, że był beznadziejnym kochankiem i nigdy nie miała z nim orgazmu? Musiał przecież istnieć jakiś powód, dla którego rozbiła swoje małżeństwo z tak atrakcyjnym gościem. A może to tylko okresowe zmęczenie, ta jego niska wydajność erotyczna? Wyobraziłam sobie mieszkanie Juliana, do którego za chwilę się przeprowadzę. Na pewno ma wielkie okna, przez które wpada dużo słońca. Ogromne łóżko. Może okrągłe albo przynajmniej kwadratowe. Jutro kupię sobie pościel z jakimś zmysłowym motywem. Pomyślałam o krwistej czerwieni. Chociaż nie, będę wciąż zbyt pobudzona. Nabawię się od tego bezsenności. Przed oczami stanęła mi mucha Juliana, ognista, hiszpańska w tonacji. Wstałam. Przyniosłam do łóżka laptop. Odpaliłam blog. Zaczęłam swój nocny post od marzenia starego jak świat — by kochać się częściej, dłużej i lepiej — marzenia, które bzyczą nam w głowach jak mucha. No właśnie...

*Niektórzy pokładają nadzieję w musze. Nie tej bzyczącej, tylko hiszpańskiej. Ale jeden z najśłynniejszych afrodyzjaków świata tak naprawdę niewiele ma z muchą wspólnego. Tak zwana hiszpańska mucha to mieszanka substancji, w której skład wchodzi wyciąg z afrykańskiego chrząszcza *Cantharis vesicatoria*. Główny składnik tego proszku — kantarydyna, zasłynął dzięki robionym z niej cukierkom, serwowanym przez markiza de Sade'a na urządzanych przez niego orgiach. To przez te cukierki trafił do więzienia, po tym, jak przesadził z częstowaniem dwóch dziewcząt, które zmarły z przedawkowania. Kantaryda pobudza zakończenia nerwowe i błony śluzowe układu moczowo-płciowego. Wywołuje uczucie gorąca i pieczenie, które*

podnieca. Ale prowadzi też do ucisków w pęcherzu, awarii w przewodzie pokarmowym i bolesnych erekcji. Może więc jako inspirację nabyć sadzonkę muchołówki amerykańskiej (Dionaea muscipula), której waginalne liście pobudzą wyobraźnię. A podniebienie osłodzić anyżkami, zamiast torturować się muchą? Kruche ciasteczka z dodatkiem anyżu to afrodyzjak subtelniejszy, ale nie przynosi żadnych skutków ubocznych.

Zapisałam plik roboczy i z czułością pomyślałam o anyżkach, które upiekę rano, żeby zweryfikować przepis i zrobić fotkę dla czytelników. Przede wszystkim jednak po to, by ich działanie wypróbować jutro wieczorem na Cezarym. Zasnęłam ukojona tą przyjemną myślą. Miałam erotyczny sen, w którym Cezary zaoferował mi seks oralny. Ułożył mnie na łóżku wyściełanym czerwoną bibułą, która szeleściła przy każdym ruchu jego języka. Obudziłam się, czując, że ktoś liże moją rękę. Niewykluczone, że Dolcevito robił to już dość długo. Wera chyba znów nie zdążyła wyprowadzić go na spacer. Poszliśmy w kierunku Morskiego Oka. W połowie drogi zaczęło siąpić. Katar był ostatnią rzeczą, której pragnęłam dziś wieczorem, zawróciłam więc, wstępując do sklepu po składniki na ciastka. Już po półgodzinie cały dom wypełnił się przyjemnym, słodkavo-anyżkowym zapachem. Na chwilę wpadła Wera, przyniosła mi klucze do mieszkania Juliana ze spisana przez niego instrukcją. Wręczając mi je, wyraziła nadzieję, że będą tam karaluchy i wrócę do niej po tygodniu. Zaanonsowała również, że ten cały Piotruś, kolega Juliana, zaprasza nas w piątek wieczorem na jakiś pokaz mody. Dodała, że bardzo cisnął, więc niewykluczone, że któraś z nas wpadła mu w oko. Zawahałam się.

— Nie wiem, czy będę mogła pójść — jęknęłam.

— A gdzie się wybierasz? — Zaciekawiała się Wera.

— Jeszcze nigdzie.

— Nie rozumiem.

— A jeśli Cezary będzie chciał mnie gdzieś zabrać w piątek?

— O rany, chyba naprawdę się zabujałaś. Zamierzasz teraz zarezerwować się dla niego na dwadzieścia cztery godziny na dobę, na wypadek gdyby zadzwonił? — Zaśmiała się Wera.

— Masz rację, przeginam.

— A poza tym, gdyby nawet się okazało, że w piątek się z tobą nagle żeni, to

powiedzenie *tak* w sprawie pokazu mody tym się różni od ślubu, że powiedzenie *nie* na chwilę przed imprezą nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji — powiedziała, wykrzywiając groteskowo twarz.

— Kocham cię, *bella!* — miauknęłam.

— No, mam nadzieję, że nie zmieni tego nawet jakiś tam nadidealny Cezary!

— Nie, to będzie trwało już raczej *forever*.

— Uff... Muszę pędzić, Lukrecjo!

— Weź sobie trochę anyżkowych ciastek.

— O, świetnie, uwiodę nimi potencjalnego nabywcę apartamentu przy ulicy Podchorążych — krzyknęła na pożegnanie i popędziła.

Patrzyłam na krople deszczu zsuwające się w różnych tempach po szybie i myślałam o dzisiejszym wieczorze. Może zabrać ze sobą produkty na jutrzejsze śniadanie? Na pewno lodówka Cezarego znów nie da mi szansy, by przygotować dla nas niezapomniany posiłek. Ale czy to nie przegięcie iść na koncert z torbą z pudełkami? Zrezygnowałam, pocieszając się myślą, że za dwa dni się przeprowadzę, za dwa następne zaaranżuję nowe miejsce i wtedy zaproszę Cezarego na kolację, a rano zrobię mu śniadanie, które będzie wspominał do końca naszego życia. Nakręciłam papiloty i już miałam siadać do komputera, kiedy nagle poczułam niebezpieczny zew i podeszłam do pudełka z kartami tarota. Przetasowałam, zadając pytanie: czy tej nocy przeżyjemy coś głębszego? Wyciągnęłam kartę szesnaście, Wieżę ogarniętą pożarem. Usiadłam, złapałam oddech, czyżby to był ogień namiętności? Sięgnęłam po książkę z interpretacjami, która oświeciła mnie, że Wieża chyli się ku upadkowi, uderzył w nią piorun, wokół szaleje wiatr, a dwie postacie próbują uratować się z katastrofy. Karta oznacza kryzys, konflikt lub rozpad.

To jednak idiotyzm i strata czasu — pomyślałam. Po co Wera trzyma tutaj takie bzdury? Zajęłam się rozpisywaniem planów na pierwszą kolację dla singli, która miała się odbyć już w kwietniu. Układanie menu, odpisywanie na maile i komentarze i czytanie o nowościach kuchni izraelskiej pochłonęły mi cały dzień. Wzięłam prysznic i zdecydowałam się na czerwoną, odciętą w pasie sukienkę, która wydobywała moje wcięcie w talii, wypracowane w ciągu ostatnich tygodni na pilatesie.

Zanim dotarłam do kawiarni w Pałacu Kultury, deszcz unicestwił moje seksowne fale na włosach, a błoto przyozdobiło mi rajstopy pollockowską mozaiką. W sali było duszno i tłoczno. Cezary przysłał SMS-a, że zaraz będzie. Przesiedziałam kwadrans przy barze, popijając kwaśne wino,

i poczułam, że siada mi nastrój. Koncert już się zaczął, kiedy zobaczyłam przeciskającego się przez tłum Cezarego z rozpiętymi połamami płaszczem. Wyglądał na rozkojarzonego. Przywitał się pospiesznie, zamówił sobie wino i usiadł na taborecie obok. Po kilkunastu minutach, poderwany odgłosem dzwoniącego telefonu, wyszedł na zewnątrz. Muzycy raczej improwizowali, niż grali konkretne utwory, ale po półgodzinie zaczęłam nawet znajdować w słuchaniu pewną przyjemność. Cezary zamówił dla nas drugą kolejkę. Kiedy ją dopijaliśmy, koncert się skończył. Kolega muzyk, który grał na saksofonie altowym, niewysoki, krępy blondyn w wieku Cezarego, podszedł do baru. Zawołany przysiadł się do nas. Panowie zaczęli wspominać zespół jazzowy, w którym razem grali w czasach liceum. Obserwując nagłe ożywienie, jakie ten obraz wywołał w Cezarym, zaczęłam się zastanawiać, czy los muzyka jazzowego nie jest jego niespełnionym marzeniem. Parę minut po dwudziestej drugiej zaproponował, żebyśmy się zbierali, bo robi się późno. Ochoczo przytaknęłam. Wspomnieniowe gawędy trochę mnie już nudziły, a poza tym nie chciałam oddalać chwili, kiedy będziemy już tylko we dwoje. Deszcz wciąż siąpił. Wsiadliśmy do złapanej na ulicy taksówki.

— Na aleję Wyzwolenia poprosimy — powiedział Cezary do kierowcy.

Zbaraniałam. Jeszcze przez chwilę łudziłam się, że jazz i wspomnienia z młodości obudziły w nim głód nowych wrażeń i zapragnął mnie czymś zaskoczyć. Jakimś ulubionym miejscem ze swojej młodości. Ale zanim dojechaliśmy pod kamienicę, w której mieszkała Wera — i wciąż jeszcze ja — złudzenia przysły.

— Dziękuję za miły wieczór — powiedział.

— Może jeszcze wstąpimy na kieliszek wina? — Uchwyciłam się brzytwy, gdy taksówka stanęła.

— Raczej nie, późno już.

— A może chcesz wejść do mnie na chwilę?

— Innym razem, muszę jutro wcześniej wstać — odpowiedział lekko zniecierpliwiony, całując mnie w policzek.

— W takim razie miłych snów.

— Do zobaczenia — rzucił i zamknął drzwi.

Przez chwilę jeszcze stałam na siąpiącym deszczu, patrząc za znikającą w ciemności taksówką. Czułam, jak po policzkach spływają mi łzy. Mieszały się z kroplami deszczu i tuszem, tworząc żałobne smugi. Nie czułam potrzeby, żeby je wycierać. Cofnęłam się w stronę placu Zbawiciela. Było pustawo,

choć przez szyby dało się dojrzeć niedobitki siedzące w kawiarniach. Szłam pogrążoną we śnie ulicą Mokotowską, przy której stały zaparkowane nieliczne samochody. Nie było żadnych przechodniów. Skręciłam w ulicę Piękną i zatrzymałam się przed budynkiem, w którym niebawem miałam zamieszkać. Nie dostałam jeszcze kluczy. Nie mogłam zobaczyć okien od mieszkania, wszystkie wychodziły podobno na dziedziniec. Przyglądałam się fasadzie. Próbowałam sobie wyobrazić, jak za cztery, pięć dni wysiadamy z tej samej taksówki, co dzisiaj, przed tą bramą. Wbiegamy na górę i Cezary zaczyna mnie całować, a potem naprzemiennie spijamy sobie z ust prosecco i jemy ser z figami, kąpiemy się w płatkach róż w wielkiej, dwuosobowej wannie i wreszcie turlamy się przyciśnięci do siebie każdym kawałkiem ciała na wielkim łóżku w jedwabnej pościeli.

Jakaś staruszka podeszła z psem do drzwi i wstukała kod. Sięgnęłam do torebki, gdzie miałam pudełeczko z anyżkami, którymi zamierzałam dziś karmić Cezarego. Otworzyłam je i jedząc jeden za drugim, poczłapałam zmoknięta do domu Wery.

Rozdział 11

Nowe miejsca otwierają nowe ścieżki

Z głębokiego snu wyrwał mnie telefon. O ósmej dziesięć dzwonić mogła tylko Claudynka, która wstawiała bladym świtem i o tej porze miała już za sobą z dziesięć czynności, wliczając w to jakiś wyczyn sportowy. Mogła więc, pochylona nad poranną kawą, odbywać właśnie coś na kształt przerwy na drugie śniadanie. Nie pomyliłam się.

— *Ciao, bella*, jak życie? — zaczęła.

— W wyobraźni jestem po dwustu brzuszkach, a w życiu zmagam się z zejściem z łóżka. A u ciebie, *my dear*?

— Ho ho, czyżby późnonocny seks?

— *Dreams, dreams, dreams...* — jęknęłam.

— A ja przechodzę katusze w zagłębieniu bieliźnianym. Wyobraź sobie, chcę zrobić od razu trzy serie: seksowną na co dzień, seksowną na wyuzdane randki oraz sportową dla nowoczesnej generacji.

— Te katusze to przez perwersyjną?

— Skąd! Perwersyjny seks to pikuś w porównaniu ze sportem. Federacja narciarska wydała teraz nowe przepisy przepustowości majtek dla zawodników.

— Co takiego?

— To jest jak wyścig zbrojeń. Bielizna sportowa Hi-Tec ma już takie możliwości, że dzięki niej dalej skaczesz, szybciej zjeżdżasz na nartach...

— *Bella*, o czym ty mówisz?

— Chodzi o to, że przez krocze nie przelatuje ci powietrze. Masz dzięki temu niesamowity napęd. To jest wspaniałe, ale zastosowanie tych udogodnień, to znaczy specjalnych materiałów, to straszne koszty.

— Mówię ci, zrób najpierw serię na popęd. Tę na napęd, sportową, wyprodukujesz następnej zimy.

— Laski teraz wolą sport od seksu.

— Żartujesz?! Na popęd jest zawsze większe zapotrzebowanie.

— A co z twoim? Ćwiczysz miednicę? Masz lepsze orgazmy? Ten z niebieskimi oczami z kawiarni aktualny?

— Aktualny, ale nie miałam z nim jeszcze orgazmu, jeśli mam być szczerą.
— Westchnęłam.

— Może problem leży w szczęce? — powiedziała Claudynka zatroskanym tonem. — Jak zaczniesz ją luzować, to pójdzie łatwiej. Niestety, jeśli jesteś zabujana, prawdopodobnie zaciskasz twarz z emocji. — Jak zwykle starała się być rzeczowa i pomocna.

— Nie, on po prostu się w ogóle nie rozkoszuje w łóżku, zero. Po trzech minutach kończy, ale nie tryska. Może ja go nie pobudzam?

— Nonsens. Masz totalny seksapil i najkorzystniejszy wskaźnik biodrowo-taliowy pod słońcem, na pewno poniżej 0,7. Albo ma niskie libido, albo jest poligamistą, który się zakochał i boi się, że cię zrani. Ma dużego?

— Jest normalny, średni — odpowiedziałam rzeczowo.

— To odpada. Zwolennicy wojny plemników twierdzą, że samce gatunków monogamicznych nie muszą się obawiać konkurencji, więc mają narządy małe i średnie, a poligamiści duże, bo muszą eliminować plemniki rywala.

— Zawsze to jakieś pocieszenie. — Westchnęłam.

— No ale wiesz, bądźmy szczerze, z niedużym członkiem może być monogamistą seryjnym — weszła mi w słowo Claudynka.

— Biorąc pod uwagę, że na ostatniej randce w ogóle nie poszliśmy do łóżka, to obawiam się...

— Lukrecjo, bez paniki! Raz mógł źle się czuć i bał się fiaska. Może był zmęczony?

— A jeśli speszyło go zrobienie laski na poprzedniej randce? Może ma blokadę na seks oralny?

— Mężczyźni dzielą się na tych, którzy potrafią dostarczyć satysfakcji językiem kobiecie, i na tych, którzy tego nie potrafią, ale nie istnieją na tej planecie mężczyźni, którzy nie lubią laski, *sorry*. — Claudynka wpadła

w swój ulubiony ton eksperta. — Prawdopodobnie on jest niekompetentny.

— Wiedziałam, że za pięknie się zapowiadało — jęknęłam.

— Po prostu musisz mu zainstalować Lickstera!

— Co takiego?

Na szczęście podczas rozmowy włączyłam ekspres i właśnie doczekałam się mojego espresso. Ciężkie tematy domagały się kofeinowej bomby. Przyjemny zapach wdarł się w nozdrza, a ja zanurzyłam usta w kawie. Od razu poczułam się lepiej. Oparłam nogi o ścianę i wpatrując się w słoneczne światło dnia, czekałam na instrukcje Claudynki.

— Chcesz powiedzieć, że w tej twojej Warszawie nie widzisz jeszcze facetów, którzy liżą swoje telefony?

— Co? Claudynko, zlituj się! — jęknęłam ubawiona.

— Zaraz ci wyślę link do tej aplikacji. Uczy mężczyzn, w jakim tempie lizać cipki. Przykładają język, gdy na wyświetlaczu przesuwają się do góry kropka. To jest rewelacyjne, mówię ci.

— Wow!

— To doprowadzi do pokoleniowej zmiany. Miejsce hipsterów zajmie niedługo generacja licksterów.

— Skąd ten optymizm?

— Mężczyźni już czują, że odradza się matriarchat, więc zaczynają podwyższać swoje kompetencje. Przyszłość należy do nas, *my dear!* — krzyknęła Claudynka.

To było w niej niezniszczalne. Nie ma takiego tematu, dla którego nie znalazłaby optymistycznego zakończenia. No, może za wyjątkiem Giovanniego. W tym przypadku optymizm najwyraźniej ostatnio jej siada. Zapytana, jak idzie jego terapia dla seksoholików, napomknęła tylko, że problem jej chłopaka być może polega na tym, że uważa to, z czym walczy, za większe od niego, a tak naprawdę większe jest to, co walczy w nim. Można było się domyślać, że oznacza to chwilowe zarzucenie ścieżki terapeutycznej albo, co gorsza, ożywienie kontaktów z asystentką. Nie miałam odwagi dobijać Claudynki tym pytaniem.

To był ten dzień. Zabrałam ze sobą Dolcevita, żeby było mi różniej. Już w progę, ze spakowaną walizką i wielką torbą szpargałów, w które obrośłam przez ostatnie tygodnie, zatrzymałam się. Spojrzałam na półkę z pudełkiem od tarota. To trochę jak nałóg. Ostatni raz, na pożegnanie, powiedziałam do siebie. Przetasowałam karty i wyciągnęłam jedną, mówiąc na głos: co teraz? Wypadła karta numer trzy — Cesarzowa. Dojrzała, piękna i zadowolona z siebie kobieta siedząca na tronie. Otoczona symbolami dostatku. W opisie przeczytałam, że to karta władczyni, która panuje nad przestrzenią. Należy do niej cały materialny świat. Symbolizuje dostatek, stabilność, równowagę, płodność, zadowolenie z życia, matczyne instynkty. Cmoknęłam kartę i odłożyłam ją do pudełka. Zniosłam manele i zapakowałam je do taksówki. Wera uprzedziła mnie, że numer mieszkania — dziewiętnaście — przyniesie mi szczęście, bo suma cyfr daje wynik „jeden”. A jedynka to ja i symbol początku.

Wzorzysta posadzka w koła wprawiła mnie w zachwyt, gdy tylko weszłam na klatkę. Styłowe drewniane balustrady tworzyły przyjemną aurę ciepła. Gdy otworzyłam kluczem drzwi, zaparło mi dech. Słońce wlewało się przez ogromne francuskie okna falą oceanicznych wprost rozmiarów. Wypełniało całe wnętrze. Było tak jasno, jakby jakiś reflektor oświetlał każdy kąt mieszkania. Na wysokim suficie umieszczono piękną białą rozetę. W kątach — subtelne sztukaterie. Stara drewniana podłoga delikatnie skrzypiała. Kuchnia otwarta na duży salon była wyposażona w dwa imponujące piekarniki, zmywarkę i ogromną lodówkę. Znalazłam nawet garnki. Łóżko w sypialni nie było aż tak wyrafinowane, jak się można było spodziewać. Za to widok z niego na dachy i niebo był jak kadr wycięty z francuskiego filmu o miłości. Mebli ustawiono tylko kilka: sofa, stół, krzesła. Dzięki temu miało się wrażenie przestronności. Być może najlepiej specyficzną naturę Juliana oddawała łazienka, której wszystkie ściany od sufitu do podłogi wyłożono lustrami. Wywoływało to lekko schizofreniczne uczucie. O, rozkoszy! Była nawet wanna. Po kilku tygodniach dostępu jedynie do prysznicza wydawało się to luksusem na miarę domowego basenu z jacuzzi. Dolcevito wyraźnie wyczuł stan mojej ekscytacji, a może nawet coś więcej, o czym ja nie miałam pojęcia — zapachy jakichś minionych orgii, po których nie było już widzialnego śladu. W każdym razie ganiał jak oszalały i merdał ogonem, poszczekując przy każdym zakręcie. W sypialni w białej doniczce na parapecie sterczał dziwny badyl z jednym liściem. Przypominał trupa. Po co Julian go tu zostawił, skoro

tak dokładnie wszystko wysprzątał? Nie było ani jednej jego rzeczy, poza akcesoriami kuchennymi. Zrobiłam listę potrzebnych drobiazgów, wróciłam do mieszkania Wery zostawić psa i ruszyłam na zakupy. Gdy obładowana w dwie wielkie torby, spocona i podniecona zarazem wkroczyłam do swojego nowego domu, zadzwoniła matka. Trajkotała jak nakręcona, relacjonując, co ostatnio zwiedziła z Mieczysławem i jakich jego przyjaciół już poznała. Dodała, że mają w planie wyjazd na Wielkanoc do Białowieży.

— To znaczy, że nie zobaczymy się w święta? — przerwałam jej w końcu, zaskoczona.

— Lukrusiu, zobaczymy się w Wielkim Tygodniu, ale w sobotę już wyjeżdżamy. W Wielki Czwartek idziemy na dziewiętnastą na koncert na Stare Miasto. Mogłabyś dołączyć, ty nigdzie nie bywasz, nie interesujesz się muzyką...

— A może przyjdziecie przed koncertem do mnie na kawę? Właśnie wynajęłam mieszkanie — przerwałam niebezpiecznie rozkręcający się wywód.

— Świetnie! Ale po koncercie, bo przed nie zdążymy, jesteśmy już gdzieś umówieni.

— Mamuś, to chyba za późno, nie chcę, żebyś wracała po nocy kolejką do domu.

— Córkuś, będę przecież nocować u Mieczysława na Żoliborzu, a poza tym on ma auto — oburzyła się.

— To wy już?... — zająknęłam się, zupełnie nie mogąc sobie wyobrazić, że moja pełna obsesji i natręctw matka sypia w domu jakiegoś facia, którego zna raptem kilkanaście dni.

— Och, Lukrusiu, jeśli chodzi o seks, to Miecio jest jak dziki tygrys.

— Jak co?

— Naprawdę, zupełny zwierzak. No i ma niesamowite imponderabilia — podekscytowała się. — Wiesz, on uwielbia świntuszyć. Ciągłe każe mi się wypinać przed lustrem i pokrzykuje do mnie: ty moja dzika suczko, no patrz, patrz, jaka jesteś piękna! I wykręca mi głowę, to go strasznie podnieca.

— Mamo! — Nie mogłam złapać oddechu.

— Sama widzisz, ma charyzmę. No a potencję taką, że... Naprawdę, koło pięćdziesiątki już się u facetów nie zdarza, żeby mogli trzy razy z rzędu, a on...

— To on jest od ciebie młodszy? — zapytałam z nadzieją, że matka coś

pokręciła.

— Raptem o jedenaście lat, ale wiesz przecież, że ja nie wyglądam na swój wiek, wszyscy myślą, że jestem o pokolenie młodsza.

— I ten Mieczysław też tak myśli?

— Oczywiście. Córuś, kończę, do zobaczenia w czwartek. Oddam ci tę wężowatą torebkę, może pożyczysz mi teraz jakąś inną, bo z tą już wychodziłam ze trzy razy z rzędu, nie chcę się powtarzać.

Nastawiłam ekspres, żeby ochłonać. Popijając kawę, powoli wypakowywałam z toreb kupione szpargały i układałam je w szafkach. Powlekłam nową pościel. Rozwiesiłam ubrania w szafie. Zadzwoiłam do dawnego sąsiada z Mediolanu, w którego piwnicy zostało kilka pudeł z moimi rzeczami, i poprosiłam, żeby wpuścił panów z firmy transportowej. Zamówiłam ich na przyszły tydzień do przewiezienia moich rzeczy do Warszawy. Wygrzebałam z torby białą szalwzię i podpaliłam ją. Okadziłam po kolei ściany każdego pomieszczenia, wszystkie kąty, półki i szafki. Na koniec dogasiłam kadzidło, otworzyłam okna na oścież i poszłam zanurzyć się w wannie. Nie mogłam sobie wyobrazić mojej leciwej matki uprawiającej seks, a już tym bardziej faceta, który krzyczy do niej: ty suczko. A może ten Mieczysław to najlepsze, co mogło ją teraz spotkać? Kto wie, czy nie przysłuży się i mnie. Horyzont jej zainteresowań zupełnie się zmienił, nie zadaje mi już pytań o perspektywy zarobkowe, nie dręczy mnie poradami. Ale co, jeśli to jakaś straceńcza miłość do psychopaty, który zaraz ją rzuci i wpędzi w depresję?

Odłożyłam na bok zamartwianie się katastrofami, które jeszcze się nie wydarzyły. Pomyślałam o ciotce Aurelii. Może jej gen szaleństwa właśnie zbudził się u mojej matki? Ciekawe, czy matka posunęłaby się do tego, żeby zainstalować jakiemś Mieczysławowi w telefonie aplikację do lizania cipek? Wybuchnęłam śmiechem na samą myśl. Ubrałam się pospiesznie, wsunęłam buty i zbiegłam na dół. Szłam bardzo szybko, przyglądając się pobliskim witrynom. Wreszcie wypatrzyłam kwiaciarnię. Były tam! Zupełnie, jakby na mnie czekały. Piękne hiacynty, dokładnie takie, jakich pragnęłam. Kupiłam dwa w doniczkach. Do tego jeszcze dwie różowe lilie, z których emanowała dzika słodycz. Doniczki postawiłam w sypialni, po dwóch stronach tego uwiędłego badyła, którego zrobiło mi się żal, więc postanowiłam go nie wyrzucać. Lilie trafiły na stół. Ich zapach wypełnił w jednej chwili całą powierzchnię salonu i wdzierał się dyskretnie do pozostałych pomieszczeń.

W szafce znalazłam miskę z węzowym wzorem. Wyłożyłam na nią mandarynki. Obrałam jedną ze skórki. Przyjemny aromat zderzył się z wonią lilii i zawisł nad stołem. Przyjrzałam się misce. Torebki z kobry, misy z węża, uwaga na męża! Może to dobry tytuł? Zaśmiałam się i odpałam laptopa. Zaczęłam pisać pierwszy post w nowym domu.

Kobry działają na wyobraźnię. Ale nie dlatego giną. Od lat notuje się w Azji drastyczny spadek ich liczebności. Przedmiotem pożądania są przede wszystkim ich mięso i krew. Mięso je się w postaci marynowanej, natomiast krew dodaje się do koktajli, które wzniecają pożądanie. Podobne właściwości ma skóra jaszczurki. Puszczą się na nią gorącą parę, prasuje, suszy na słońcu, a potem ściera na proszek, który spożywa się jako podniecający libido. Ale nie trzeba pić i jeść takich paskudztw. Podobno wystarczy przewiesić przez ramię torebkę z węzowej skóry, a sam jej widok już będzie działać na erotyczną wyobraźnię i pobudzać. Proponuję podbić ten efekt marokańskim ciastem węzem. Spiralna m'hanncha jest uwodzicielska, aromatyczna i słodka. Pachnie migdałami. Nie jest ani łatwa, ani szybka, ale szalenie efektowna...

Spojrzałam na zegarek i aż się wzdrygnęłam. Włożyłam czerwoną sukienkę, żeby dodać ognisty akcent do mojej pierwszej nocy w nowym domu. Jeszcze tylko szpilki, mocne usta i rzęsy. Wszystko grało. Wyrwałam z notesu kartkę i napisałam: *Żyj tak, jakby to było to!* Przykleiłam ją na lodówce i wyszłam z domu. Na schodach zatrzymałam się na chwilę. Lukrecjo, do boju! Wyciągnęłam telefon i wysłałam do Cezarego SMS-a: *Zapraszam cię na przedświąteczną kolację w środę o 19, kiss.*

Wera czekała na mnie w aucie. Była w wyśmienitym humorze. Wreszcie podpisała umowę na sprzedaż mieszkania, z którym zmagala się od kilku miesięcy. Wyglądała jak demon seksu z serialu, którego jeszcze nie znam, ale chciałabym go oglądać. Miała na sobie obcisły kombinezon w geometryczne wzory, który opinał jej pupę, biust i podkreślał w niej wszystko, co najpiękniejsze. Jeśli Julian dziś nie padnie u jej stóp, to znaczy, że jest gejem — pomyślałam.

Razem z Piotrem wyczekiwali na nas przed wejściem do Soho. Obydwaj w klasycznym wydaniu. Elegancko i na czarno. W środku królowały srebrne i zielonkawe światła. Bardzo chłodne. Gęsty tłum jak agrestowy kisiel wypełniał futurystycznie udekorowaną przestrzeń. Panowie wzięli dla nas z tacy roznoszone przez kelnerów drinki i podeszliśmy razem bliżej wybiegu. Zaczęło się. Wyginałam szyję, żeby wyłapać detale. Szlachetność form, odwaga połączeń i bezkres fantazji. Piękna bielizna przesuwiała się przed naszymi oczami, umieszczona na pięknych ciałach. Panowie nas nie uprzedzili, że to ona będzie bohaterką pokazu. Starłam się zapamiętać szczegóły, by streścić jutro wszystko Claudynce.

— Nogi to najlepszy symbol nieskończoności, jaki znam — szepnął do mojego ucha Piotr i zaczął tę nieskończoność utrzymywać swoją komórką.

— Analizujesz modę pod kątem symboli? — zapytałam nieco ironicznie.

— Nie śmiałbym analizować, ja tylko podziwiam. Takie długie nogi są jak droga do wieczności.

— Nawet najdłuższe nogi gdzieś się kończą. — Julian nieoczekiwanie wybawił mnie z opresji, podając nam kolejne drinki, które wprawnym gestem wyłowił z tacy przechodzącego kelnera.

— W zbiorowej męskiej świadomości, która włada teraz tą salą, nie kończą się nigdy — odparował Piotr.

— Ciekawe, czy w tej zbiorowej świadomości są tu sami samce alfa, wielcy zdobywcy i herosi, którzy wywracali świat do góry nogami, czy też jacyś poszukiwacze prawdziwych uczuć — palnęłam nie wiem po co.

— W tej świadomości musi być wszystko, nawet strach przed kastrującymi laskami — zaatakował Piotr.

— O! Z tym herosi chyba jakoś sobie radzą — bąknęłam.

Zrobiło mi się gorąco. Wyszłam do łazienki. Spojrzałam na telefon. Nie odpisał mi. Minęły prawie trzy godziny, a tu pustka. A jeśli ten cały Piotr ma rację? Może wyglądam na kastrującą heterę? Może Cezary też się mnie obawia, dlatego zaczął się wycofywać? Od tamtego wieczoru, kiedy odstawił mnie pod dom i zawinął się, minęło już chyba z pięć dni. Ani raz się w tym czasie nie odezwał. Pewnie powinnam była grać w jakąś grę pod tytułem *Zdobytaj mnie długo i wytrwale*. Tak radzą wszystkie podręczniki dla

singielek zainteresowanych zmianą statusu. W ten sposób rozpalilibym jego serce, wzniciłabym w nim namiętność... Czy naprawdę ciągle musimy coś udawać? Nie możemy mówić i robić tego, co czujemy, po tylu latach emancypacji? Przeciskając się przez salę, poczułam, jak dopada mnie przygnębienie. Zaczęłam spoglądać na męskie twarze i widziałam w nich tylko myśliwych, którzy wyruszyli z dzidami na łowy. Całe to pomieszczenie wydało mi się nagle rezerwatem straconych nadziei. Marzyłam tylko o tym, żeby stąd uciec. Wreszcie dobiłam do miejsca, w którym stali moi znajomi. Zauważyłam, że Wera też nagle straciła humor. Była dziwnie spięta. Stała zapatrzona w dal, zupełnie nieobecna, milcząca. Muzyka była na tyle głośna, że milczenie aż tak nie uwierało, mimo to atmosfera zrobiła się sztywne. Czyżby coś tu zaszło pod moją nieobecność? Możliwe, że Julian znów coś palnął albo Piotr rzucił słowo o Julianie, które ją zraniło. Nie mogłam odczytać tego z jej twarzy. Zapragnęłam już stąd wyjść. Położyć się do łóżka w mojej czystej, nowej pościeli.

— Nie wiem jak wy, ale ja dziś mam swój pierwszy raz, dlatego muszę już się zbierać — odważyłam się wreszcie przejść do akcji.

— O, brzmi interesująco, czy jesteście zaproszeni? — podchwycił Piotr.

— Nie tym razem. — Próbowałam zdobyć się na uśmiech. — Właśnie się przeprowadziłam i marzę, by zasnąć po raz pierwszy w moim nowym łóżku.

— Ooo! — Podekscytował się Julian. — Lukrecjo, niech ci się przyśnią lubieżne sny.

Twarz Wery ożywiła się. Zapewniła, że wypija raptem jeden kieliszek i może prowadzić auto, więc mnie odwiezie. Pożegnałyśmy się, zostawiając nieco rozczarowanych panów, i ruszyłyśmy do wyjścia. Julian rzucił jeszcze za nami, żebym dzwoniła, gdybym czegoś potrzebowała albo gdyby coś w domu było nie tak.

— Uff, to było najlepsze, co mogłyśmy zrobić, *bella*, zwinąć się stamtąd — szepnęła w aucie Wera, trudno powiedzieć, czy bardziej do mnie, czy do siebie.

— Coś się stało? — zaryzykowałam pytanie.

— Ciągle się coś dzieje, Lukrecjo, tylko albo nie tam, gdzie się spodziewamy, albo nie to, o co nam chodziło — odparła.

Nie miałam odwagi o nic więcej dopytywać. Znałam tę jej ucieczkową formę ucinania dyskusji okrągłym, wieloznacznym zdaniem. Wera robiła to z wielką wprawą, odkąd ją znałam. Teraz patrzyła tym swoim nieobecnym

wzrokiem w przednią szybę. Była smutna. Pogłaskałam ją po ramieniu. Kiedy cisza zaczęła gęstnieć, Wera włączyła radio. Z odbiornika poleciał głos Nory Jones:

*Come away with me in the night,
Come away with me.*

Rozdział 12

To, czego się boisz, przychodzi, kiedy się nie spodziewasz

*Dramaturgia zbliżenia seksualnego opiera się na tym, że kobieta otwiera się na bycie spenetrowaną, a mężczyzna z determinacją dąży do penetrowania. Przeczytałam to w jakiejś gazecie i uczyniłam mottem dzisiejszego wieczoru, od momentu, gdy dwa dni temu Cezary wysłał mi SMS-a: *Jeśli wciąż aktualne, to chętnie przyjdę*. Wygląda na to, że karta, którą wyciągnęłam w dniu przeprowadzki, działa. Czuję energię cesarzowej od pierwszego poranka, kiedy obudziłam się w tym dostojnym, pustawym wnętrzu w mojej jedwabnej pościeli. Od rana świeciło intensywne słońce, a w skrzynce mailowej czekała na mnie propozycja poprowadzenia w maju kulinarnych warsztatów w ramach wiosennego wyjazdu integracyjnego jakiejś korporacji. Od razu zabrałam się za ustalanie szczegółów. Poza tym potwierdziłam u Juliana termin pierwszej kolacji dla singli. Dopracowałam szczegółowo menu. Ledwo ogłosiłam informacje na blogu, już siedmiu chętnych wpłaciło zaliczkę — to ponad połowa planowanej grupy. O dziwo, przeważali mężczyźni. Zapowiadało się więc lepiej, niż myślałam. A dziś czekała mnie świąteczna kolacja z Cezarym. Byłam w zupełnej ekstazie i robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby on z determinacją dążył do penetrowania, a ja — żebym miała szansę zostać spenetrowaną. Przygotowałam przepiórcze jaja w płatkach róż, halibuta w tajskich ziołach, a na deser wielkanocną paschę z bakaliami, żeby poczuł się wyjątkowo, a jednocześnie przytulnie, jak w domu podczas świąt. Nowe zasłony w sypialni popsikałam delikatnie*

pobudzającym olejkiem ze specjalnie skomponowanej na ten wieczór mieszanki, która miała obudzić drapieżne pożądanie korzennym bukietem imbiru, szafranu i kminku, wzniecać falę namiętności akordem bergamotki, grejpfruta i jaśminu, utrzymując ten stan dzięki nucie pizma, ambry i agarowego drewna. Jako że moja waga już na to pozwalała, bo schudłam kolejne dwa kilogramy, wsunęłam się w dopasowaną sukienkę w szafirowym kolorze, z małym wycięciem na plecach. Byłam gotowa pół godziny przed czasem i żeby nie zwariować, odpaliłam laptop. Przygotowałam specjalnie dla niego jazzowe klimaty. Puściłam Kurta Ellinga.

Minuty wlekły się niemiłosiernie. Otworzyłam bloga. *Z jajami nie ma żartów* — zatytułowałam wpis.

Romantykom proponuję przepiórcze w płatkach róż, a ci, którzy lubią ekscesy i podboje, jeśli wybierają się akurat do Azji, mogą zjeść balut. To tradycyjna potrawa kuchni wietnamskiej, laotańskiej, kambodżańskiej i filipińskiej. Przyrządza się ją z zapłodnionego kaczego jaja, wewnątrz którego znajduje się zarodek. Przysmak to ekskluzywny i dość drogi. Uchodzi za rarytas za sprawą swoich właściwości afrodyzjakalnych. Ja pozostanę jednak przy jajach przepiórczych i nadziei, że mężczyzna, na którego czekam, doceni ich smak...

Dźwięk domofonu rozległ się kwadrans po dziewiętnastej. Cezary przyniósł wino i pocałował mnie w policzek, zanim jeszcze zdjął płaszcz. Pachniał swoją zielonkawą soczystą nutą przechodzącą w pizmo. Miał na sobie błękitną koszulę, która podbijała odcień jego oczu, przywodząc na myśl Morze Adriatyckie. Zachwycił się mieszkaniem, choć nie zadał żadnych pytań odnośnie do lustrzanej obsesji w łazience. Otworzył wino, rozsiadł się wygodnie i zaczął opowiadać o pewnym incydencie z nagłośnieniem jednego z jego eventów. Potem zademonstrował mi zdjęcie roweru, który kupił dla syna. Ja wniosłam przepiórcze jaja w płatkach róż. Docenił ich smak. Jadł wyjątkowo powoli. Starał się.

— A co to za kolacja dla singli? — zagadnął nagle. — Czytałem zapowiedź na twoim blogu.

— Tak, organizuję ją zaraz po świętach, jestem w ferworze przygotowań.

— Będę zaproszony?

— A uważasz się za singla? — zapytałam, starając się ochłoniąć z zaskoczenia.

— A trzeba będzie pokazać jakiś dokument na wejściu? — zażartował, chyba nie rozumiejąc, o co pytam.

— Rozważę to — powiedziałam, próbując nadać rozmowie zabawny ton.

— Jestem bardzo ciekawy. A czy będą jakieś specjalne potrawy na tę okazję? — drążył temat.

— Na każdą okazję robię tylko specjalne potrawy, mój drogi — odparłam. — A teraz już czas na specjalnego halibuta.

Wniosłam rybę, chcąc wreszcie zmienić temat. Ostatnią rzeczą, której pragnęłam, było widzieć, jak jakaś urocza singielka zaczyna konwersować na kolacji dla singli z Cezarym, sądząc, że to idealny mężczyzna jej życia. A ja im serwuję afrodyzjakalne przystawki. Na samą myśl przeszedł mnie dreszcz. Cezary przyspieszył z rybą i zaczął opowiadać o dolegliwościach artretycznych swojej matki. Nie bardzo wiedziałam, jak mu przerwać, więc starałam się tłumaczyć sobie fakt, że zwierza mi się z tak intymnych szczegółów z życia swojej rodziny, bo zamierza już wkrótce wprowadzić mnie na jej łono. Jadł coraz szybciej. Nie posądzałam go o to, że przestał się starać. Pomyślałam, że to raczej determinacja w dążeniu do penetracji zaczyna już działać. Wyraził komplement pod adresem ryby, ale w pewnej chwili skrzywił się tak sugestywnie, że kiszki podskoczyły mi do gardła. Wbiłam w niego pytające spojrzenie.

— O, *sorry*, przestraszyłem się, że wypadło mi coś z zęba — powiedział. — Rano byłem u dentysty — dodał wyjaśniająco.

— Zabolało cię?

— Nie — odpowiedział, wyjmując coś z ust. — Na szczęście to nie ząb.

— Może to jakaś przyprawa? — zapytałam troskliwie.

— Najwyraźniej. Dziś robili mi kanał, straszna męka.

— Czyżbyś też się nie znieczulał u dentysty? — zapytałam z niedowierzaniem.

— Unikam tego jak ognia. Lubię czuć, co się dzieje, i mieć nad tym kontrolę — wyjaśnił.

Odebrało mi na chwilę mowę. Nie dość, że był odpowiedzialny, poważny, przedsiębiorczy, to jeszcze był pierwszym mężczyzną w moim życiu, który tak jak ja nie znieczulał się u dentysty. Mało tego, potrafił jeszcze nadać temu znaczenie. Pomyślałam, że prawdopodobnie utożsamia usta z epicentrum

prawdziwych doznań. Zaczęłam już sobie wyobrazać jego zęby na moim ciele, kiedy zadzwonił domofon.

— To moja przyjaciółka, Wera — wyjaśniłam szybko, widząc jego zaskoczone spojrzenie. — Wpadła tylko na sekundę, żeby podrzucić mi psa do opieki, bo jutro wyjeżdża.

Otworzyłam drzwi, a Dolcecito zaczął z radości na mój widok biegać jak świeżo doładowana zabawka na baterię. Po chwili ochłonął i ułożył się pod stołem. Przedstawiłam Werę, która przywitała się w, jak na nią, dość powściągliwy sposób. Przeprosiła za zakłócenie wieczoru, usprawiedliwiła się, że musi już lecieć, ucałowała mnie i poszła.

— A jak się ma pies twojej córki? — zagałam, żeby poczuł się jak w domu i wreszcie trochę się odprężył.

— Przez pierwsze dni było świetnie, ale potem jej matka zaczęła się skarżyć, że to ona musi z nim wychodzić na spacer, bo Zosia ciągle się nie wyrabia.

— Nawet miłe nawyki wymagają dyscypliny — odpowiedziałam dwuznacznie, bo w wyobraźni nie byłam już przy tej stygnącej na stole rybie, lecz pływałam w wielkim oceanie, w pełni otwarta na bycie penetrowaną.

Już miałam zaproponować deser, kiedy poczułam nieprzyjemny zapach, który jak błyskawica przeszył powietrze unoszące się nad stołem. Znieruchomiałam. Nie, nie mogłam sobie tego wyobrazić, żeby Cezary wypuścił w niekontrolowany sposób gazy. Wszystko, tylko nie to. Niestety prawda była tylko jedna i nie mogłam udawać, że jej nie dostrzegam. Zwłaszcza że Cezary podniósł się, przeprosił na chwilę i udał się do łazienki. Niczym torpeda otworzyłam okno i zamachałam zasłoną. Kiedy usłyszałam odgłos spuszczonej wody, przymknęłam je, decydując się na pozostawienie uchylonego lufcika. Powietrze zdążyło się wymienić, zanim Cezary znów usiadł przy stole.

— Zjesz jeszcze trochę ryby? — zapytałam.

— O nie, dziękuję.

— Nie smakowała ci.

— Wprost przeciwnie, jest pyszna, ale już naprawdę jestem pełny.

— Podam deser. — Mówiąc to, wstałam od stołu.

Zmieniłam płytę w iTunes na Cassandrę Wilson i wyjęłam z lodówki paschę. Tuż przy stole mało jej nie upuściłam, bo znów poczułam, jak uderza we mnie błyskawica smrodu. Nie mogłam już mieć żadnych wątpliwości. Na

naszej romantycznej kolacji ktoś puszczał bąki, i to na pewno nie byłam ja. Wstałam pod pretekstem podania nalewki do deseru i otworzyłam okno. Powietrze szybko się wymieniło i znów wszystko wróciło do normy, a ja do praw biologii, wyobrażając sobie siebie jako penetrowaną, a jego jako penetrującego. Odzyskałam pełną otwartość.

— Wspaniałe, cóż to?

— To pascha wielkanocna — wyjaśniłam, trochę zaskoczona jego pytaniem.

— Nie znam. Ale jest boska. Nigdy u mnie w domu nikt takiej nie przyrządzał.

— To wersja prawie identyczna jak ta, którą robiła na święta moja babcia, a potem mama.

— Widzę, że u was zamiłowanie do kulinariów jest dziedziczne?

— Owszem, mamy coś takiego w genach — odpowiedziałam.

— Pozazdrościć, o mojej rodzinie nie można tego powiedzieć.

Witaj, triumfalna chwilo wieczoru. Chciałam krzyknąć ze szczęścia, ale za dużo było do stracenia. Pascha musiała mu nie tylko uświadomić stratę, której doznawał przez lata, ale obudzić w nim nadzieję na to, co może go czekać. Czy po takim zaostreniu apetytu mógłby jeszcze poddać się jakiegokolwiek chwili zwątpienia? Musi już czuć, że trafił do raju i dostał szansę na pobyt z nieograniczoną datą ważności.

— Może jeszcze trochę nalewki z pigwy? — zaproponowałam.

— Nie, dzięki, ale jeśli mógłbym, to chętnie napiłbym się kawy — odpowiedział.

— Oczywiście. — Wstałam, żeby nastawić ekspres. — Lubisz z mlekiem, prawda? — Chciałam, żeby się czuł, jakbyśmy pili tę kawę zawsze razem.

— Właściwie to nawet nie wiem, czy lubię z mlekiem, czy bez. Piję kawę z mlekiem, bo moja pierwsza żona zawsze mi taką robiła, druga tak samo — odpowiedział.

— ...a jak spędzasz święta? — zapytałam tylko po to, żeby powiedzieć cokolwiek po tym ciosie, który właśnie padł.

— Sam bym chciał to wiedzieć. Jednak porozumieć się z moją drugą żoną to nie jest taka prosta sprawa, czekam na jej decyzję. Chciałbym, żeby dzieci mogły pobyć z moją mamą — powiedział. — Ale właśnie, muszę się już zbierać, bo jutro rano odwożę mamę do lekarza.

Prawdopodobnie gdy człowiek trafia przypadkiem do zamrażarki, czuje się mniej zmrożony niż ja w tej chwili. Nie odpowiedziałam ani słowem. Po

chwili milczenia po prostu wstałam od stołu. On też się podniósł. Odprowadziłam go do przedpokoju. Podziękował wylewnie za pyszną kolację. Dolcevito wybiegł spod stołu, niczym reprezentant mojego głosu w sprawie, i zaczął donośnie szczebrać, jakby chciał zagłuszyć jego słowa. Gdy niedoszły mężczyzna mojego życia włożył już płaszcz, pocałował mnie w policzek.

— Do zobaczenia, dobrej nocy — rzucił i wyszedł.

— Dobranoc — szepnęłam.

Przytuliłam się do psa i leżałam bardzo długo, wsłuchując się w rytm jego bijącego serca. Uspokajał mnie. Chyba przysnęłam. Obudziło mnie jego nerwowe kręcenie się i skamlenie. Domagał się wyjścia na zewnątrz. Włożyłam płaszcz, czapkę, szalik i wyszliśmy w środku nocy na wspólny spacer nowymi dla niego ulicami. Wilgotny chłód osadzał się na skórze twarzy, przenikał ją. Wiatr wdzierał się pod ubranie. Ulice miasta, wymarłe i puste, poddawały się cieniom rzucanym przez budynki. Dolcevito truchtał w rytm moich kroków. Mrok trochę koił, a trochę ogłuszał. Włożyłam słuchawki i wybrałam w telefonie folder z muzyką francuską. Po chwili zadźwięczał mi w uszach przeszywający głos Dalidy: *Pour ne pas vivre seul on vit avec un chien...* Słowa piosenki, jakby chciały się z niej wymknąć, zaczęły wirować w powłoce nocy. Odbijały się od budynków i wracały do mnie echem.

By nie żyć samotnie, żyjemy z psem...

By nie żyć samotnie, czekamy na wiosnę...

By nie żyć samotnie, kochamy dziewczyny...

By nie żyć samotnie, modlimy się do gwiazd...

By nie żyć samotnie...

Spałam jak dziecko. Obudziłam się po dziewiątej. Słońce nieśmiało wdzierało się do pokoju. Wiatr poruszał zasłonę przy otwartych drzwiach balkonu. Aromat, którym wczoraj ją skropiłam, przyjemnie otulał nozdrza. Matka odwołała dzisiejszą wizytę, informując mnie SMS-em, że zmienili z Mieczysławem plany i jadą do Białowieży zaraz po śniadaniu, wpadną więc po świętach. Nawet się ucieszyłam. Erupcja jej szczęścia mogłaby mnie dziś poparzyć. Olałam brzuszki, wypiliśmy wodę z sokiem z cytryny i zabrałam się za odpisywanie na komentarze na blogu. Po otwarciu skrzynki mailowej podskoczyłam z radości. Czekala na mnie propozycja napisania artykułu

o zdrowych, energetyzujących napojach do magazynu o fitnessie. Zachciało mi się żyć! Włożyłam leginsy, seledynowe adidas i szalik w podobnym odcieniu. Wybiegłam z psem na kawę.

Znowu tłoczno. Przy stolikach zazwyczaj jednopłciowe duety. Panowie posuwający naprzód sprawy świata. Dziewczyny omawiające swoje małe kłeski. Czasem jakaś para albo single wbici w ekrany swoich laptopów. Przypatrywałam się ciałom. Które z nich minionej nocy przeżywało rozkosz, a które wtulało się samotnie w swoją poduszkę? Wprawne oko pewnie umie dostrzec, kto od dawna zasypia sam, powoli się kuli, zamyka przed światem, traci grację. Galopadę myśli przerwał telefon. To Wera dzwoniła z pociągu do Wrocławia.

— *Ciao*, jak tam po ekstazie minionej nocy?

— Było uroczo, ale niekompletnie — powiedziałam ironicznym tonem.

— Chcesz powiedzieć, że upił się i zasnął?

— Gorzej, nie upił się i nie został na noc, tylko zmył się po deserze — jęknęłam.

— *Bella*, będę szczera, wy w ogóle do siebie nie pasujecie. To widać na pierwszy rzut oka: energetycznie, wyglądem, no w ogóle — walnęła Wera.

— Ale ja nie zakochałam się w nim dlatego, że jesteśmy podobni czy że do siebie pasujemy, ja zakochałam się w nim po prostu, rozumiesz to? — jęknęłam.

— Kochana, *pardon*, już się zamykam. A jak pies?

— Lepszy niż mąż, ciągle jest, kocha i nie robi scen. — Zaśmiałam się.

— Otóż to. Wiwat, Dolcevito! Pięknego dnia, zadzwonię wieczorem, bo teraz strasznie przerywa, lofka.

Postanowiłam dziś zrobić sobie dzień miłości do siebie samej. Zaczęłam od zakupów, żeby móc przygotować świąteczne potrawy. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że sama spędzam święta. Na ziemi swoich przodków, tu, gdzie ich duchy miały kibicować mi w szczęściu, tu, gdzie miał czekać na mnie mężczyzna życia, spędzam swoje pierwsze po latach święta sama jak kołek! Spojrzałam na Dolcevita i poczułam wdzięczność do Werki, że jadąc do rodziców na Wielkanoc, zostawiła mi go pod opieką. Już sam jego widok wzbudza we mnie falę czułości. Podobno mózg nie odróżnia marzeń od życia. Jeśli coś sugestywnie sobie wyobrażasz, mózg czuje się tak, jakby to działało się naprawdę. Japońscy miłośnicy mangi potrafią nasycić się już nawet widokiem opadających skarpetek u bohaterów w kreskówkach. Wzruszenie tym

widokiem zaspokaja ich potrzebę relacji, przywołuje wspomnienie miłego stanu z dzieciństwa, kiedy jeszcze czuli się kochani.

Przytaczałam zakupy, upiekłam dwa mazurki i babkę. Postanowiłam, że i tak urządzę te święta. Dla siebie i dla czytelników mojego bloga. W przerwie spakowałam kostium i pojechałam na basen. Sauna, jacuzzi z roztworem magnezu i kilkanaście długości basenu przywróciły mnie do życia. Rześka i lekka popędziłam na przedświąteczny pilates. Wisienką na torcie było kino. Kiedy już byłam w drodze, zadzwoniła Claudynka.

— *Ciao*, nie przeszkadzam? — zapytała jakby trochę nieswoim głosem.

— Jesteś jak gwiazdka z nieba. Obchodzę właśnie dzień miłości do samej siebie — odpowiedziałam. — A u ciebie Hi-Tec bieliźniany, perwersyjny czy rozkosze życiowe?

— Lukrecjo, koniec z Giovannim — jęknęła Claudynka.

— Co?

— Wyprowadził się — szepnęła.

— To niemożliwe, może wpadł w panikę przedświąteczną, bo nie chce jechać do twojej matki? Wiesz, według statystyk najwięcej par przechodzi kłótnie i rozstania właśnie...

— ...wyprowadził się do tej chudej pindy z wystającym kuprem!

— Tej swojej asystentki?

— Pojechali razem w Alpy.

— Powiedział ci to?

— Wiedziałam, zanim jeszcze mi powiedział.

— Claudynko, a może przyjedziesz do mnie na święta, będzie cudownie — rzuciłam.

— Nie, żadnych ludzi, żadnych świąt, chcę się gdzieś zaszyć — wyrzuciła z siebie zboląłym głosem.

— Ale tutaj jestem tylko ja, pies Wery i moja pełna świątecznych dań lodówka.

Claudynka twardo obstawała przy swoim, powtarzając, że potrzebuje samotności i nie nadaje się, by ruszyć się z domu. Przestałam naciskać. Wymogłam na niej tylko, żeby odbierała ode mnie telefony albo chociaż odpisywała na SMS-y. Jeszcze nigdy nie słyszałam u niej tak przygaszonego głosu. Tym razem to chyba stało się naprawdę. Od tylu lat ciągle wisiało w powietrzu i nagle się urzeczywistniło. Najgorsze było to, że jednocząc się całym sercem z bólem Claudynki, w głębi duszy czułam dziwną ulgę, że

wreszcie ten dziad zniknie z jej życia. Giovanni był najbardziej niezrozumiałą częścią natury Claudynki i być może jej największą kłodą u nogi. Dotarłam do kina w przygaszonym nastroju. Kupiłam bilet i już miałam wchodzić na salę, gdy... Mrugnęłam kilka razy powiekami, żeby upewnić się, czy to się dzieje naprawdę. Cezary stał z jakąś długowłosą szczebioczącą do niego blondynką w drugim końcu sali i czekał na ten sam seans co ja.

Rozdział 13

Wszystko się zaczyna między niebem a ziemią

Tulipany są czulsze niż ludzie. Przynajmniej w reakcji na temperaturę świata. Ich zdolność zamykania się, gdy zrobi się chłodniej, i otwierania płatków, gdy znów się ociepla, jest godna pozazdroszczenia. Wystarczy jeden stopień więcej lub mniej, a płatki wydłużają się lub maleją o siedem procent. A może to nie kwestia czułości, tylko ekspresji uczuć? — pomyślałam, niosąc kolorowy bukiet Alejami Ujazdowskimi w kierunku domu. Słońce już mocno ogrzewało ziemię, zapuszczając swoje promienie do jej głębszych warstw. Dolcevito musiał czuć niedostępne dla mnie zapachy budzących się roślin. Ulice były pustawe, gdzieś pojedynczy ludzie zmierzali w kierunku placu Zbawiciela ze święconką. Aura Wielkanocnej Soboty unosiła się nad wyciszonym miastem.

W domu pulsowały mieszanki zapachów. Chwilowo na pierwszy plan wyszły orzechy laskowe, tymianek, utarta gałka muszkatołowa i soczewica, przygotowane do przeistoczenia się w wegański pasztet. Miała to być ostatnia już pozycja, którą przyrządzałam na święta spędzane w towarzystwie własnego bloga. Jedyne, co jeszcze miałam na dziś w programie, to podjąć decyzję, czy oglądam zaległe odcinki *Girls* czy *Black Mirror*.

Zapadał już zmierzch, a ja kończyłam drugi z rzędu odcinek przygód nowojorskich lasek, gdy zadzwonił telefon.

— *Ciao, bella*, jak samopoczucie? — usłyszałam wyraźnie odmieniony głos Claudii.

— U mnie bomba, a jak ty się trzymasz?

— Rzadko się zdarza, że najpierw działam, a potem myślę, ale dziś właśnie świętujemy tę chwilę. Mam nadzieję, że jesteś w tej swojej Warszawie, bo ja właśnie wysiadłam na Okęciu i nie wiem co teraz — powiedziała swoim rzeczowym głosem.

— Coo?! — wrzasnęłam. — O, w mordę jeża, Claudynko, dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

— Tylko nie mów, że opalasz się na Madagaskarze, bo rzucę się zaraz pod jakiegoś boeinga! — krzyknęła.

— Wyszłabym po ciebie, wariatko! Czekaj, zamówię ci taksówkę i zaraz cię tu dostarczy! — krzyknęłam nieprzytomna ze szczęścia.

Po dwudziestu minutach wybiegłam na ulicę przed dom i w oddali zobaczyłam pędzącą pustawą ulicą od placu Konstytucji taksówkę. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona, piszcząc, śmiejąc się i roniąc trochę łez. Dopiero po kilku minutach powitalnego amoku uwolniłyśmy kierowcę, wyładowując z bagażnika walizkę, po czym wtaszczyłyśmy ją do domu. Claudia schudła ze trzy kilogramy, delikatnie wyostrzyło to jej piękne policzki. Miała perfekcyjny makijaż i nikt poza mną nie mógł dostrzec zmęczenia w jej oczach.

— *Bella*, czy ty na jutro planujesz światowy zjazd kuzynek? Ile tu żarcia! — jęknęła Claudynka, rozglądając się po kuchennych blatach i zerkając do lodówki.

— Będziemy przez święta dokarmiać zagubionych samców. — Roześmiałam się.

— O nie! Niech oni karmią nas!

— Nie wiem, co mnie napadło. Chyba chciałam się czymś zająć, żeby nie sfiksować ze smutku, i postanowiłam zrobić moim czytelnikom na blogu święta full wypas. Gotowałam, fotografowałam i opisywałam.

— To prawie tak, jakbyś z nimi jadła.

— Prawie...

— *Bella*, twoja kuchnia wygląda obłędnie.

— Czy to nie cudowne, że wchłonimy to wszystko razem?

— Wiesz co? Może lepiej już dziś zróbmy mierzenie moich pierwszych modeli majtek, bo w poniedziałek na pewno się w nie nie zmieścimy — powiedziała rzeczowo Claudia.

Podstawowa różnica między kobietą a mężczyzną polega na tym, że faceci wyznają kult ilości, a my jakości — pomyślałam, kiedy usiadłyśmy razem do

kolacji. Czułam się jak w raju. Na przemian chciało mi się piszczeć i płakać ze wzruszenia. Wnosiłam talerze, stawiałam półmiski, podgrzewałam, nakładałam, naprawdę czułam, że jestem w domu, i to nie sama. Przez dwa kolejne dni jak królowe życia jadłyśmy, piłyśmy, spacerowałyśmy, krążyłyśmy na miejskich rowerach po pustych ulicach Śródmieścia. Wybrałyśmy się na drugą stronę Wisły, by pojeździć leśnymi ścieżkami wzdłuż jej brzegu. Oglądałyśmy seriale. Przeszawiałyśmy kwiaty z jednego miejsca na drugie. Piłyśmy espresso posypane naszym symbolicznym złotem. Ganiałyśmy się z psem po Polach Mokotowskich. Rozwiązywałyśmy testy z trzech czasopism psychologicznych, które jedynomyślnie dowiodły naszej superpotencji, superodwagi, superniezależności, superkonsekwencji i superfajności życiowej.

W poniedziałek późnym wieczorem wróciła do Warszawy Wera i prosto z pociągu przysłała do nas na kolację. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona, jakbyśmy nie widziały się od roku. Mimo że wyglądała na lekko sfatygowaną, wstąpił w nią dziki entuzjazm na widok zastawionego stołu.

— Lukrusiu, tu pachnie jak w filmie o Julii Child — miauknęła od progu.

— Nawet lepiej — wzmocniła ją Claudynka.

— Claudynka zostanie z nami na kolację dla singli! — oznajmiłam triumfalnie.

— Bosko! — wydała z siebie okrzyk Wera.

— Dziewczęta! Nie byłabym sobą, gdybym nie podeszła do tego metodycznie — zaczęła Klaudia, a my z Werą spojrzaliśmy na nią niespokojnie, wiedząc, że ten ton zapowiada poważne innowacje.

— Mam nadzieję, że nie chcesz zmieniać jadłospisu, bo już wszystko zaplanowałam i puściłam w sieć — powiedziałam niepewnie.

— Skąd! Chcę tylko zmienić nas — orzekła.

— Co? — jęknęłyśmy jednocześnie z Werą.

— To znaczy nie tyle nas, co nasze wzorce myślowe.

— Jakie wzorce? — zapytałam. — Chyba nie kulinarne.

— A skąd. Potraktujmy tę kolację jako moment przełomowy. Musimy iść na nią wolne, trzeba więc oczyścić się z tych emocji, które nam ciążyą.

— Co masz na myśli? — zapytałam zaintrygowana.

— Do zapchanego otworu i Brad Pitt się nie zmieści — wyjaśniła Claudyna.

— Jutro musimy zostawić za sobą przeszłość, żeby zrobić miejsce na coś nowego!

— Co masz na myśli? — zapytała Wera.

— Jeśli ktoś cię porzuci, a ty otrzepujesz się i od razu idziesz dalej, to tak, jakbyś sama siebie porzuciła po raz drugi. A my ciągle to uprawiamy. Musimy wywołać w sobie złość i ją wylać.

Claudynka lubiła wpadać w komiczny belferski ton, ale nigdy nie żartowała w sprawach uczuciowych. Zwłaszcza gdy dotyczyły jednocześnie serca i seksu.

— Potrzebujemy rakiety tenisowej — powiedziała.

— Mam taką! — krzyknęła Wera.

— Poduszki albo nawet dwóch.

— Mamy — odpowiedziałam.

— Przestrzeni bez ludzi.

— Uuu... — jęknęłyśmy jednocześnie z Werą.

Z tym było najtrudniej. Zwłaszcza że zrobiło się ciepło, a do tego dziś warszawiacy powracali ze świątecznych wyjazdów. Wera wpadła na pomysł, by pożyczyć od rodziców Pauliny klucze od ich działki, która jest nieopodal, przy ulicy Raławickiej. Okazało się to prostsze, niż się spodziewałyśmy. We wtorek, w samo południe, z rakieta i poduszkami, termosem i torbą świątecznych ciastek ruszyłyśmy do boju. Jednak zaraz po wejściu na teren ogródków działkowych trochę spuściłyśmy z tonu. Nawet tam, wbrew naszym przewidywaniom zakładającym, że sezon działkowy jeszcze się nie zaczął, w niektórych ogródkach krzątali się już ludzie. Głównie emeryci. Na szczęście na działkach przyległych do tej, która należała do rodziców Pauliny, nie było nikogo. Między gołymi jeszcze drzewami, wśród wystających z ziemi krzaczków, na małym trawniku rozłożyłyśmy najpierw koc, a potem piętrowo złożoną kołdrę i poduszki. Po dokładnym instruktazu Claudynki zabrałyśmy się najpierw do rozgrzewki, a potem do właściwego seansu oczyszczania ze zbędnych emocji. Przyjęłyśmy pozycję na lekko ugiętych kolanach, stopy mocno postawiłyśmy na ziemi, by mieć kontakt z podłożem. Miednica luźno, ramiona w dół, szczęka swobodnie. Zgłosiłam się jako pierwsza na ochotnika. Wzięłam do ręki rakieta, zamachnęłam się i walnęłam z całej siły w poduszki.

— Dobra, dalej, dawaj, dodaj okrzyk, wywal to z siebie! — zakrzyknęła Claudynka.

— Dawaj, wal! — dopingowała Wera.

A ja waliłam. Robiłam mocny zamach i uderzałam rakieta w miękkie podłoże z poduszek. Waliłam coraz mocniej, ale ciągle nie mogłam wydobyć

z siebie głosu. Czułam ciężką jak dzwon kulę zawieszoną w gardle, która nie chciała drgnąć. Aż w końcu, po dziesiątym, a może dwunastym razie, coś pękło i poczułam wzbierającą w sobie siłę. Zamachnęłam się, dobywając moc z samego centrum dowodzenia ciałem i umysłem, wsparta siłą trzymającej mnie ziemi, i z hukiem uderzyłam:

— Wyyyyypieeeeeerdaaaaaalaj!

Dziewczyny stały obok w ciszy, jak opoka, która nigdy cię nie zawiedzie. A ja darłam się wniebogłosy, wywalając z siebie Cezarego, całą wściekłość, ból i zawód, który czułam. Wyrzucałam słowa jak wymiociny: Won! Wynos się! Cezary, ty dupku! Tłukłam z całej siły rakieta, wzbijając w górę kurz. Doskonale już świadoma, że nie mogę zaprzeczać temu, co poczułam.

— Pani da spokój temu Cezaremu — usłyszałyśmy nagle głos dobiegający od strony drogi. — Wszyscy tacy sami, jak łajdak, to niech się pani cieszy, że sobie poszedł w siną dal — doradziła jakaś starsza pani i poszła.

Wybuchnęłyśmy śmiechem, ale Claudyna szybko przejęła kontrolę nad sytuacją. Rozejrzała się wokół badawczym wzrokiem. Chwyciła kluczyk od komórki na tyłach altanki i zaczęła czegoś szukać. Po chwili wytaszczyła stamtąd kosiarkę. Rozwinęła kabel i znalazła gniazdko.

— Musimy zagłuszyć krzyki — zarządziła.

— *Bella*, ale tu nie ma żadnej trawy — zauważyła słusznie Wera.

— Wrzeszczymy naprawdę, kosimy na niby! — odpowiedziała Claudyna. — Lukrecjo, do boju! — krzyknęła i włączyła kosiarkę.

W strasliwym turkocie maszyny, który niósł się pewnie stąd aż do śródmiejskiego placu, na którym zobaczyłam go po raz pierwszy, jak siedział w kawiarni nad swoją americano, wykrzyczałam z siebie całą wściekłość. Kiedy wreszcie poczułam zupełną pustkę i potworne zmęczenie, opadłam na trawę. Wtedy do boju przystąpiła Claudyna, która wywrzaskiwała wypieraną latami złość na Giovanniego, swoje upokorzenie i gniew. Gdy i ona padła wyczerpana, napiłyśmy się wody. Przejęłam od Wery kosiarkę, a ona stanęła z rakieta i trwała tak przez dłuższą chwilę. Zaczęła od bardzo delikatnych uderzeń, aż w końcu wyrzuciła z siebie skłębioną złość, najpierw na Juliana, który jednak okazał się gejem, potem na Kacpra, a potem jeszcze na kilku innych facetów. Gdy skończyła, niebo przygasło. Słońce zaczęło się osuwać po jego połaci w dół, ku wierzchołkom starych drzew wystających ponad płotami działek. Wpatrywałyśmy się w tę pomarańczową tarczę spoczone, milczące i dziwnie spokojne. Być może, tak jak zwierzęta, które po chwili

wielkiego lęku zaszywają się gdzieś i trzęsą tak długo, aż wyleci z nich cały strach, dzięki czemu znów mogą biec dalej, tak my po długich chwilach wyrzucania z siebie złości wewnętrznie jeszcze się trzęsłyśmy. Wiedząc jednak, że zaraz będziemy gotowe biec dalej. Zebrałyśmy rzeczy i pojechałyśmy do mnie. Gdy weszłyśmy do domu, zadzwieczał mój telefon.

— Córzuś, jak tam? My, wyobraź sobie, z Białowieży ruszyliśmy do Kowna — trąkotała matka.

— Gdzie?

— Miciulek zarządził, że skoro jesteśmy tak blisko, musimy odwiedzić groby przodków. Jutro przedstawię mu grób twojej wspaniałej wileńskiej prababki, która wydała na świat moją matkę, ciotkę Aurelię, Zofię i Stanisława. Niestety, Zofia zwariowała z miłości, a Stanisław popełnił samobójstwo.

— Jakie samobójstwo?

— W noc poślubną, córzuś, strzelił sobie w głowę z rewolweru.

— Pierwsze słyszę o jakimś samobójstwie, postradaniu zmysłów z miłości i o tym, że grób prababci Franciszki jest w Kownie! — krzyknęłam zaskoczona.

— Najwyższa pora, Lukrusiu. Ty też musisz tu przyjechać. Poznać ziemię swoich przodków, no i historię rodziny.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś?

— Nie było okazji. Jutro jedziemy jeszcze do Druskiennik, na groby rodziny Micia. Masz pojęcie, że on też jest duchem z Wileńszczyzny, jak my? No, baw się dobrze, życie jest naprawdę cacy! Wracamy za tydzień, pa, pa!

Nie zastanawiałam się, czy matce już kompletnie odbiło. Nie stawiałam sobie pytań, gdzie tak naprawdę jest ziemia moich przodków. To nie był dobry moment, by łączyć się z przeszłością. Byłam tu i teraz, z najwspanialszymi pod słońcem kobietami. Kąpałyśmy się po kolei w wielkiej wannie. Każda w olejkach eterycznych i płatkach róż, które wsypywałam do wody. Śpiewając na całe gardło *Felicita*, *Azzurro* i inne włoskie przeboje. Piłyśmy szampana, którego przywiozła z Mediolanu Claudynka, i wznosiłyśmy toasty za nasze waginy, nasze sutki, usta, a nawet jelita. Dolcevito wtórował nam machaniem ogonem, bieganiem i poszczekiwaniami. Była pełnia. Intensywny księżyc wdzierał się swym blaskiem do salonu i sypialni. Po całym tym wykrzykiwaniu emocji, kilku godzinach śpiewu i tańca, byłyśmy tak padnięte, że zasnęłyśmy, nie zaciągając zasłon.

W środę rano obudził nas budzik Wery, która musiała pędzić na jakieś spotkanie. Zjadłyśmy jagłankę z migdałami, figami i bananem, po czym poszłyśmy wypić razem rytualne espresso w kawiarni pod moim domem. Dolcevito dostosował się do rytmu naszych kroków, a kiedy usiadłyśmy, położył się koło mnie na podłodze.

— Lukrusiu, czy on nie jest bardziej twój niż mój?

— Jest chyba nasz wspólny — powiedziałam, patrząc czule na buldożka.

— Od początku to ty się głównie nim zajmujesz. Może Dolcevito powinien zostać już u ciebie? — rzuciła nagle Wera.

— Rzeczywiście, bez niego czegoś mi brak — odpowiedziałam.

— Niech już będzie z tobą, *bella*.

— Zaakceptowałam nawet to, że czasem wypuszcza gazy pod stołem — wybuchnęłam śmiechem.

— Podobno jak się ma psa, to łatwiej przyciągnąć miłość — powiedziała Claudynka.

— Tak, to już wiemy! — krzyknęłam i razem z Werą wybuchnęłyśmy śmiechem.

Claudyna pojechała na cały dzień do Łodzi, gdzie umówiła się w jakiejś fabryce, żeby porównać cenowo możliwości szycia w niej bielizny. Wera poszła na spotkanie, a ja zajęłam się przygotowaniem propozycji programu na warsztaty kulinarne dla kolejnej firmy, która wczoraj przysłała mi propozycję ich poprowadzenia. Potem wyruszyłam na zakupy na potrzeby czekającej nas za trzy dni kolacji dla singli. Zadzwoił Julian. Chciał mnie poinformować, że zorganizował specjalne ogrzewacze, dzięki którym będziemy mogli siedzieć w kwietniu na tarasie i nie marznąć. Poczułam przyjemne uczucie ulgi. Cała kuchnia była zavalona produktami. Na parapecie w sypialni upchnęłam świeże zioła. Nagle zatrzymałam się przed badylem, który dostałam w spadku po Julianie. Przetarłam oczy ze zdumienia. Na końcu zielonej łodygi otworzył się pęk i dziś w nocy wychynęły na świat trzy białe, delikatne płatki orchidei. Wpatrywałam się w nie jak zaczarowana, szukając punktu, przez który promień światła mógł przebić ciemności i otworzyć ciało orchidei. W obłędnie pięknych, maleńkich różowawych kropkach emanowała jakaś tajemnicza moc, jakby stanowiły jądro wyzwolenia. Nieskończoną matrycę początku stworzenia. Zrobiłam zdjęcie i wysłałam dziewczynom z podpisem: *Przebudzenie Lukrecji*.

Niebo zasnuwała już szara zasłona zmierzchu, zabrałam więc Dolcevita na

spacer. W głowie ustalałam kolejność czynności, które muszę dziś jeszcze zrobić. Obliczając owoce potrzebne do deseru, uświadomiłam sobie, że w związku z niespodziewanym przyjazdem Claudynki brakuje jednego mężczyzny do pary. Gorączkowo zaczęłam wertować w głowie kandydatury znajomych Wery, ale nie znajdowałam nikogo odpowiedniego. Postanowiłam na razie się tym nie stresować, tylko naradzić się później z dziewczynami. Był przyjemny wieczór. Ciepły wiatr poruszał falbaną mojej sukienki, przynosił zapach palonej kawy z lokalu na rogu ulicy. W pewnej chwili poczułam lekko żywiczną woń podbitą mszystymi nutami, a zaraz po niej jak spóźniony słowik doleciał do moich nozdrzy cytrusowy akord, jakby doklejony do całości. Przywodził na myśl szypry z dawnych lat, wadząc się ze światem nowoczesnych molekuł. Nie znałam tej kompozycji, ale miałam wrażenie, że gdzieś niedawno już ją czułam. Była jak ślad, który ktoś zostawił po sobie na mojej drodze. Odwróciłam głowę. Za mną szedł mężczyzna z niedużym psem nieznannej mi rasy. Niech tak zostanie — pomyślałam. Już więcej nie będę się oglądać, żeby nie zburzyć obrazu tak wysmakowanej mieszanki. Dwa psy, dwa odcienie zieleni i oni o zmierzchu. Tak to zatytułuję. Wstąpiłam do drogerii po proszek do prania i zawróciłam, by pójść dalej Alejami Ujazdowskimi do domu. Kiedy skręcałam już w ulicę Piękną, wyszedł wprost na mnie. Dolcevito podbiegł do jego psa i zaczął go obwąchiwać. Stanęliśmy naprzeciwko siebie.

— Jaki z niego romantyk, ciągle zadziera głowę, jakby szukał gwiazd — zażartował właściciel pięknego zapachu.

— Romantyzm zszedł na psy, ale dobrze, że chociaż one jeszcze nim nie gardzą — odpowiedziałam, śmiejąc się.

— A może po prostu tylko się ukrył, bo boi się wyszydzenia. Trzeba zaklinać rzeczywistość, żeby odważył się znów wyjść na wierzch i przypomnieć o swoim istnieniu.

— Tylko nie to! — odpowiedziałam przekornie. — Zaklinanie rzeczywistości to przejaw ucieczki od rzeczywistości. Tego nie chcemy!

— A czego chcemy? — zapytał wprost.

— Dolcevito, co ty robisz? — Spojrzałam na psa, który zaczął nagle rozkopywać nerwowo trawnik.

— Jak na romantyka ma bardzo hedonistyczne imię — zauważył nieznajomy.

— Dla mnie oznacza raczej słodycz małych chwil niż wielki hedonizm. Pana pies jak się nazywa?

— Grazie.

— Wow, brzmi trochę jak wojownik, czy to coś znaczy?

— „Piękny” po litewsku.

— No, pięknie się nazywasz, czyżbyś przyjechał do nas z Litwy? — zwróciłam się do psa, tarmosząc go za uchem.

— Mój ukochany dziadek był Litwinem, to na jego cześć.

Przyjrzałam mu się uważniej. Miał jakiś niesymetryczny element w twarzy, nie umiałam dociec jaki. Bardzo przykuwało to wzrok. Ciemne oczy podbite bardzo ciemnymi brwiami były czujne i łagodne zarazem. Pogodne. I do tego ten magnetyzujący zapach. Byłby świetnym kandydatem do mojej kolacji. Tajemniczy element. Posadziłabym go naprzeciwko Wery, odwróciłby jej uwagę od Juliana. Nie mam pojęcia, jak się na to odważyłam. Może to siła pełni.

— Ma pan jakieś aktualne żony, narzeczone lub zobowiązania uczuciowe?
— zapytałam.

— A gdybym nie miał? — odpowiedział pytaniem, zupełnie niezbity z tropu.

— To zaprosiłabym pana na kolację, którą organizuję. Będą romantyczne tematy. Akurat brak mi jednego pierwiastka męskiego dla równowagi świata.

— Chętnie pani porównowazę — odpowiedział.

Nazajutrz dziewczyny dały mi owacje na stojąco na wieść, że pozyskałam między domem a drogerią brakujący element na imprezę. A ja już powoli czułam bulgotanie w żołądku związane z przygotowaniami. Rozpisałam wszystkie szczegóły na kartkach, żeby niczego nie zapomnieć. Metodyczna i multizadaniowa Claudynka okazała się nieocenioną pomocą. Podobnie jak Wera nie miała pojęcia o gotowaniu, ale była urodzonym menedżerem. Swoją stanowczością kompletnie znokautowała Juliana, który próbował w kilku przypadkach forsować swoje lubieżne fantazje dotyczące dekorowania stołu. Wera przyniosła nie wiadomo skąd fantastyczne lampiony, którymi obwiesiła z Claudynką taras. Wyglądały bajecznie. Piotr, kumpel Juliana, przywiózł piękne krzewy ozdobne, a ja szalałam między garnkami a patelnią.

W piątek, pół godziny przed dziewiętnastą, byłam gotowa ze wszystkim.

W dopasowanej sukience, kolorem odzwierciedlającej urok kwitnących hiacyntów, w czarnych koturnach, z włosami spiętymi w kok dokonywałam ostatnich poprawek na stole w asyście moich dwóch anielic. Piotr i Julian dołączyli w kilka minut później i zajęli się alkoholami. Również o dziewiętnastej zadzwonił pierwszy dzwonek. Był to ubrany w dość ekscentryczną koszulę we wzory stylisty kwiatów. Potem weszła ciepła blondynka z dużym dekoltem i śnieżnobiałym uśmiechem. Jako trzeci zapukał pięknie pachnący nieznamy, którego zwerbowałam w Alejach Ujazdowskich. Miał na imię Konstanty. Jego twarz wydała mi się jeszcze bardziej intrygująca niż dwa dni temu, a zapach jeszcze mocniej mnie zelektryzował. Podczas gdy schodziły się kolejne osoby, Julian z Piotrem serwowali aperitify, a ja zajmowałam się przedstawianiem sobie gości i inicjowaniem small talków. Wera i Claudyna były w tym świetne. Za moimi plecami stylistę kwiatów właśnie nawiązywał znajomość z efektowną menedżerką.

— Mam czterdzieści trzy lata, trzydzieści dwa zęby i dwie pasje oprócz florystyki: kolekcjonuję karafki i fotografuję dachy. Do tego milion przeczytanych książek, tyle samo do przeczytania, dziesięć eksdziejczyn, sześć niedoszłych teściowych w stanie zaprzyjaźnienia, trzy włosy na krzyż na piersi oraz bezsenność typu przejściowego.

Menedżerka słuchała, coraz szerzej się uśmiechając. Czy to możliwe, że za tydzień będą już kochankami? — zastanawiałam się, patrząc na mowę jego ciała. Coraz szerzej otwierające się kolana i coraz bardziej ruchome ręce, jakby dążące do kontaktu. Tymczasem naprzeciwko Wery stał zapatrzony w nią brunet, który wyglądał jak bohater z jakiegoś filmu Godarda.

— Jestem mizofonikiem. Jeśli całą drogę w pociągu ktoś pociąga nosem, muszę natychmiast podać mu chusteczkę. Inaczej albo umrę, albo ucieknę do drugiego przedziału — zwierzał się, ale nie byłam pewna, czy żartuje, czy mówi całkiem serio.

Kwadrans przed dwudziestą zasiedliśmy do stołu. Na otwarcie zaserwowałam krewetki z piklowanym awokado i owocami granatu. Siedem kobiet i siedmiu mężczyzn, odświętnych, eleganckich, z płonącymi oczami, rzucając sobie nawzajem mniej lub bardziej ukradkowe spojrzenia, delektowało się przystawką. Ciepłe światła lampionów ośmielały do rozmów, ich szmery unosiły się nad stołem i roztopiały w taktach łagodnej muzyki instrumentalnej, do wyboru której zainspirował mnie Julian. Twarze to

nachylały się do przodu, to odpływały w tył. Jak fale, które pulsują w rytm przypływów i odpływów. Wydobywały odmienną energię płci. Pierwiastek żeński, który działał tak, jakby chciał ciągle kogoś zadowolić, i pierwiastek męski, który starał się kwestionować zadowolenie z tego, co ma, by mieć pretekst do podboju tego, czego jeszcze nie dostał.

Kiedy zaserwowałam tuńczyka z musem figowym i trawą cytrynową z pieczonym fenkułem, nad stołem unosiła się już przyjemna wrzawa rozmów. Każdy wybrał już kogoś, do kogo mówił i kogo słuchał. Kombinacje czasem się zmieniały, ale ruch odbywał się płynnie. Na twarzy gości malowały się, jak mi się zdawało, dziwnie zbieżne pragnienia, by ten ktoś obok był mądry, odważny, wrażliwy, silny, pogodny, zaradny, szlachetny, czuły, dobry... Jakby wbrew duchowi zajętej sobą epoki, wszyscy goście, zupełnie jak zęby, o których opowiadał Teofil Byczko, wciąż dążyli do wzajemnego kontaktu. Kiedy zaserwowałam mus karmelowy z lubczykiem i żeń-szeniem, gąbką pistacjową i marakują, było już to wyraźnie widać.

Obudziłam się o dziewiątej rano, atakowana jęzorem Dolce Vita, który domagał się spaceru. Biała orchidea, w pełni otwarta, jak cesarzowa mojego okna, wysyłała do mnie coś w rodzaju powitalnego impulsu. Dzień był jeszcze bardziej słoneczny niż wczoraj. Z łazienki dobiegał szum wody, niestrudzona Claudynka już zajmowała się sobą, gotowa na nowe doznania. W komórce miałam stertę SMS-ów z podziękowaniami za wczorajszy wieczór. Czułam błogość. Chciało mi się tańczyć, śpiewać i fruwać. Wysłałam wiadomość do Wery, żeby przysłała na kawę. Kiedy we trzy, zwarte i gotowe, piłyśmy espresso ze złotym pyłem, komentując wrażenia wczorajszego wieczoru, zadzwieczał mój telefon.

— Cezary pyta, czy pojedę z nim na weekendowy event na Mazury. Porąbało go? — powiedziałam zaskoczona.

— Łuu!! — wybuczały newsa dziewczyny.

— Żegnaj, gapciu — zaintonowałam.

— Już nie będzie twoją żabcią najlepsza z dam — podchwyciła Wera, a Claudynka starała się dołączyć.

— Dziewczyny, a teraz niespodzianka! — zawołałam, gdy wyspiewaliśmy przebój pożegnalny na cześć Cezarego.

— Jakies ciastka na miłość? — zażartowała Wera.

— Ciastka tak, miłość też, ale na razie dopijamy kawę i porywam was na pół dnia!

— Jak to? — Zaniepokoiła się Claudynka. — Przecież ja jutro wyjeżdżam, a obiecałaś mi, że dzień po imprezie pstrykniemy foty moich majtek!

— Majtki bierzemy ze sobą! — zawołałam wesoło.

Przebrałyśmy się w wyrafinowane modele majtek Claudynki, włożyłyśmy ciuchy i wsiadłyśmy do auta Wery. Dziewczyny spoglądały na mnie pytającym wzrokiem, ale trzymałam je w napięciu. Ekscytacja rosła.

— Werciu, mostem na Pragę — pokierowałam.

— Do sauny? — podchwyciła.

— Na połykanie sproszkowanego rogu nosorożca, po którym ma się multiorgazmy? — zapytała Claudynka.

— Tam, gdzie jeszcze razem nigdy nie byliśmy. — Roześmiałam się. — Teraz w lewo i naprzód!

Dziesięć minut później oderwałyśmy się od ziemi. Miasto kurczyło się u naszych stóp, słońce, odbijając się od ścian szklanych wieżowców, oślepiało oczy, a my wznosiłyśmy się na wysokość ponad stu metrów w koszu zamocowanego nieopodal Stadionu Narodowego balonu. Patrzyłam na te światła jak na kopulujące plemiona świetlików, które rozniecały blask tego kawałka świata, blask miasta mojej matki i babki.

— Dziewczyny, ściągamy sukienki! — krzyknęłam. — Pstrykamy Miss Boomboom! Majtki dla odlotowych kobiet na tle industrialnego nieba!

— Jesteś boska, Lukrecjo — wrzasnęła Claudynka, zrzucając sukienkę.

— Juhuu! — wtórowała jej Wera.

— Brawo my! — krzyczałam.

— Wiwat!

Lekki wiatr jak na zawołanie rozwichrzył nam włosy. Kapitan balonu, patrząc na nas, mruzczał pod nosem. Albo z zachwytu, albo z przerażenia. Miasto tonęło w słońcu, w niespełnionych marzeniach i wiecznie żywych nadziejach kobiet i mężczyzn, a my byłyśmy ponad tym. Zsynchronizowane z prądami powietrza każdą tkanką skóry. Półnogie. W trzech modelach majtek: seksownych na co dzień, seksownych na wyuzdane randki oraz sportowych nowoczesnej generacji. Pstrykałyśmy sobie foty, piszcząc z wrażenia.

Wyginałyśmy nasze miedniczne centra dowodzenia we wszystkich kierunkach świata. Machałyśmy nogami, rękoma, włosami. Kiedy już na powrót zbliżyłyśmy się do ziemskiego życia, a miasto znów rosło w oczach, zadzwieczał mój telefon. Balon wylądował. Wsiadłyśmy, a ja zerknęłam na wyświetlacz.

Oszołomiony wczorajszym wieczorem, chciałbym się przypomnieć. Obiecałaś mnie dziś zabrać pod Halę Mirowską na wspólne kupowanie jaj od kur melomanek, które słuchają muzyki klasycznej. Czekam z nadzieją. Konstanty

— Jakich jaj? — zapytała Claudynka.

— Owsianych, nie słyszałaś o nich? Te kury karmi się zgodnie z fazami księżyca i puszcza się im klasykę — wyjaśniłam rzeczowo.

— A nie mówiłam, że jak się ma psa, to łatwiej przyciągnąć... — miauknęła Wera, śmiejąc się.

— Lukrecjo, czyżbyś chciała mieć z tym przystojnym Konstantym jakieś wspólne jaja? — zapytała Claudynka, wlepiając we mnie zaintrygowane spojrzenie.

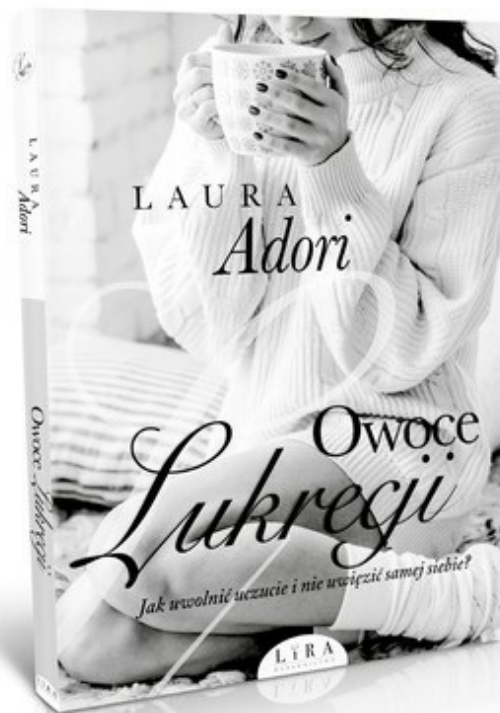
Spojrzałam na odbijające się na naszyjniku Claudyny słońce i przypomniały mi się bursztynowe korale ciotki Aurelii, które zmieniały odcienie pod różnym kątem nachylenia. Wzięłam głęboki oddech, *uno, due, tre...*

— Chciałabym robić z nim to, co letnie słońce z poziomkami — powiedziałam, śmiejąc się. Te słowa mogłyby paść z ust Aurelii. Zupełnie jakbym poczuła nagle w sobie jej gen. — Ale jeśli proponuje wspólne jaja, to może będzie jeszcze zabawniej?

Odpisałam Konstantemu, że spotkamy się na rogu Alej Ujazdowskich i Pięknej, tam, gdzie się poznaliśmy, dziś o piętnastej. Wsiadłyśmy we trzy do auta w rozwianych na wietrze sukienkach i nowych modelach majtek marki Miss Boomboom. Zajadając się anyżkowymi ciastkami, które upiekłam specjalnie na ten dzień, ruszyłyśmy mostem przez rzekę w kierunku nasłonecznionego brzegu miasta.



JUŻ WKRÓTCE

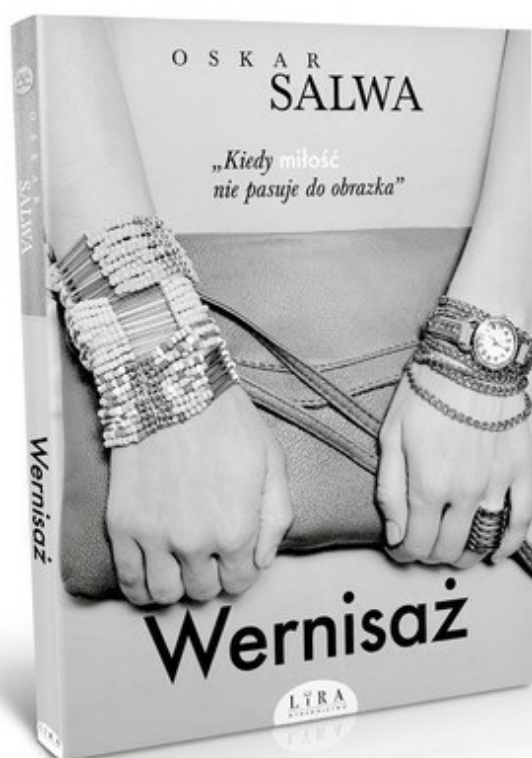


Czy rzeczywiście możesz być z mężczyzną, którego pragniesz, jeśli robisz to, co kochasz? Lukrecja w pierwszej powieści cyklu odnalazła swoją życiową pasję i wielką miłość. Czy zna odpowiedź na to pytanie? Przekonaj się, sięgając po „Owoce Lukrecji”.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Eleganckie galerie sztuki i klimatyczne, stare zaułki. Zbuntowani artyści i niedzielni malarze. Centrum artystycznej Warszawy staje się dla Marty miejscem, gdzie lekcja plastyki zmienia się w lekcję uczuć. Czy bohaterka książki będzie umiała z niej skorzystać?

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ WKRÓTCE

Wielkie namiętności
i sekrety dnia codziennego
z historią Polski w tle!



Seria książek Iwony Kienzler – znanej popularyzatorki historii i autorki bestsellerów biograficznych.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

© Copyright by Agencja Literacka Syndykat Autorów, 2017
© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2017

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcia na okładce: ©Aleksandr Smaglov,
©Sukonta Ruangjipaisal / 123rf.com

Redakcja: Ewa Popielarz
Korekta: Marek Kowalik
Skład: Igor Nowaczyk

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

L  I R A
W Y D A W N I C T W O

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:

